KOPIUJ, WKLEJ, PRZYLEJ
Plagiaty kandydatki PiS na Rzecznika Praw Dziecka

ZESŁAŃCY KREMLA
Nie tylko Sencow: kogo uciszył Putin

BARDZO WIELKA WINA
Molestowanie w Kościele: końca wciąż nie widać

WARZYWOŻERCY
Czy świat musi przejść na dietę

Kraków 26 sierpnia 2018 nr 35 (3607) cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

Jak Polak staje się mężczyzną

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

PREMIERA

Już w sprzedaży
kolejne wydanie specjalne „Tygodnika Powszechnego”

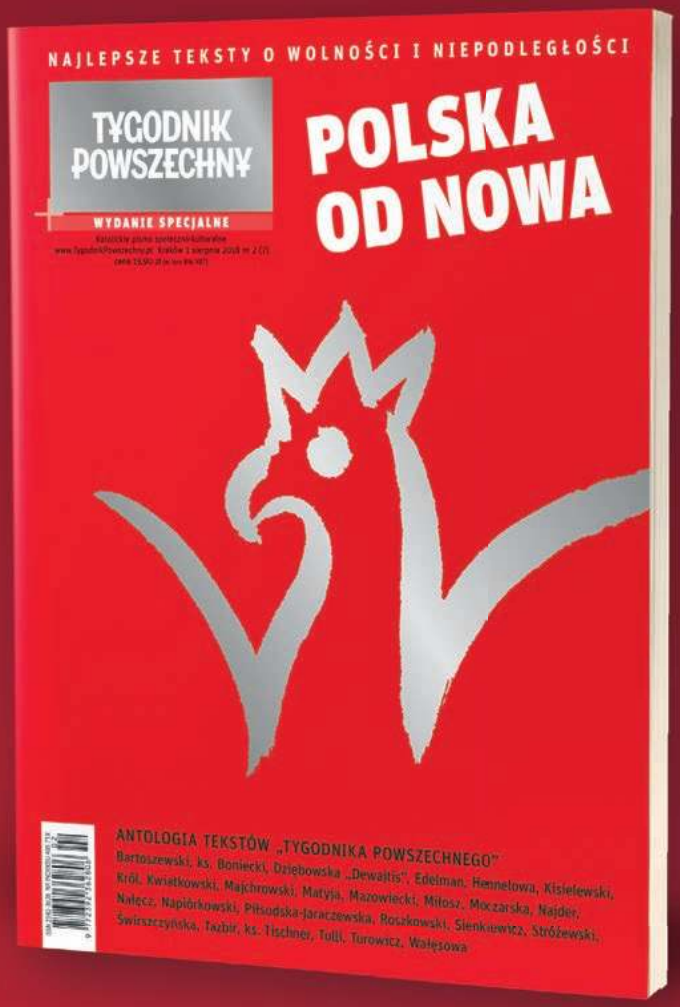

„POLSKA OD NOWA” to wybór najlepszych tekstów z ponad 70-letniej historii „TP”, poświęconych niepodległości, wolności i ojczyźnie.
Piszą i opowiadają m.in.:

- budowniczy Gdyni Eugeniusz Kwiatkowski
- córka Józefa Piłsudskiego Jadwiga Jaraczewska
- noblista Czesław Miłosz
- pierwszy naczelny „TP” Jerzy Turowicz
- kapelan Solidarności ks. Józef Tischner
- minister spraw zagranicznych III RP Władysław Bartoszewski

Na wydarzenia lat 1918, 1945, 1989, 2004 i 2018 patrzą historycy, politycy, pisarze, filozofowie i reporterzy, ale jest jeszcze jedna, przekraczająca kategorie zawodowe, perspektywa.
W dziale „Polska jest kobietą” oddajemy głos tym, których rolę często pomija historia, choć dzięki ich mocy i niezłomności nasze stanowienie Niepodległej mogło stać się faktem.

Niezastąpiona lektura podczas Roku Niepodległości. Już w salonach prasowych oraz w e-wydaniu

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

KS. ADAM

Boniecki: *Gdzie ci mężczyźni*

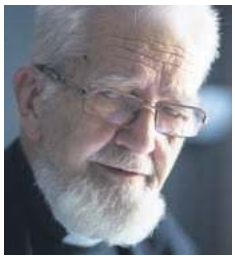

Kościół współczesny nie magnetyzuje mężczyzn, lecz ich raczej odstrasza. (...) Co gorsze, niewielu duszpasterzy zdaje sobie z tego sprawę i niewielu wykazuje zaniepokojenie nieobecnością mężczyzn w Kościele" – powiedział (wtedy jeszcze) wiceprzewodniczący Konferencji Episkopatu Polski abp Stanisław Gądecki podczas Archidiecezjalnej Pielgrzymki Mężczyzn i Młodzieży Męskiej w 2016 r. I stwierdził, że „winę za znikomą obecność mężczyzn w życiu kościelnym ponosi sam Kościół" (cytat za KAI).

Badania Instytutu Statystyki Kościoła Katolickiego pokazują, że kobiety niemal dwukrotnie częściej niż mężczyźni deklarują się jako osoby „głęboko wierzące" (26 proc.), częściej deklarują wiarę w Boga (90-93 proc.), rzadziej ateizm (1,1 proc. kobiet, 5 proc. mężczyzn). Zresztą widać to gołym okiem do tego stopnia, że ktoś (dowcipnie?) określił nasz Kościół jako „Kościół żeńsko-katolicki".

Sporo napisano o przyczynach tego stanu rzeczy, którego nikt nie kwestionuje. Jeden z duchownych autorów pociesza się, że to tylko takie wrażenie, bo kobiety stają bliżej ołtarza i zasłaniają mężczyzn w tyle. Ks. Paweł Siedlanowski w ciekawym artykule na ten temat pisze, że chodzi tu o „problem z przyciągnięciem mężczyzn do Kościoła". Obawiam się, że wielu słysząc, iż kler zamierza ich do Kościoła „przyciągnąć" (zwabić), w obronnym odruchu postanowi, że nigdzie się przyciągnąć nie da, chociaż ani autorowi, ani nikomu innemu nie chodzi o żadne chwyty marketingowe. Chodzi o odpowiedź na pytanie, czego mężczyźni w Kościele nie znajdują, co ich zniechęca, co od Kościoła odpycha i co można czy wręcz trzeba w tej materii w duszpasterstwie zmienić.

Autorzy, zwykle duchowni, sugerują różne odpowiedzi. Ktoś radzi sięgnąć do psychologii, która może pomóc duszpasterzom w zrozumieniu męskiej duszy i wskazać im odpowiednie sposoby przepowiadania.

Inny autor (duszpasterz) pisze, że mężczyzna jest „istotą kierującą się przede wszystkim rozumem" (kobietą w jego przekonaniu „rządzą uczucia i emocje"), potrzebuje racjonalnego utrwalania wiary oraz jej uzasadniania, katechezy klarownej i rozumowo uzasadnionej. Zdaniem tego autora kobiety żyją jakoby „dla kogoś", a mężczyźni jakoby „po coś" i kobiecie do szczęścia potrzebna jest druga istota, dla której będzie się poświęcać, mężczyzna musi mieć coś konkretnego, by do tego dążyć.

Ktoś wreszcie przyczynę dystansu wobec Kościoła widzi w niedorastaniu ojców do ich roli: „Jeśli ojciec ziemski nie wypełnia właściwie swojego zadania (nie jest mądry, roztropny, dobry, sprawiedliwy itp.), wtedy syn będzie miał wykrzywiony obraz Boga Ojca, co może rzutować na jego życie religijne.

Abp Gądecki we wspomnianym wystąpieniu stwierdził: „Mężczyźni będą chcieli się przyłączyć do Kościoła tylko wtedy, kiedy Kościół przestanie zajmować się sobą, kiedy zacznie zajmować się zmienianiem świata. Bo taki był początek Ewangelii".

Tak sprawy widzą księża. A co powiedzieliby, gdyby ich spytać, ci, którzy się oddalili? Czy rzeczywiście czują się mniej zdolni do przeżyć religijnych niż kobiety? Czy brak im w Kościele pola do działania i konkretnych celów? Czy sądzą, że ich (męska) psychika nie jest rozpoznana przez pasterzy Kościoła?

Bo w końcu są w Kościele mężczyźni głęboko religijni, są – i to zupełnie normalni – którzy poważnie się angażują w jego życie, i są kobiety, które – jak wyznają – w „tym" czy „takim jak nasz" Kościele nie mogą wytrzymać z powodów, które rzekomo zniechęcają mężczyzn, nie kobiety.

W ostatnich dziesięcioleciach Kościół poważnie się zajmował kobietami. Mamy dokument o godności kobiety „Mulieris dignitatem". Może teraz należy oczekiwać na nowy, „Viri dignitatem", czyli o godności mężczyzny? ©℗

TYGODNIK POWSZECHNY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

MEDAL ŚW. JERZEGO 2018

Każdego roku środowisko „Tygodnika Powszechnego" przyznaje wyróżnienie – Medal św. Jerzego – za „zmaganie się ze złem i uparte budowanie dobra w życiu społecznym".

O tym, kto otrzyma to wyróżnienie, decyduje Kapituła Nagrody na podstawie przesłanych przez Państwa – naszych Czytelników – propozycji. Zapraszamy do zgłaszania swoich kandydatów pocztą na adres redakcji lub drogą elektroniczną na adres medal@tygodnik.com.pl – w obu przypadkach z dopiskiem na kopercie lub w nagłówku maila „Medal św. Jerzego".

Zgłoszenia z krótkim uzasadnieniem (do 1000 znaków) prosimy przesyłać do 15 września 2018 r.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

5 Hamulec Hamleta
ANDRZEJ STANKIEWICZ

6–9 Wiadomości / Komentarze

18 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK
O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

31 Tygodnik Czytelników

■ ■ KRAJ

20 Kopiuj, wklej, przylej
ANNA GOLUS *o wątpliwych kwalifikacjach kandydatki PiS na Rzecznika Praw Dziecka*

24 Lepper i jego mit
JAKUB MAJMUREK: *Dziś bywa na lewicy uznawany za romantyczny wzór obrońcy pokrzywdzonych. Dlaczego?*

27 Falujący koszmar
MARIUSZ SEPIOŁO
Gdy „oni" kontrolują twój umysł

■ ■ WIARA

32 Strażnicy poza kontrolą
ZUZANNA RADZIK: *Molestowanie: Kościół wciąż czeka długa droga*

36 Czesi nie lubią instytucji
TOMASZ MAĆKOWIAK
w cyklu o Kościele w Europie

39 Wspólna droga uczy
PIOTR SIKORA: *Jak prowadzić dialog godząc się z tym, że całkowite porozumienie jest niemożliwe?*

■ ■ ŚWIAT

42 Ruś siedząca
ANNA ŁABUSZEWSKA: *Ołeh Sencow i inni więźniowie sumienia. To ich obawia się Kreml*

46 Azyl tylko na chwilę
MARCIN ŻYŁA: *Migranci w południowej Hiszpanii*

BARBARA NIEWIADOMSKA

■ TEMAT TYGODNIKA ■

10 Ojciec zostaje tatą
KRZYSZTOF STORY

W Polsce z urlopu rodzicielskiego korzysta tylko jeden procent mężczyzn, w Szwecji – ponad 90. Nowa dyrektywa UE mówi o czterech miesiącach urlopu tylko dla ojców, ale nasz Senat uznał, że to zagrożenie wolności, promocja gender i początek islamizacji.

14 Zadania miłosne
ROZMOWA Z PROF. BOGDANEM DE BARBARO, PSYCHOTERAPEUTĄ:

Dziś ojciec niemowlęcia nie powie do kobiety: „Opiekuj się nim, ja idę do pracy, zgłoście się do mnie za siedem lat, zrobimy postrzyżyny i pójdę z nim na polowanie". Wie, że tym patriarchalnym wzorcem sam by się skrzywdził.

■ FELIETONY ■

30 ANNA DZIEWIT-MELLER
41 SZYMON HOŁOWNIA
64 ANDRZEJ STASIUK
77 JAN KLATA
82 STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: BARBARA NIEWIADOMSKA dla „TP"
Redaktor prowadzący: MICHAŁ KUŹMIŃSKI

47 Ćwiczenia z jedności, szczęścia i bogactwa
MAREK RABIJ: *Na czym polega fenomen Baby Ramdeva?*

50 Tablicę aresztować!
MARCELINA SZUMER-BRYSZ
o Matematycznej Wiosce w Turcji

■ ■ Z ODDECHEM

52 Skazy na Baranku
MAGDALENA ŁANUSZKA:
Tajemnice Ołtarza Gandawskiego

■ ■ HISTORIA

58 Syberyjski złoty pociąg
TOMASZ TARGAŃSKI:
Latem 1918 r. Czesi i Słowacy zajęli wielkie połacie Syberii

■ ■ NAUKA

61 Martwe morze
JAKUB MEJER: *Poziom wód waha się niczym atmosfera w regionie*

■ ■ KULTURA

66 Barykada z warzyw
MACIEJ JAKUBOWIAK: *Weganie i ich przepis na lepszy świat*

70 Syndrom wojennego pokwitania
PIOTR KOSIEWSKI: *Wspólna wystawa Wróblewskiego, Szapocznikow i Wajdy*

73 Kino pod specjalnym nadzorem ANITA PIOTROWSKA
o czeskiej Nowej Fali

75 Warto zobaczyć w TV

76 Ze sobą i z innymi
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Loveling"*

77 Gorączka meksykańska
LEKTOR *o książce „Viva" Deville'a*

■ ■ WAKACJE

78 Metafizyka piasku
MICHAŁ OLSZEWSKI *o Mierzei Kurońskiej*

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik), Błażej Strzelczyk
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia:** Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, abp Grzegorz Ryś, Agnieszka Sabor, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner, Marek Zając
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Makowska-Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmińska (kierownik), Marta Filipiuk-Michniewicz, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

Quad/Graphics — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

OBRAZ TYGODNIA

JACEK DOMIŃSKI / REPORTER

HAMULEC HAMLETA

Andrzej Duda chciałby znów przekonać wyborców, że nie jest notariuszem Jarosława Kaczyńskiego. Szkopuł w tym, że jego weto większych szkód prezesowi nie czyni.

ANDRZEJ STANKIEWICZ

Prezydent Andrzej Duda ogłasza weto w sprawie zmian w ordynacji wyborczej do Parlamentu Europejskiego. Warszawa, 16 sierpnia 2018 r.

Odgrywany przez prezydenta przez tydzień spektakl dystansowania się od nowej ordynacji wyborczej do Parlamentu Europejskiego musiał znaleźć taki finał: Andrzej Duda ogłosił, że ją wetuje. Ordynacja była tak napisana, że w praktyce podwyższała trzykrotnie próg wyborczy, wynoszący dziś 5 proc. Oznaczało to, że ponad 50 polskich miejsc w europarlamencie rozdzielą między siebie tylko PiS i PO.

Otoczenie Andrzeja Dudy buduje wokół tego weta legendę. Z jednej strony ma to być swoisty rewanż za to, że PiS utrąciło referendum konstytucyjne w senackim głosowaniu. Z drugiej Duda ma być obrońcą małych partii, ciemiężonych przez dwa bloki. Wreszcie prezydent ma się jawić jako mąż stanu, przedkładający dobro obywateli – których głosy mogłyby wylądować pod progiem, czyli w śmietniku – ponad doraźny interes swej partii, czyli parę mandatów więcej w eurowyborach.

Należy oczywiście pamiętać, że Duda do ponownej elekcji w 2020 r. potrzebuje więcej głosów niż PiS do utrzymania władzy po wyborach w 2019 r. Prezydent musi zatem pokazywać swój dystans do niektórych pomysłów prezesa Kaczyńskiego, obliczonych na wzmocnienie podziału na scenie politycznej. Dla Dudy zbyt głęboki podział to zmniejszenie jego szans wyborczych. Dlatego flirtuje z małymi ugrupowaniami centroprawicy, choćby z Kukiz'15 i PSL, a także lewicy – w tym z Partią Razem. To rezerwuary głosów wymykające się

↦

↦ podziałowi na PO i PiS. Wszystkie te formacje prosiły o weto i je dostały.

Szkopuł w tym, że obecna sytuacja Dudy jest drastycznie inna niż rok temu, gdy zaserwował PiS serię atomowych wet do ustaw sądowych. Wówczas to była realna próba ucieczki z pułapki folwarcznego podporządkowania Kaczyńskiemu. Dzisiejszy sprzeciw politycznie nie ma większego znaczenia.

W kluczowych kwestiach od miesięcy prezydent podpisuje wszystko to, na czym zależy prezesowi. Ba: stał się czołowym napastnikiem w prowadzonej przez obóz władzy wojnie z Sądem Najwyższym. To on firmuje najbardziej kontrowersyjne decyzje, włącznie z próbą usunięcia pierwszej prezes SN Małgorzaty Gersdorf, mimo że do 2020 r. chroni ją konstytucyjna kadencja. W praktyce to wysłannik prezydenta, Wiesław Johann, kieruje Krajową Radą Sądownictwa, która odmienia oblicze polskich sądów wedle marzeń Kaczyńskiego.

Być może zresztą weto europejskie jest sprzeciwem wyreżyserowanym, uzgodnionym nieformalnie z PiS. Obóz władzy uchwalił tę ustawę głównie po to, by wyciąć prawicową konkurencję, która w eurowyborach – ze względu na ich specyfikę, mobilizującą przeciwników UE – wypada bardzo dobrze. Może chodziło o narodowców? Może narodowców z Antonim Macierewiczem? A może na dodatek z o. Rydzykiem? Dziś, gdy Macierewicz uwierzył w obietnicę powrotu do gry, a Rydzyk dostał nowe rządowe przelewy, ordynacja wycinająca prawicowe nowalijki jest po prostu zbędna. W dodatku jej los był od początku niepewny, bo jest wyraziście niezgodna z prawem europejskim, które zabrania ustalania wyśrubowanych progów wyborczych, wypaczających wynik głosowania.

Nawet jeśli weto europejskie nie jest buntem uzgodnionym z PiS, w praktyce relacji Dudy z Kaczyńskim nie zmieni. Prezydent po trzech latach kadencji nie ma żadnego zaplecza, struktur ani pieniędzy. Jeśli chce wygrać, to może co prawda flirtować z Kukizem, chłopami i nową lewicą, ale musi pozostawać w trwałym związku z prezesem PiS. © ANDRZEJ STANKIEWICZ

Błaszczak jest w mniejszości

ANNA GOC

Kogo reprezentuje minister Mariusz Błaszczak, który podczas występu w TV Trwam nazywa poznańską Paradę Równości „paradą sodomitów", a komentując decyzję motorniczych o zdjęciu tęczowych flag z tramwajów powołuje się na naród i Boga: „w narodzie polskim jest pewność tego, że to wszystko, co jest po bożemu skonstruowane, to jest normalne, a jeżeli ktoś próbuje nam narzucić coś, co normalne nie jest, to wtedy spotyka się z oporem"?

Chyba nie lidera PiS, Jarosława Kaczyńskiego, który w 2007 r. deklarował: „Jeżeli chodzi o kwestie gejowskie, wielokrotnie mówiłem, że jestem za tolerancją, a kwestia nietolerancji wobec homoseksualistów to nie jest polski problem, bo to nie jest polska tradycja". I chyba nie Kościół, który od czasów Jana Pawła II o homoseksualistach mówi z szacunkiem i również apeluje o tolerancję.

Być może reprezentuje jednak partyjny mainstream, np. Krystynę Pawłowicz, która w 2012 r., mówiąc o homoseksualistach, transwestytach i queer, wykrzykiwała: „już tylko policję wołać". A może chce sprostać elektoratowi, który pisze na Facebooku: „Mnie osobiście obraża ta sytuacja, bo ja z moją kobietą nie obnoszę się z naszą miłością i miłość zboczeńców tak samo nie powinna być pokazywana".

Nie wiem. Wiem, że sięgając po mowę nienawiści, którą aprobuje niewielki procent Polaków, reprezentuje mniejszość. ©℗

Klucz za dług

KOMISJA NADZORU FINANSOWEGO chce, by kupujący mieszkanie na kredyt mogli w razie problemów ze spłatą rozliczyć się z bankiem przez oddanie mu nieruchomości. Wśród nowych propozycji pojawia się też kredyt hipoteczny ze stałym oprocentowaniem.

Opcja zwana „kluczem za dług" pozwoliłaby w dowolnym momencie, bez dodatkowych kosztów, spłacić kredyt przez oddanie lokalu bankowi, który sfinansował zakup nieruchomości. Takie rozwiązanie funkcjonuje m.in. w USA, gdzie w umowach kredytowych zabezpieczeniem pożyczki jest wyłącznie kupowane mieszkanie lub dom, a nie – jak w Polsce – cały majątek dłużnika.

Warto odnotować, że KNF wyszedł z nowymi propozycjami niemal w tym samym momencie, w którym Najwyższa Izba Kontroli opublikowała raport obarczający ją współodpowiedzialnością za tzw. problem frankowy w Polsce. ©℗ MR

Ludzie toną po cichu

DAREK DELMANOWICZ / PAP

152 OSOBY: taki bilans ofiar nad polskimi wodami przyniosły lipiec i pierwsza połowa sierpnia. Mimo że najgłośniejszy wypadek (śmierć trojga rodzeństwa) wydarzył się w Darłówku, morze pozostaje jednym z bezpieczniejszych miejsc. – Podchodzimy do niego zwykle z większym respektem, czego nie da się, niestety, powiedzieć o pływających w jeziorach i rzekach – mówi „Tygodnikowi" Piotr Jabłoński z krakowskiego Wodnego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego.

Ratownik podaje przykład: śmierć 26 latka, który mimo szybkiej reakcji służb utopił się niedawno w Wiśle. Przyczyna – zażycie przed kąpielą substancji psychoaktywnych – staje się (obok alkoholu i brawury) coraz częstszym powodem tragedii.

Zapytany o najczęstsze mity dotyczące bezpieczeństwa nad wodą, Jabłoński odpowiada bez wahania: przekonanie, że topieniu się towarzyszą spektakularne okoliczności. – Nic nie odbiega bardziej od realiów – mówi ratownik. – Tonący jest zdesperowany i nie zużywa resztek energii na odgłosy czy gwałtowne ruchy. Tonie w ciszy.

I często z powodu braku wiedzy. Według WOPR-owców zawodzą polskie szkoły. – Odwiedzamy te chętne, dając darmowe wykłady – mówi Jabłoński. – I mimo że jest ich z roku na rok więcej, to wciąż w niewielkim odsetku placówek odbywa się jakakolwiek edukacja dotycząca bezpieczeństwa nad wodą. ©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

W SKRÓCIE

W LOCIE. Przykra niespodzianka spotkała Andrzeja Dudę w drodze do Australii, gdzie miał podpisać list intencyjny w sprawie zakupu używanych fregat tamtejszej marynarki: kiedy wyruszył w podróż, media ogłosiły, że premier Morawiecki zablokował transakcję.

NA WIECU. Może chodzi o to, że premier sam lubi podpisywać i negocjować. W trakcie wiecu PiS w Sandomierzu powiedział nawet, że sam negocjował przystąpienie Polski do UE 20 lat temu, choć jego doświadczenie ogranicza się do krótkiego okresu pracy w Komitecie Integracji Europejskiej, sześć lat przed akcesją.

NA BILLBOARDZIE. Początek kampanii samorządowej to także pojawienie się w wielu miastach billboardów przedstawiających Jarosława Kaczyńskiego w momencie, gdy z mównicy sejmowej określał opozycję mianem zdradzieckich mord i kanalii. Obok wizerunku prezesa jest hasło „PiS wziął miliony, a wszystko drożeje", czyli do głosowania na PO znów ma nas zachęcić strach przed Kaczyńskim.

NA WAKACJACH. Tymczasem na Twitterze Joachima Brudzińskiego zobaczyliśmy zdjęcia Jarosława Kaczyńskiego spędzającego urlop w Beskidzie Sądeckim. Ludzie małej wiary uważają, że mamy do czynienia z fotomontażem.

W MARSZU. Fantastyczne są natomiast fotografie z defilady zorganizowanej w Warszawie 15 sierpnia: do maszerujących żołnierzy dołączyły grupy rekonstrukcyjne, wśród których największe wrażenie robili spieszeni husarze.

WOJTEK ŁASKI / EAST NEWS

LUCA ZENNARO / EPA / PAP

CAŁY NASZ KRAJ JEST JAK MOST W GENUI – mówią Włosi po katastrofie, która przyniosła śmierć kilkudziesięciu osób i sparaliżowała komunikację w regionie. Kilka dekad temu świat podziwiał ich śmiałe rozwiązania komunikacyjne i szybki rozwój gospodarczy. Dziś za upadek obwiniają nie zły projekt, ale byle jakie wykonanie i brak dbałości o dobry stan.

©℗ EA

Unia Europejska: ciągle chcemy być razem

JEŚLI WIERZĄ PAŃSTWO, że zjednoczona Europa to coś więcej niż interesy, mamy dobrą wiadomość: jest nas większość. Pomimo brexitu, nastrojów ksenofobicznych i antyunijnej retoryki, wyniki sondażu przeprowadzonego na 17 tys. obywateli ośmiu krajów (w tym Polski) pokazują przywiązanie Europejczyków do idei solidarności. Prawie dwie trzecie ankietowanych opowiada się za granicami otwartymi dla mieszkańców innych państw Unii; tyle samo uważa za ważną eliminację rozwarstwienia ekonomicznego, a także pomoc rozwojową dla krajów rozwijających się; tylko co piąty Europejczyk uznaje, że opuszczenie Wspólnoty polepszyłoby sytuację na lokalnym rynku pracy. Aż 71 proc. pytanych o to Polaków uznało, że ich kraj zyskał na członkostwie.

Solidarność najbardziej doceniają obywatele państw, które ominął kryzys gospodarczy (Niemcy, Polska, Dania). Tam, gdzie kojarzy się ona z polityką oszczędnościową lub koniecznością spełnienia wymagań stawianych przez „silniejszych", jej waga maleje – tylko 38 proc. Greków zagłosowałoby w referendum za pozostaniem w Unii. Wyniki badania na http://transsol.eu.

©℗ ŻYM

USA: Wyrok, od którego wiele zależy

JAN SMOLEŃSKI

W miniony piątek – gdy członkowie ławy przysięgłych zastanawiali się jeszcze nad werdyktem w procesie Paula Manaforta, b. szefa sztabu wyborczego Donalda Trumpa – prezydent USA stanął w obronie oskarżonego, nazywając proces „smutnym dla naszego kraju". Odmówił też odpowiedzi na pytanie, czy zdecyduje się na ewentualne ułaskawienie dawnego współpracownika. Robert Mueller, specjalny prokurator nadzorujący śledztwo w sprawie ingerencji Kremla w wybory w 2016 r., oskarżył Manaforta o oszustwa podatkowe i bankowe. Emocje wokół pierwszego procesu tego śledztwa były ogromne. Sędzia T.S. Ellis powiedział, że otrzymywał pogróżki i jest pod stałą ochroną służb federalnych. Odmówił ujawnienia nazwisk przysięgłych, twierdząc, że boi się o ich „spokój i bezpieczeństwo".

Wyrok w tym procesie (miał zostać ogłoszony po zamknięciu tego numeru) wywrze wpływ na dalsze losy dochodzenia. Uniewinnienie wzmocni krytyków Muellera i da im amunicję w ich próbach zakończenia śledztwa. Z kolei wyrok skazujący umożliwi wywarcie większego nacisku na 69-letniego Manaforta, by zaczął współpracę z FBI. Może też otworzyć drogę do poważnego kryzysu – jeśli prezydent zdecyduje się na ułaskawienie. ©

GUANG NIU / GETTY IMAGES

Nawet trzy miliony Ujgurów w obozach

TYDZIEŃ PO TYM, gdy ONZ oskarżyła Chiny o przetrzymywanie w tzw. obozach reedukacyjnych oraz antyterrorystycznych nawet 3 mln Ujgurów i innych muzułmanów żyjących w północno-zachodniej części kraju, na jaw wychodzą kolejne szczegóły. Według dziennika „The Wall Street Journal" „reedukacja" obejmuje nawet 7 proc. mieszkańców prowincji Sinciang. W obozach są poddawani kulturowej i ideologicznej indoktrynacji: zmusza się ich do śpiewania komunistycznych pieśni, spożywania wieprzowiny i alkoholu. Zdaniem jednej z członkiń Komitetu ds. Likwidacji Dyskryminacji Rasowej ONZ cała prowincja „przypomina wielki obóz internowania (...), w którym Ujgurzy i inni uznawani za muzułmanów są traktowani jak więźniowie państwa", a do inwigilacji używa się na masową skalę technik biometrycznych.

Przedstawiciele władz chińskich (które początkowo utrzymywały, że obozy są czymś w rodzaju szkół zawodowych) twierdzą, że ich celem jest walka z ekstremizmem muzułmańskim oraz „reintegracja" tych Ujgurów, którzy wcześniej (m.in. podczas zajść w 2009 r.; na zdjęciu) występowali przeciwko Pekinowi. Na forum ONZ chiński dyplomata mówił wręcz, że pobłażliwość wobec Ujgurów grozi przekształceniem Sinciang w „chińską Syrię". Antyujgurska polityka wpisuje się jednak w trwającą już od lat kampanię sinizacji mniejszości religijnych, wymierzoną głównie w muzułmanów i chrześcijan. W Chinach, według różnych szacunków, mieszka od 11 do 15 mln Ujgurów. ©℗ ŻYM

W SKRÓCIE

SŁOWO. Arcybiskupi podczas uroczystości Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny. Abp Depo: „Boleśnie powróciły wypowiedzi, że w Polsce rządzi Konstytucja, a nie Ewangelia". Abp Jędraszewski: „Związki homoseksualne nie mają nic wspólnego z bożym zamysłem wobec człowieka i są szyderstwem z Boga". Abp Michalik: „Dzisiaj każdy, kto spojrzy na Matkę Najświętszą w niebie, na Jej życie i zasługi w dziele odkupienia, ten widzi samokompromitację niezrównoważonych ruchów feministycznych".

KOLOR. „Irlandzcy biskupi zaprosili gejowskie pary na Spotkanie Rodzin w Dublinie" – donosi Tomasz Terlikowski i krytycznie przygląda się kolorom ornatów, które na uroczystości w Irlandii uszyła rodzinna firma z Piotrkowa Trybunalskiego. Beżowe, różowe i zielone szaty to – zdaniem publicysty – kolory raczej nie liturgiczne, a „takie bardziej ciepłe".

SAMOCHÓD. Irlandzkie media podają z kolei, że Franciszek, który odwiedzi Dublin, z lotniska do rezydencji prezydenta Irlandii Michaela D. Higginsa pojedzie granatową skodą rapid. Samochód – na życzenie papieża – zostanie przekazany później jednej z irlandzkich organizacji charytatywnych.

KONFESJONAŁ. W Bazylice Matki Bożej Anielskiej w Kalwarii Zebrzydowskiej zakonnicy zamontowali sześć nowych i – jak podają lokalne media – luksusowych konfesjonałów. Wyprodukowane we Włoszech, wyposażone są w ogrzewanie oraz klimatyzację, systemy uruchamiane przez spowiednika w zależności od pory roku. Są też dźwiękoszczelne.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

MARCIN ŻYŁA, autor tekstu o hiszpańskiej polityce migracyjnej (s. 46), będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz w „Światopodglądzie" Radia TOK FM w środę 22 sierpnia o godz. 15.20

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
– www.tokfm.pl

Klub kary śmierci

PIOTR SIKORA

ZMIANA KOŚCIELNEGO NAUCZANIA NA TEMAT KARY ŚMIERCI, wprowadzona do Katechizmu na polecenie papieża Franciszka, wciąż wzbudza gwałtowne reakcje. 15 sierpnia na jednym z najważniejszych konserwatywnych amerykańskich portali katolickich, FirstThings.com, ukazał się list otwarty do kardynałów podpisany przez 45 osób, w większości profesorów katolickich uczelni. Autorzy uznają ostatnie zmiany za sprzeczne z nauczaniem Biblii oraz tradycją Kościoła i apelują, by kardynałowie wpłynęli na papieża, aby zakończył – jak to określają – „ciężki skandal".

Sposób wprowadzenia zmiany w Katechizmie i reakcje na nią pokazują, że w Kościele coraz trudniej o dialog. Franciszek – inaczej niż w przypadku komunii dla rozwodników – nauczanie o karze śmierci zmienił bez szerszych konsultacji, wbrew własnym deklaracjom o właściwym sposobie funkcjonowania Kościoła. Z drugiej strony głosy przeciwników reform pokazują, że trudno się z nimi rozmawia – oni „wiedzą", jaka jest prawda, a kto myśli inaczej, ten heretyk. ©℗

HERCULES MILAS / ALAMY STOCK / BEW

Mniej wolności dla pustelników

SYNOD GRECKIEGO KOŚCIOŁA PRAWOSŁAWNEGO wydał encyklikę podporządkowującą wspólnoty pustelnicze władzy biskupów. Dotychczas cieszyły się one autonomią: jedyne zobowiązanie dotyczyło wymieniania imienia biskupa w modlitwach liturgicznych. Odtąd pustelnicy będą musieli poddać pod kontrolę hierarchii sprawy finansowe, a nawet styl życia. Wydanie przepisów tłumaczy się narastającymi napięciami między biskupami a pustelnikami.

Spory pustelników i hierarchów mają rodowód starożytny: Ojcowie Pustyni funkcjonowali w faktycznej niezależności od biskupów. Chociaż nieraz ich wspierali, nie tylko teologicznie (np. podczas kryzysu ariańskiego tworząc „milicje" napadające na heretyków), to przysparzali też problemów, np. grożąc biskupowi Aleksandrii, że jeśli nie potępi poglądów Orygenesa, podpalą jego siedzibę. Sobór chalcedoński (451 r.) dał biskupom władzę nad pustelnikami, źródła jednak nie wskazują, by te przepisy były stosowane. ©℗ MACIEJ MÜLLER

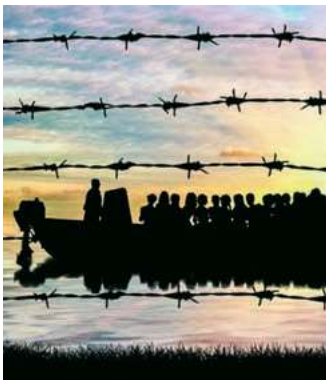

MATERIAŁY PRASOWE / TVN

Dlaczego telewizja to nie życie

„POZBAWIENI PORTFELI, telefonów i paszportów trafią do obozu dla uchodźców, znajdą się na łodzi z przemytnikami, będą mieli także okazję zobaczyć na własne oczy, jak wygląda życie w miejscu, gdzie panuje destabilizacja". Tak, niczym wycieczkę do parku przygód, reklamuje telewizja TVN jesienną premierę programu „Wracajcie, skąd przyszliście", w którym sześciu Polaków podróżuje tzw. szlakiem migracyjnym na Bliski Wschód. I choć prezenter Piotr Kraśko broni (już nakręconej) audycji przed zarzutami o czynienie z dramatu widowiska, trudno nie czuć niepokoju, czytając w komunikacie stacji o uczestnikach programu, że „przez prawie miesiąc będą żyli jak uchodźcy i z uchodźcami".

Nie, nie będą. Dano im więcej niż kilka minut na spakowanie się do podróży. Nikt ich do niej nie zmuszał. Wiedzieli, co się dzieje z ich bliskimi. Nie wyjechali z traumą wojny. Mieli świadomość terenu, po którym się poruszali. Wątpliwe, aby przekraczali nielegalnie granice. W razie wypadku nikt nie zostawiłby ich bez pomocy. Nie bali się o zdrowie dzieci. I żaden z nich nie musiał się zastanawiać, jak będzie wyglądać jego przyszłe, nowe życie na obczyźnie.

Wreszcie, nie będą żyć jak uchodźcy z prostego powodu: wszyscy mają dom, do którego mogli wrócić. ©℗ MARCIN ŻYŁA

HIROYUKI ITO / GETTY IMAGES

ZMARŁA ARETHA FRANKLIN 76-letnia piosenkarka była nie tylko królową muzyki soul, ale także świadkiem i uczestniczką walki o równouprawnienie (jej przebój „Respect" stał się manifestem kobiet domagających się szacunku nie tylko wśród czarnoskórych i nie tylko w USA). Po latach mogła śpiewać na prezydenckich inauguracjach Jimmy'ego Cartera i Baracka Obamy. Czy świat za jej życia zmienił się na lepsze? Na wieść o śmierci artystki Donald Trump nie omieszkał się pochwalić, że „pracowała dla niego przy różnych okazjach" – wygląda więc na to, że jej pieśń o szacunku długo jeszcze będzie brzmieć jak protest song. Więcej: powszech.net/aretha © MO

ISTOCK / GETTY IMAGES

Gust komara

ZAWSZE TO POWTARZAMY: naukowcy też ludzie. Czy to więc przypadek, że Richard Halfpenny, brytyjski biolog specjalizujący się w zwyczajach pokarmowych komarów, opublikował właśnie w ubiegłym tygodniu artykuł o tym, dlaczego komary atakują różne osoby z różną częstotliwością?

Mało jest tematów, które doczekały się tylu teorii ludowych: a to, że słodka krew, a to, że komary lubią sól, więc się nie poć, a to, że cienka skóra. Naukowcy od lat testowali najróżniejsze teorie, związane głównie z bukietem zapachowym człowieka. Wiemy stąd, że dwutlenek węgla (dla ludzi bezwonny, ale dla komarów będący ważnym źródłem informacji), kwas mlekowy czy amoniak pomagają tym owadom namierzać potencjalny cel. To jednak mało.

Decydujący okazał się skład gatunkowy naturalnie występujących na powierzchni ciała mikroorganizmów, czyli mikrobiomu. W ostatniej dekadzie badania mikrobiomu zrobiły oszałamiającą karierę w medycynie. Wiemy stąd, że jest on unikalny u każdego człowieka, zmienny w czasie, częściowo dziedziczony... zależy zaś od niego nasza odporność, ale też np. poprawne trawienie.

Jak więc można oszukać krwiożercze samice komarów? Trwają prace nad sprejem zawierającym związki lotne, które emitują „nielubiane" przez komary gatunki bakterii. Jeśli zaś chcemy sami wpłynąć na profil swojego mikrobiomu, zmiana kosmetyków do skóry i diety to dwa pewniaki. A czy uda się przy okazji zdezorientować komary? Do badań!

© ŁUKASZ LAMŻA

OJCIEC ZOSTAJE TATĄ

W Polsce z urlopu rodzicielskiego korzysta tylko 1 proc. mężczyzn, w Szwecji – ponad 90. Nowa dyrektywa UE mówi o czterech miesiącach urlopu tylko dla ojców, ale nasz Senat uznał, że to zagrożenie wolności, promocja gender i początek islamizacji.

TEKST KRZYSZTOF STORY
ILUSTRACJE BARBARA NIEWIADOMSKA

Kilka tygodni temu Parlament Europejski skierował do dalszych prac dyrektywę w sprawie równowagi między życiem zawodowym a prywatnym. Jeden z jej artykułów stanowi, że każdy ojciec będzie miał prawo do co najmniej dziesięciu dni urlopu po narodzeniu dziecka, bez względu na określony prawnie stan cywilny. Inny przewiduje, że urlop ten ma być płatny co najmniej tak, jak zwolnienie chorobowe (w Polsce 80 proc. pensji). Artykuł 5. mówi o prawie do indywidualnego urlopu rodzicielskiego, liczącego co najmniej cztery miesiące, który można wykorzystać do 12. roku życia dziecka.

Najwięcej kontrowersji wzbudziło zastrzeżenie zawarte w tym samym przepisie: „W przypadku gdy państwa członkowskie umożliwiają jednemu z rodziców przekazanie uprawnień do urlopu rodzicielskiego drugiemu z rodziców, zapewniają one, by co najmniej czterech miesięcy urlopu rodzicielskiego nie można było przenieść na drugą osobę".

W praktyce oznacza to cztery miesiące urlopu rodzicielskiego dla każdego ojca – cztery miesiące, których nie może przekazać matce. Jeśli ich nie wykorzysta, przepadną.

Cztery miesiące

Nowe prawo ma zachęcić ojców do większego uczestnictwa w życiu rodziny. „Wykazano, że korzystanie przez ojców z rozwiązań takich jak urlopy ma pozytywny wpływ na ich zaangażowanie w późniejsze wychowanie dzieci" – czytamy w uzasadnieniu. Celem jest też walka z nierównościami na rynku pracy. – Dziś urlopy rodzicielskie, nawet jeśli są dostępne dla obojga rodziców, realizują prawie wyłącznie kobiety – tłumaczy europosłanka Agnieszka Kozłowska-Rajewicz, zaangażowana w prace nad projektem. – Z tego względu kobiety są postrzegane jako pracownicy wysokiego ryzyka. Skutkiem tego jest luka zatrudnieniowa, płacowa i emerytalna.

Faktycznie: wskaźnik zatrudnienia kobiet w UE jest o ponad 11 proc. mniejszy niż u mężczyzn. W niektórych krajach UE kobiety zarabiają aż o 28 proc. mniej, a przeciętna kobieca emerytura w Unii jest aż o 40 proc. niższa niż męska.

W lipcu 2018 r. Komisja Zatrudnienia i Spraw Socjalnych PE popiera dyrektywę. Przeciw są – jako jedyni – europosłowie PiS. Ryszard Czarnecki w wypowiedzi dla portalu OKO.press mówi: „Jesteśmy za płatnymi urlopami tacierzyńskimi, ale uważamy, że to rodziny i małżeństwa powinny decydować o tym, jak korzystać z tych uprawnień. Jeśli ojciec nie ↦

↦ jest w stanie tego wykorzystać, matka powinna mieć prawo przejąć ten urlop. Komisja Europejska nie powinna narzucać rodzinom, kto ile ma tego urlopu brać".

Po głosowaniu w Komisji projekt trafia do negocjacji z Radą Europejską (przedstawicielami państw członkowskich). Wiele państw ma zastrzeżenia, ale tylko dwa składają żółte kartki, wetując cały projekt. Pierwszym jest Holandia, która uważa, że cztery miesiące to za mało, a projekt ograniczy rozwiązania obowiązujące już na jej terenie. Drugim jest Polska.

Prawdziwi mężczyźni

Polskie władze były przeciw już rok temu, kiedy KE przedstawiła pierwszy projekt dyrektywy. Szczególnie burzliwa była debata senacka. Z mównicy grzmiał m.in. Jerzy Czerwiński (PiS): „Chcę, żeby zgodnie z naszymi obyczajami pierwsza miała możliwość przejścia kobieta, żebyśmy jej ustępowali miejsca, bo to są nasze tradycje, nasze obyczaje. Ja sobie nie życzę, żeby Unia nam to zmieniała. Niech się zajmie tym, do czego została stworzona, bo z tym sobie nie daje rady".

Pozostałe państwa też miały wątpliwości, ale dotyczyły one głównie artykułu 8., czyli wysokości świadczeń. Sześć krajów, m.in. Hiszpania, w ogóle nie finansuje dziś urlopów rodzicielskich, w kilku są finansowane bardzo słabo. Tam propozycja Komisji oznacza ogromne koszty. W Polsce mamy jednak wysoko płatne urlopy rodzicielskie – jeden z najbardziej rozbudowanych systemów w Europie. Dyrektywa nie jest więc problemem dla budżetu. Cztery miesiące urlopu dla ojca mogą być natomiast, przynajmniej według senatora Czerwińskiego, zagrożeniem dla polskiej tradycji, kultury, a nawet męskości.

„Bo, proszę państwa, to, że w Europie mężczyźni przestają być mężczyznami, wiąże się niestety także z tym, że kobiety przestają być kobietami. To się jakby zjeżdża – oskarża polityk PiS. – Efekt jest taki, że wchodzi islam z prawdziwymi mężczyznami. Chcecie państwo tutaj mieć taką równość? Bo ja nie. Ja chcę mieć w Polsce po prostu kobiety i mężczyzn. Bo tak po prostu urządziła nam to natura, a właściwie Bóg".

W opinii Senatu czytamy więc, że dyrektywa „ingeruje w życie rodzinne i odbiera rodzicom prawo decydowania o sposobie sprawowania przez nich opieki nad dzieckiem i planowania życia zawodowego".

Wolność ojca, wolność matki

Senator Czerwiński tłumaczył się później ze swojego emocjonalnego wystąpienia. Podobnie jak Czarnecki mówił, że dyrektywa niepotrzebnie narzuca sztywne ramy urlopów. „U nas w tej chwili jest taka sytuacja, że urlop rodzicielski może być wzięty albo przez matkę, albo przez ojca. Zależy, jak rodzinie pasuje".

To jednak tylko część prawdy. Urlopem rodzicielskim (32 tygodnie, 60 proc. pensji) rodzice mogą się podzielić, ale wcześniej matka ma obowiązek wziąć urlop macierzyński. Nie może się go zrzec, a ojcu może przekazać tylko ostatnie 6 z 20 tygodni. Na specjalny wniosek i tylko jeśli ojciec jest zatrudniony na umowę o pracę. Podczas macierzyńskiego mama otrzymuje 100 proc. pensji. Pełnopłatny jest też dwutygodniowy urlop ojcowski.

Czerwiński mówił: „Nie zostały przedstawione jasne uzasadnienia, dlaczego tak ma być. Brak tego uzasadnienia rodzi podejrzenie, że to jest kolejny krok unijny, który ma na celu propagować ideologię *gender*. To znaczy, że obie płcie są równe, że jest rodzic numer 1 i rodzic numer 2".

Senator był jednak w błędzie: w samym projekcie dyrektywy uzasadnienia zajmują 11 stron. Nie ma w nich mowy o zrównywaniu obojga rodziców. Przeciwnie: podkreśla się, że i ojciec, i matka są potrzebni w wychowaniu, bo przekazują dziecku inne wartości.

Jeden na sto

Podstawowy argument przeciwko urlopom dla ojców brzmi: „tatusiowie już teraz mogą iść na rodzicielski. Nie robią tego, bo po prostu nie chcą". Potwierdzają to statystyki. Co prawda dwutygodniowe urlopy ojcowskie są coraz popularniejsze – w pierwszym półroczu 2018 r. skorzystało z nich ponad 82 tys. osób, ale na dłuższy urlop rodzicielski zdecydowało się zaledwie 2,5 tys. mężczyzn. Kobiet było ponad sto razy więcej (275 tys.).

Dlaczego tylko w jednej na sto rodzin z urlopu korzystają oboje rodzice? – Mężczyźni często boją się spróbować, partnerki boją się im pozwolić. Jest wrażenie, że facet sobie nie poradzi, że nie jest gotowy – mówi dr Katarzyna Suwada, socjolog z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. – W Szwecji było tak samo.

Suwada od lat zajmuje się tematem ojcostwa. Jej książka „Men, Fathering and the Gender Trap" to porównanie roli ojca i modelu męskości w Polsce i Szwecji.

– W Szwecji, jeszcze bardziej niż u nas, dominował typ nieobecnego ojca-żywiciela rodziny – opowiada. – Kiedy w 1974 r. wprowadzili urlopy rodzicielskie, korzystało z nich ok. 3 proc. mężczyzn.

W 1995 r. Szwedzi zarezerwowali miesiąc urlopu tylko dla ojców. W 2002 r. dołożyli drugi. W 2016 r. – trzeci. Dziś z urlopów korzysta tam ponad 90 proc. ojców, prawie tyle samo co kobiet. Zmiana była szybka i duża, a na pewno nie było tak, że byli bardziej gotowi niż my teraz.

Sport

Krzysztof został w domu sam. Sam, czyli sam na sam z dzieckiem. Wziął prawie rok urlopu rodzicielskiego (żona zarabiała więcej) i znalazł się wśród tego procenta polskich ojców.

Przez ten rok głównie się dowiadywał. Nie tylko, jak przewijać, jak karmić i co robić, gdy dziecko płacze. Dowiadywał się też, dlaczego wcześniej żona nie zawsze czekała z obiadem. Dlaczego bywała zestresowana, zmęczona i zła. Dowiadywał się, że dziecko nie zawsze jest urocze, posłuszne i ciekawe świata. Czasem było mu ciężko. Niekiedy brał telefon, dzwonił do znajomych i się wygadywał. – Dopóki nie zostałem w domu, nie zdawałem sobie sprawy, jakie to trudne – mówił.

Kobiety poświęcają średnio ok. pięciu godzin dziennie na obowiązki domowe. Mężczyźni – prawie dwa razy mniej. Tygodniowa różnica wynosi 17,5 godziny – ponad 11 meczów piłki nożnej.

– Opieka nad dzieckiem, praca w domu wciąż są niedoceniane – mówi dr Suwada. – Są niemęskie.

Zdaniem socjolożki sytuacja się jednak zmienia. Podział obowiązków domowych coraz częściej wymusza ekonomia. Pracować muszą i ojciec, i matka. Miejsce w żłobku znajduje tylko co dziesiąte dziecko (w Szwecji ponad 75 proc.). Opieką trzeba się dzielić.

– Wielu mężczyzn dopiero odkrywa, że bycie zaangażowanym ojcem przynosi mnóstwo korzyści – tłumaczy Suwada. – Poprawia relacje z partnerką, buduje więź z dzieckiem. Moi rozmówcy dostrzegają, że mężczyznę definiuje już nie tylko praca.

Nowy model męskości kształtuje się powoli. Do początków XX w. ojciec pełnił w rodzinie funkcję władcy. Podejmował decyzje, wymagał bezwzględnego posłu-

szeństwa. Kolejną fazę socjologowie nazywają „czasem nieobecności ojca”. Nieobecności głównie emocjonalnej – jedynym zadaniem ojca-żywiciela rodziny było zapewnienie środków do życia. Gdy w 2007 r. „Gazeta Wyborcza” organizuje kampanię „Powrót Taty”, jedynie trzy osoby na sto mogą powiedzieć, że kiedykolwiek rozmawiały z własnym ojcem o uczuciach.

Osiem lat później Joanna Włodarczyk prowadzi badania „Być Tatą”. Wyróżnia kilka aspektów życia dziecka (m.in. pomoc w nauce, wizyta u lekarza, przygotowanie posiłków) i pyta 500 mężczyzn, kto jest za nie odpowiedzialny. Odpowiedzi są trzy: głównie matka, głównie ojciec, oboje rodzice. Mamy wygrywają prawie wszystkie kategorie: kontakty z nauczycielami – 26 proc., pielęgnacja niemowlęcia – 39 proc., przygotowanie posiłków – 40 proc.

Ojcowie prowadzą w jednej: uprawianie sportów.

Połykał świat

– Nie widzę zmiany z roku na rok. Widzę za to dużą zmianę pokoleniową. Mężczyźni, opowiadając, jakim chcą być tatą, mówią: „innym niż mój ojciec” – to słowa Anny Cichoń, psychoterapeutki, od dziesięciu lat pracującej z parami, mężatki, mamy Hani i Helenki. Rozmawiamy przez telefon. Akurat ma chwilę, bo mąż kąpie córeczki. – Rodzina to dzisiaj dla facetów ogromna wartość. Nie jest tylko odpowiedzialnością, obowiązkiem, ale przede wszystkim przyjemnością. Radochę z tego mają – dodaje.

Łukasz w pracy oprowadza turystów po Gdańsku. W domu ma dwóch synów: Janka i Antosia. – Urodziłem się w 1975 r. – mówi. – Długo dochodziłem do stabilności życiowej. Ale o tym, że chcę być ojcem, wiem od dawna.

W piątej klasie podstawówki zasnął na książce od polskiego. Nie pamięta, co mu się śniło. Pamięta, że obudził się z myślą „będę miał rodzinę”. – Kiedy przywiozłem Jacha ze szpitala, położyłem go na plecach na łóżku. Co on mógł widzieć? Kawałek sufitu. A on się tym absolutnie zachwycił. Ten zachwyt był niesamowity. Po prostu leżał na prześcieradle i połykał świat. Potem mieliśmy mnóstwo problemów z karmieniem. W środku nocy wstawałem gotować mleko, na automacie, nie budząc się prawie. Chodziłem z nim na spacery, a on obserwował, poznawał. Jakie on miał wielkie oczy...

Spotykam się z kolegami i wiesz, o czym rozmawiamy? Problemów w naszym pokoleniu jest dużo, a my gadamy głównie o tym, **jak być lepszymi ojcami**.

Łukaszowi łamie się głos. Płacze. Żona go przytula. – Spotykam się z kolegami i wiesz, o czym rozmawiamy? Problemów w naszym pokoleniu jest dużo, a my gadamy głównie o tym, jak być lepszymi ojcami.

Dwa dni wcześniej Antoś powiedział mu: „jesteś super tatą”. On sam nigdy tak o sobie nie powie.

– Niewielu mężczyzn ma dobry przykład z domu. Te relacje, nawet jeśli poprawne, rzadko były bliskie – mówi Anna Cichoń. – Teraz więc po omacku szukają swojego modelu i intuicyjnie robią dobre rzeczy. Są coraz bardziej otwarci, przyznają się do słabości. Mówią: „nie radzę sobie z emocjami, ze złością”. I chcą się zmieniać.

Paweł (ojciec sześcioletniej Agatki i trzyletniego Filipa) prowadzi z żoną firmę. Zapracowani. Obowiązkami się dzielą, radością chyba też. – Nieważne, jak byłbym zmęczony. Gdy słyszę: „kocham cię, tatuś”, to wszystko znika – mówi. Właśnie spędził z dzieciakami cały dzień. Spacer wokół jeziora, obiad, plac zabaw. Bez mamy.

Oksytocyny nie ma

– Mężczyźni, którzy zostają w domu, dużo zyskują – powtarza Katarzyna Suwada. – Odkrywają, że umieją zaopiekować się dzieckiem. Że to jest umiejętność, której można się nauczyć. Kobiety wcale nie rodzą się z magiczną zdolnością opieki rodzicielskiej.

– Dobrze, że to się zmienia. Związki coraz częściej mają formę partnerstwa – dodaje Anna Cichoń. – Mogę być subiektywna, bo moi klienci to głównie ludzie z wyższym wykształceniem, z dużego miasta, ale podobnie ewoluuje relacja ojciec–dziecko. Dziecko przestaje być przedmiotem, który je, uczy się, słucha i jest grzeczny albo niegrzeczny. To relacja podmiot–podmiot, uwrażliwienie na więź, potrzeba bliskości. To zadawanie czterolatkowi pytania: „a co ty o tym myślisz?”.

Rozmówcy „Tygodnika” zazwyczaj nie wierzą w to, że dadzą radę zaopiekować się dzieckiem. Rzadko myślą o sobie jako o dobrych ojcach. – Mężczyznom jest trudniej, nawet jeśli się angażują. Z jednej strony jest chęć bliskości, z drugiej strach przed kumpelskimi relacjami. Boją się, że stracą autorytet – mówi Cichoń. – A przecież dzieci dostają od ojca mnóstwo wartościowych rzeczy. Mnóstwo zabawy, więcej swobody. U mnie to siłowanie, przepychanki, bitwy na poduszki. Mamy są zwykle ostrożniejsze, częściej mają „dzieło wychowawcze” do wykonania.

Czy czteromiesięczny urlop dla ojców byłby zachętą i pretekstem do bliższej relacji? Rafał (ma trzynastoletniego syna i dziesięcioletnią córkę) zgadza się z tym poglądem: – Wykorzystałbym każdy dzień takiego urlopu. Wydaje mi się, że jeśli chodzi o budowanie relacji, to jest on nawet bardziej potrzebny ojcu niż mamie. Kobieta z niemowlęciem ma naturalny kontakt od początku. To może być stereotyp, ale w jej ciele jest mnóstwo hormonów, które ułatwiają budowanie więzi. Dla faceta w większości przypadków kontakt z nowym życiem zaczyna się po powrocie ze szpitala. Nie ma w sobie oksytocyny, dopaminy i innych. Widzi osobnego od siebie człowieka i bardzo chce (a przynajmniej ja o tym marzyłem) zostać jego przyjacielem.

© KRZYSZTOF STORY

GRAŻYNA MAKARA

Zadania miłosne

PROF. BOGDAN DE BARBARO, PSYCHOTERAPEUTA:

Dziś ojciec niemowlęcia nie powie do kobiety: „Opiekuj się nim, ja idę do pracy, zgłoście się do mnie za siedem lat, zrobimy postrzyżyny i pójdę z nim na polowanie”. Wie, że tym patriarchalnym wzorcem sam by się skrzywdził.

PROF. BOGDAN DE BARBARO jest psychiatrą, psychoterapeutą, superwizorem psychoterapii i terapii rodzin. Kierownik Katedry Psychiatrii Collegium Medicum UJ.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Jacy mężczyźni otaczali Pana w dzieciństwie?

PROF. BOGDAN DE BARBARO: Na pewno ważni byli dziadkowie. Dziadka „tacinego” zniszczyła I wojna światowa, w której został ranny, i do końca życia niedomagał. Wyraźnie zapamiętałem jedną scenę: siedzę mu na kolanach, muszę być bardzo mały, bo zmarł, gdy miałem trzy lata. Drugi dziadek, lekarz i podpułkownik Wojska Polskiego, zginął w Katyniu. Był osobą, która w rodzinie współtworzyła legendę mężczyzny heroicznego. Takiego, który ma oddać życie za ojczyznę. Niedawno rozmawiałem z ciocią, jego córką, młodszą siostrą mojej mamy. Z przyjemnością słuchałem, że troszczył się o pacjentów i nie dbał o splendory społeczne. Śmierć w Katyniu być może była ukoronowaniem tej legendy.

Podobała się Panu ta legenda?

Tak, ona mnie współkształtowała. Podobnie jak inny obraz, w którego centrum był ojciec. Są święta, w pokoju stoi choinka, która nagle zaczyna spadać. Słyszę pisk kobiet, a ojciec daje susa i łapie drzewko.

Symboliczne.

I bardzo dobrze charakteryzuje ojca, który gwarantował poczucie bezpieczeństwa. Jest jeszcze jedna rzecz pielęgnowana w mojej rodzinie: listy dziadka pisane z drogi do Katynia. Są dla nas niczym relikwia.

Jako terapeuta rodzinny jestem uwrażliwiony na związki pokoleniowe i sposób, w jaki tworzy się etos rodzinny. Mam świadomość, że to, co jest we mnie i jak patrzę na świat, współzależy od moich przodków, także tych, których nie poznałem.

Pewnie ta legenda o dziadku miała wpływ na to, że został Pan lekarzem. A ojciec poświęcał Panu uwagę?

Poświęcał. Po pracy brał mnie na spacer, na rower, na piłkę. Dużą wagę przywiązywał do sportu.

A mama?

Była pracownikiem naukowym, a gdy wracała do domu, to szła do kuchni. Ojciec rzadko tam wchodził, ale zajmował się mną i moim rodzeństwem. Nie wpisywał się w model: dzieci mnie nie obchodzą, niech się nimi zajmą kobiety.

Jest Pan szczęściarzem. W latach 50. i 60. ojcowie rzadko okazywali zainteresowanie własnym dzieciom.

Tak, mam poczucie, że z rodzicami to mi się udało. Im bardziej przybywa mi lat, tym większą mam dla nich wdzięczność.

A kiedy już Pan zaczął pracować jako psychoterapeuta, to – przypuszczam – rzadko pacjentami byli mężczyźni.

Nadal tak jest. To, że klientami psychoterapeutów w olbrzymiej większości są kobiety, jest zjawiskiem hormonalno-społecznym. Hormonalnym, bo kobiecie łatwiej o empatię i otwarcie uczuciowe, m.in. przez obecność oksytocyny w organizmie. Społecznym, bo taki jest wymóg kulturowy. Mężczyzna krępuje się rozmawiać o swoich emocjach zarówno sam ze sobą, jak z drugą osobą.

Lęka się własnej słabości?

Można to też nazwać niepewnością. W mężczyźnie jest mocno zakorzeniony wzorzec: bądź silny, jednoznacznie określony, wiedz, co dobre, a co złe. To jego utrapienie, z którym radzi sobie coraz gorzej. Liczne objawy psychosomatyczne, a nawet banalny ból głowy, to często problemy emocjonalne przełożone na fizyczne dolegliwości. Trudności uczuciowe, konflikty rodzinne, niepokoje nieznanego pochodzenia, mężczyzna woli, a może raczej poczuwa się rozwiązywać samemu.

Może ważniejsze będzie tu rozróżnienie nie na kobiety i mężczyzn, tylko na tych, którzy bardziej dojrzale lub mniej dojrzale rozwiązują swoje wewnętrzne problemy. Gdyby rozważać kwestię upadającego patriarchatu – bo przecież ta społeczna konstrukcja trzęsie się coraz mocniej – to jedni będą szukać kleju, by pękające mury patriarchatu remontować, inni będą przyjmować zmianę spokojnie, a będą i tacy, którzy widząc, co się dzieje, będą tupać nogami i protestować.

Są i tacy, którzy dostrzegając nonsens patriarchatu, odczuwają ulgę i radość, że ta wersja relacji międzyludzkich ma się ku upadkowi.

Patriarchat trzęsie się, bo kobieta się wykształciła i uniezależniła ekonomicznie?

Bo, fundamentalnie rzecz biorąc, nie ma powodu, by ktoś, kto ma inny chromosom, miał władać kimś, kto nie jest głupszy i mniej inteligentny, a jest wrażliwszy i potrafi coś wnikliwej zobaczyć. To oczywista niesprawiedliwość i trudno nie przyznać racji kobietom, które cierpią z powodu tej niesprawiedliwości i chcą ją zmniejszyć.

Jasne: zdarzają się tacy, którzy widzą sens, by władza należała do mężczyzn. Ale taka wersja jest coraz bardziej śmieszna i trudno z nią dyskutować. Raczej trzeba współczuć Januszowi Korwin-Mikkemu, niż podejmować z nim dyskusję, kiedy opowiada, że kobieta ma mniejszy mózg od mężczyzny.

Mężczyźni, którzy zgłaszają się do Pana o pomoc, mają właśnie problem z „trzęsącym się" patriarchatem?

Na ogół przychodzi do mnie para w kryzysie. Wstępna opowieść mężczyzny jest taka, że dotąd było wszystko dobrze, czyli ona – żona i matka – tak pięknie dbała o ognisko domowe, a teraz chce po odchowaniu dzieci wracać do pracy. Mówi: „Nie po to skończyłam studia, by siedzieć w domu, sprzątać i gotować". Dla mężczyzny to niepojęte i czuje się zagrożony, bo przez dziesięć lat małżeństwa pozostawał w roli patriarchalnego władcy. Postulat żony automatycznie wprawia go w niepokój: zagrożona jest jego, tradycyjnie rozumiana, męskość.

I w pracach domowych będzie musiał pomóc...

Cały problem da się sprowadzić do frazy: „Tak było dobrze, a ty coś teraz wymyśliłaś". A tymczasem to, jak było, już się nie wróci. Bo „było dobrze" jednym, a inni, a właściwie: inne nie miały dobrze. Chodzi tu więc zarówno o indywidualną historię mężczyzn, którzy w ostatnich dwóch dekadach trafiają do gabinetów terapeutycznych, jak i o głęboką kulturową zmianę. Jedni sobie na tym zakręcie radzą, a inni wpadają do rowu.

Gdy wpadną do rowu, to co się dzieje?

Na przykład przemoc. Albo rozejście się pary. Chociaż do psychoterapeutów trafiają mężczyźni, którym zależy na związku, więc szukają zrozumienia sytuacji. I wtedy zderza się w nich wersja męskości, którą podpowiadają współczesne media, łącznie z tezą, że mężczyzna i kobieta mają równe prawa, z głosem dziadów i pradziadów, którzy drwią z niego jako pantoflarza.

Psycholog społeczny Philip Zimbardo w książce „Gdzie ci mężczyźni?" też drwi z pantoflarzy, tyle że w innym kontekście. Twierdzi, że mężczyźni masowo skapcanieli. Zamiast podejmować wyzwania i budować stabilne relacje, uciekają w wirtualne światy, gdzie łatwo o podnietę i nagrodę. Unikają odpowiedzialności, nie kończą szkół, pozwalają się utrzymywać kobietom. Stracili życiowy azymut i napęd. Uważają, że wszystko im się należy. Zimbardo zamiast oskarżać zaborcze matki, które wychowują słabych i narcystycznych synów, za ten stan rzeczy obarcza winą m.in. ogólnodostępność pornografii. Radzi, by mężczyźni traktowali kobiety po partnersku i więcej czasu spędzali z dziećmi.

Kluczowy jest poziom dojrzałości emocjonalnej. Czy mężczyzna będzie uciekał w to, o czym mówi Zimbardo, czy okaże się na tyle elastyczny, że zasymiluje kulturowe zmiany i zrozumie gniew kobiet. Bo przecież gdy ktoś traci władzę, to nie dzieje się w ten sposób, że sam się detronizuje i z uśmiechem, łagodnie ustępuje miejsca.

Pytanie, jak długo ta zmiana ku równości będzie się działa poprzez walkę. Innymi słowy, albo przyjmiemy wersję, że jedna płeć ma rządzić drugą, a walka rozstrzygnie, kto zdobędzie władzę, albo będzie to współbudowanie i otwartość na wartości inne niż własne. W naszej ↦

RDC POLSKIE RADIO

KATARZYNA KUBISIOWSKA będzie gościem Nuli Stankiewicz w środę 22 sierpnia o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można odsłuchać także w podcastach na stronie internetowej radia.
Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

↦ kulturze te dwie tendencje się przeplatają i pojawia się pytanie, czy idziemy w negocjacje czy w walkę i gniew.

Gniew kobiety może przerażać. Czai się w nim element zemsty za los matek, babek, prababek, wszystkich przodkiń wykluczonych ze społecznego życia.

Znam swój ród wiele pokoleń wstecz, ale głównie czytam o różnych mężczyznach z drzewa genealogicznego – wiedza na temat kobiet kończy się na poziomie babć. Moja „duma rodowa" rozgląda się po przodkach, ale żadnej kobiety tam nie uświadczy. To moja poważna strata.

Kobiety więc wyrażają gniew za te pokolenia, w których były spychane na margines życia i w niepamięć. Jeśli mężczyzna będzie próbował odpowiedzieć kontrą, to ma przechlapane.

Najczęściej odpowiada kontrą.

Można próbować go zrozumieć, bo gdy ktoś atakuje, to wyjmie nie tylko tarczę, ale i miecz. Taka odpowiedź na ten radykalny kobiecy sprzeciw to jednak ścieżka destruktywna. Możliwe, że to niezbędny etap, ale im krócej będzie trwał, tym szybciej nastąpi etap drugi: wzajemnego szacunku.

Chyba jest Pan idealistą.

Wierzę, że jednym z najważniejszych problemów politycznych i egzystencjalnych jest nasz stosunek do inności. To może być ktoś innej orientacji seksualnej, innej religii czy innego koloru skóry. Ale dla mężczyzny tym Innym jest kobieta, a dla kobiety – mężczyzna.

Pojawia się fundamentalne pytanie: czy ja Innego się boję, czy Inny mnie zaciekawia? Bo jeśli na Innego reaguję jako na szansę wewnętrznego wzbogacenia się, to wtedy dostrzegam i przyjmuję w sobie elementy kobiecości, podobnie jak kobieta przyjmuje i pogłębia w sobie elementy męskie.

Niekiedy reagujemy obronnie wchodząc w walkę z własną innością.

Własną?

Początek inności jest zawsze w człowieku. Homofob boi się własnego pierwiastka homoseksualnego, dlatego go wypiera i na zewnątrz przeprowadza atak na homoseksualistów.

Element kobiecy w mężczyźnie to sfera związana z empatią?

Kłopot mężczyzny może polegać na tym, że **wstydzi się tkliwości i czułości.** To patriarchalna pułapka. Gdy zdoła się z niej wydostać, na pewno otrzyma więcej, np. bliskość.

Tak, jeśli przyjąć, że mężczyzna to ten, który jest racjonalny i twardy, a kobieta – delikatna i miękka. Można te cechy spolaryzować do karykatury i wtedy okaże się, że ten twardy i silny, nazwijmy go „myśliwym", jest gotów poszerzyć siebie samego o empatyczność. Swoją drogą możliwe, że wtedy będzie miał mniejszą ochotę strzelać do zwierząt w czasie polowań.

Ja widzę, że to głównie kobiety przejmują cechy męskie – utrzymują rodziny i podejmują kluczowe decyzje; one coraz częściej pełnią rolę „myśliwych". I nie są z tym szczęśliwe. Podobnie jak nie są szczęśliwi mężczyźni.

Pojawia się zatem pytanie, co kogo uszczęśliwia. Potrzebą jednych jest walka, nawet jeśli jest opakowana w wysokie idee. Walka może się toczyć o władzę, nawet jeśli jej uczestnicy będą to nazywali walką o sprawiedliwość. Ta sytuacja ma charakter skośny: jeden musi zejść, by drugi mógł wejść. W efekcie kogoś czeka upadek, a kogoś innego – zwycięstwo. Ale są i tacy, którzy nie gustują w walce i mają potrzebę zrozumienia, współpracy, otwarcia na innych. W tym sensie pani swoją kobiecą częścią zauważyła empatycznie, że mężczyzna ma teraz ciężko. Pojawia się pytanie, czy mężczyzna swoją kobiecą częścią jest w stanie dostrzec, że kobiety biorą rewanż za poprzednie pokolenia i że to zasługuje na zrozumienie. Albo że kobiecie należy się taka sama pensja jak mężczyźnie.

Są też korzystne zmiany. Może nadal mężczyzna ma kłopot z przyjęciem inności kobiety, ale na pewno dużo bardziej akceptuje inność własnego dziecka. Marny mąż bywa kochającym ojcem.

Istnieje różnica między innością między kobietą i mężczyzną a innością między rodzicem i dzieckiem. W inności kobiety i mężczyzny wystarczy być otwartym i przeżywać prawo do równego traktowania, mieć świadomość, że ta druga osoba – jakże inna – jest równie ważna i zasługuje na szacunek. W przypadku bycia rodzicem trudność polega na tym, by dostosować poziom wolności dziecka do możliwości wykorzystywania tej wolności przez dziecko. Gdy dziecko ma osiem tygodni, to jest inna sytuacja niż wtedy, gdy ma lat piętnaście. To są dwie różne sztuki: bycie rodzicem dwumiesięcznego oseska i bycie rodzicem piętnastolatka. Pierw-

sza wymaga czuwania, by o dobrej porze dziecko dostało mleko, a druga – kontenerowania buntu. Niemowlę nie przeżyłoby bez pełnej odpowiedzialności za niego, a nastolatek jest przekonany, że ma już wszystkie prawa, choć jeszcze nie posiada wszystkich umiejętności. Chyba bardziej skomplikowane jest towarzyszenie dorastaniu dziecka nastoletniego.

Płynie stąd wniosek, że kruszejący patriarchat służy także mężczyźnie, który dostaje szansę, by stać się partnerem dla kobiety i zbudować autentyczną relację z dzieckiem.

Pełna zgoda. Wraz ze schodzeniem z cokołu przybywa zadań miłosnych.

Dziś ojciec ośmiotygodniowego dziecka nie powie do kobiety: „Opiekuj się nim, ja idę do pracy, zgłoście się do mnie za siedem lat, zrobimy postrzyżyny i wyruszę z nim na polowanie". Ma świadomość, że tym patriarchalnym wzorcem coś by sobie odebrał i po prostu by się skrzywdził.

Kłopot mężczyzny może polegać na tym, że wstydzi się tkliwości i czułości – to jest patriarchalna pułapka. Gdy mężczyźnie uda się z niej wydostać, na pewno otrzyma więcej, np. bliskość.

Pesymistyczną odpowiedź na kruszejący europejski patriarchat dał Michael Houellebecq w „Uległości". Akcja powieści rozgrywa się we Francji w 2022 r., bohaterem jest akademik, który z liberała zmienia się w wyznawcę islamu. Zaczyna żyć i dobrze funkcjonować w kraju, gdzie pracować mogą wyłącznie mężczyźni, dozwolona jest poligamia, kobiety chodzą w czadorach, a wszystko to akceptowane jest przez lwią część dotąd liberalnego społeczeństwa.

Jeśli dobrze pamiętam, to „Uległość" jest też opowieścią o konformizmie.

Tak, nawrócenie głównego bohatera jest czymś takim jak wstąpienie do partii w komunizmie: nie musi oznaczać wiary, lecz pewność etatu i poczucie bezpieczeństwa. Ale przecież społeczeństwa składają się w dużej części z oportunistów. I dla większości patriarchat jest wygodnym, bo sprawdzonym stylem życia.

Problem leży w tym, że od wygodnego oportunizmu niedaleko do ryzykownej głupoty. Bo co z tego, że dziś i jutro mam spokojnie i wygodnie, skoro pojutrze czeka mnie, a zwłaszcza moje dzieci, katastrofa? Jaka jest cena doraźnej wygody? Może nie chcemy tego zobaczyć? Może hasło „nasza chata z kraja" jest dewizą objaśniającą wiele ludzkich poczynań, które na dłuższą metę źle się kończą?

Ale tu musielibyśmy podjąć rozważania o naszych mechanizmach obronnych: jak chętnie fałszujemy autoportret i opisujemy świat w wersji, która nas doraźnie uspokaja, chociaż nie jest prawdziwa. W tym sensie patriarchat, czy szerzej: wersja, w której jesteśmy posłuszni za cenę wolności i uszczerbku na własnej tożsamości, może być popularna. Praca psychoterapeuty w znacznym stopniu polega na obnażaniu mechanizmów, które zafałszowują rzeczywistość. Ale to już problem uniwersalny, niekoniecznie genderowy. Chociaż, być może, dziś u kobiet więcej jest determinacji i przenikliwości, mniej zgody na „jakoś to będzie".

Houellebecq dotyka czegoś ważnego: w świecie pogrążonym w kryzysie poszukuje tęsknoty za mężczyzną, który sprawuje władzę.

Bo ta refleksja, którą w naszej rozmowie przedstawiamy i uznajemy za korzystną, ufundowana jest na pewnej nadziei: że Inny nie jest przeciwko, że mnie nie zabije.

Dochodzimy tu do kwestii kluczowej: jak zrobić, by inność wzbogacała, a nie przetrącała mojej tożsamości.

To pytanie do każdego z nas, ale też do nastolatka w sporze z rodzicami czy do społeczeństwa szukającego sposobu na bycie otwartym bez utraty siebie. W obszarze problemu „męski-żeński" ta sprawa przyjmuje u mężczyzny postać pytania: „Na ile ja będę otwarty na swoją kobiecość i na ile ta zewnętrzna kobieta mnie wzbogaca?".

Terapeuci rodzinni mają za zadanie dostrzegać sprzężenia zwrotne.

Czy będziemy rozmawiać o napięciach między męską i kobiecą częścią w jednostce ludzkiej, czy o napięciach wewnątrzrodzinnych, czy o napięciach społecznych, czy o napięciach międzynarodowych, za każdym razem sednem problemu jest to, co się dzieje między.

Albo narastają napięcie, agresja, gniew, wzajemne unieważnianie, albo otwarcie na inność. I albo proces zmierza ku niszczeniu, albo ku otwarciu i wewnętrznemu rozbrojeniu. Rozbrajam się, kiedy nie boję się drugiego, kiedy on czy ona mnie zaciekawia.

Wówczas – ryzykując – rezygnuję z wersji „wojna", stawiając na dialog i budowanie. Gdy w rodzinie kobieta i mężczyzna są we wzajemnej wściekłości i w gniewie, lecz zgłoszą się do terapeuty, to znaczy, że szukają innej wersji niż niszczenie. Tak jest w gabinecie terapeuty, ale, niestety, nie na całym świecie. ©

Rozmawiała
KATARZYNA KUBISIOWSKA

TP *Laboratorium Psychoedukacji,*

pierwszy polski niepubliczny ośrodek psychoterapii i szkolenia psychoterapeutów, w tym roku obchodzi swoje czterdziestolecie. Z tej okazji **w dniach 30.08 – 1.09.2018 w Folwarku Łochów pod Warszawą** odbędzie się międzynarodowa konferencja naukowa

„ZNĘKANY ŚWIAT – JAK PSYCHOTERAPIA MOŻE NAM POMÓC? NADZIEJE I ILUZJE"

Konferencja poprzedzona będzie Międzynarodową Letnią Szkołą Psychoterapii (24-29.08). Wśród prelegentów znajdą się m.in. BOGDAN DE BARBARO, PATRICIA COUGHLIN, NANCY MCWILLIAMS, MARIO MIKULINCER, ZOFIA MILSKA-WRZOSIŃSKA, IRENA NAMYSŁOWSKA, ROBERT NEBORSKY, KATARZYNA SCHIER, JONATHAN SHEDLER i wielu innych.

Szczegółowy program jest dostępny na stronie **www.40lps.pl**. „Tygodnik Powszechny" jest partnerem wydarzenia.

40 LAT LABORATORIUM PSYCHOEDUKACJI

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

PAWEŁ

Śpiewak:
Nie liczcie na cuda

Jeremiasz opisuje kryzys geopolityczny na Bliskim Wschodzie i upadek królestwa Judy przez odniesienie do woli, intencji i charakteru Boga, JHWH, Boga Izraela. JHWH jest nazywany Panem wszystkiego, Bogiem biorącym pod opiekę wszystkich ludzi. Jest również Panem historii. Prorok przedstawia dzieje ludzkie jako arenę Boskiej celowości i Boskiego działania. Posługuje się władcami, wojskami, wrogami Izraela, by przybliżyć nadejście nowych czasów. Jeremiasz buduje ten obraz Adonaj przeciwstawiając się religii rozumianej plemiennie, jako sile, która zawsze musi stać po stronie swoich i w końcu swój lud bronić. Jeremiasz otwarcie pisał: nikt nie jest tak potężny jak JHWH: „Kto jest bowiem do Mnie podobny? Albo kto Mnie pozwie przed sąd? Który to pasterz ostoi się wobec Mnie?”.

Oczywista jest odpowiedź: nikt nie ostoi się przed Panem, nikt nie jest Jemu podobny. Włada tym światem. Burzy Jerozolimę za jej nieposłuszeństwo i pychę, ale tak samo zburzy Babilon. Żadne ziemskie potęgi się przed Nim nie ostoją. Nawet obce kraje i obce plemiona stają przed sądem Boga Izraela. Nikt nie może się od Jego nakazów odwrócić. Jest On Bogiem uniwersalnym. Panowania Boga do niczego nie da się porównać.

„Nikogo nie można porównać do Ciebie, Panie! Jesteś wielki i wielkie jest przepotężne imię Twoje! Kto nie lękałby się Ciebie, Królu narodów? Tobie to właśnie przysługuje. Bo spośród wszystkich mędrców narodów i spośród wszystkich ich królestw nikt nie może się równać z Tobą”.

Bóg jest Stwórcą. Jest tym, który utrzymuje ład we wszechświecie i rządzi nim, obdarza łaską istnienia. „On uczynił ziemię swą mocą, umocnił świat swą mądrością, a swoim rozumem rozpostarł niebiosa. Na dźwięk Jego głosu huczą wody w niebie. On sprawia, że się chmury podnoszą z krańców ziemi; On czyni błyskawice – zapowiedź deszczu – i wysyła wiatr ze swoich zbiorników”.

Pośród wszystkiego, co posiada i co utrzymuje przy życiu, najwyższym dobrem jest oczywiście Izrael: „On bowiem ukształtował wszechświat. Izrael zaś jest szczepem Jego dziedzictwa”.

Wszystkie istnienia muszą bać się Wszechmocnego, bać się Go powinny wszystkie narody, tak samo Izrael. Oczywiście Bóg zamieszkał w Świątyni, ale nie znaczy to, że może zostać udomowiony i sprowadzony do jednego nawet najpiękniejszego pałacu. Nie może zostać uzależniony od murów postawionych ludzką ręką. Bóg jest daleko, ale nikt nie może się przed nim skryć. Ten Bóg nie jest miłym wujkiem czy kochającym tatusiem. Stoi ponad dziejami, ma swoje cele na ziemi i nikt nie może być jego wiecznym sojusznikiem. Królewski dwór w Jerozolimie nie może liczyć na łatwe wsparcie. Ten Bóg Jeremiasza jest groźny i surowy. Odległy od naszych wyobrażeń. Nie liczcie, uczy Jeremiasz, na cuda, na nagłe odwrócenie losu. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Między biedą a purpurą

To prawda, jako Kościół musimy troszczyć się o biednych, ale...

Sami sobie winni bezdomni alkoholicy, prostytutki zarabiające za jedną noc więcej niż uczciwy człowiek przez cały tydzień, uchodźcy, którzy zamiast walczyć z reżimami, szukają łatwego chleba w Europie, różnego rodzaju obiboki, złodziejaszki itp. mają zaraz być twarzą Jezusa? Przecież z troski o biednych nie wynika od razu, że musimy przerobić cudowne kolumnady Berniniego na łaźnię, ubikację, fryzjernię i jadłodajnię. Po co zasmradzać plac św. Piotra? O pięknie i dostojeństwie Kościoła niech świadczą raczej cudowna, starożytna liturgia i śpiew, najlepiej gregoriański, złoto szat i kielichów, purpura i fiolet książąt Kościoła, wreszcie przemiły zapach kadzideł, a nie woń podgniłych ciał ubogich, grzejących się zimą albo szukających latem chwili wytchnienia od skwaru w przedsionkach naszych kościołów.

Tymczasem Franciszek nie ustępuje i to wbrew dobrym radom wielu europejskich i światowych przywódców. Nie zwraca szczególnej uwagi na tzw. głosy rozsądku. Że, owszem, biednymi trzeba się zająć, ale miłość musi być przede wszystkim roztropna, najpierw trzeba dbać o swoich, o ich dobrostan, a przede wszystkim bronić przed uszczupleniem stanu posiadania. Tymczasem Jakub Apostoł mówi: „Słuchajcie, moi bracia umiłowani! Czy Bóg nie wybrał ubogich tego świata na bogatych w wierze i na dziedziców królestwa, jakie przygotował tym, którzy Go miłują? Wy tymczasem wzgardziliście ubogimi”.

W przesłaniu „Być Kościołami nadziei – przeciwstawić się siłom populistycznego wykluczenia” Światowej Rady Federacji Luterańskiej czytamy: „Ruchy populistyczne utrzymują często, że chcą chronić dobra narodu, jednak przyczyniają się często do eskalacji lęku i wykluczenia. Przestrzeń do szczerej debaty na temat kwestii będących przedmiotem publicznego zainteresowania kurczy się. Mowa nienawiści i propaganda oparta na postprawdzie podkopują w społeczeństwie zaufanie niezbędne dla demokracji. Lęk może pociągać za sobą wycofanie się z udziału w społeczeństwie obywatelskim oraz wrogość i wykluczanie innych. (...) Gdy doświadczamy, że ludzie są uwięzieni w lęku, wskazujemy na przesłanie Chrystusa. Jest to przesłanie nadziei, które przepędza lęk, przesłanie współczucia, które staje naprzeciw obojętności, przesłanie sprawiedliwości, które sprzeciwia się uciskowi, i przesłanie pojednania, które nie pozwoli się odwieść od zaangażowania na rzecz pokoju”. A Piotr Trzpil w „Pracowniczej Demokracji” pisze: „Walka o lepsze warunki bytowe uchodźców jest jednocześnie walką o nasze prawa obywatelskie, pracownicze, socjalne. Patrząc biernie na ich cierpienie lub, co gorsza, usprawiedliwiając rządy fałszywej jedności narodowej ryzykujemy, że sami prędzej czy później będziemy poniewierani przez system, jak dzisiejsi uchodźcy”. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Przyjaciele Boga

We wspomnienie św. Maksymiliana Kościół czyta fragment Pierwszego Listu św. Jana: „Nie dziwcie się, bracia, jeśli świat was nienawidzi. My wiemy, że przeszliśmy ze śmierci do życia, bo miłujemy braci, kto zaś nie miłuje, trwa w śmierci. Każdy, kto nienawidzi swego brata, jest zabójcą... Po tym poznaliśmy miłość, że On oddał za nas życie swoje. My także winniśmy oddać życie za braci" (1J 3, 13-16). Wiele razy czytałem ten tekst i wydawało mi się, że jest on po prostu wezwaniem do miłości bliźniego. Dopiero teraz dotarło do mnie, że jest tu sformułowane znacznie więcej: wezwanie do miłości w czasie nienawiści.

Jan od tego zaczyna – od uświadomienia adresatom realiów, w których żyją: w świecie nietrudno zderzyć się z nienawiścią: „nie dziwcie się, jeśli was świat nienawidzi!". Nie chodzi o bagatelizowanie zła ani o otępiałe oswojenie się z nienawiścią. Chodzi raczej o to, że samo „zdziwienie" nie jest adekwatną reakcją. Westchnienia typu: „jak to w ogóle możliwe!"; „to niesłychane!" – mogą być równie szlachetne, co dyspensujące od obowiązku podjęcia jakichkolwiek działań. Kilka miesięcy temu brałem udział w debacie Międzynarodowej Rady Oświęcimskiej nt. „Czy Holokaust może się powtórzyć?". Wielu uczestnikom powtarzalność Zagłady zdawała się rzeczą niemożliwą. Niewyobrażalną. Aż po najprostszą konstatację jednego z Ocalałych: „Zdarzyła się. Uczynili ją ludzie. To znaczy, że jest powtarzalna".

Zdziwienie nie wystarczy. Potrzebna jest miłość. Miłość w świecie nienawiści. Potrzebne jest dobro w świecie zorganizowanego zła. Czcimy męczeństwo św. Maksymiliana, ponieważ było aktem heroicznej miłości w miejscu stworzonym przez nienawiść. Czcimy je, gdyż było radykalnym potwierdzeniem godności i wartości ludzkiego życia w świecie, w którym życie zdawało się nie mieć żadnej wartości.

Skąd biorą się ludzie, do których zło nie ma dostępu? Jak Paweł, który między procesem a egzekucją pisze: „Zostałem wyrwany z paszczy lwa!". Jak to wyrwany? Za chwilę zostanie ścięty z wyroku Nerona. Ścięty – tak. Ale wolny od nienawiści. Wyrwany z paszczy lwa – nie Nerona, lecz szatana. Skąd się biorą tacy ludzie? Liturgia z dnia św. Maksymiliana niosła odpowiedź w Ewangelii zaczerpniętej również od św. Jana (J 15, 12-16). Przykazanie miłości również w czasach nienawiści („Jeśli was świat nienawidzi, wiedzcie, że Mnie najpierw znienawidził": J 15, 18) Jezus kieruje do swoich przyjaciół. Mówi do apostołów: „Już was nie nazywam sługami, bo sługa nie wie, co czyni Pan jego; ale nazwałem was przyjaciółmi, ponieważ dałem wam poznać wszystko, co usłyszałem od mego Ojca".

Kluczem do postawy, o której mówimy, jest poznanie Boga objawionego w Jezusie Chrystusie. Ale poznanie, które dokonuje się na drodze przyjaźni. Nie studiów i dysputy. Przyjaźń owocuje znajomością wynikającą z komunii, bycia razem. Przyjaźń daje nie tylko poznanie, ale i poczucie siły. Nadzieję. Przekonanie, że razem z Przyjacielem mogę zachować człowieczeństwo w prawdziwie nieludzkim świecie.

Miłość w czasie nienawiści jest postawą nie dla herosów czy nonkonformistów. Jest wezwaniem dla grzeszników i malutkich, którzy pozwolili Bogu „nazwać się przyjaciółmi". ©

Poznający jest z wysoka. Wołany, słyszy, odpowiada i zwraca się ku Temu, który go wzywa i idzie ku Niemu. Poznaje, w jaki sposób został wezwany. Poznając wypełnia wolę Wzywającego, pragnie mu się przypodobać i dochodzi do odpoczynku.

EWANGELIA PRAWDY

Pamiętaj o tym, żebyś przy każdej rzeczy bądź rozweselającej duszę, bądź pożytecznej, bądź wzbudzającej upodobanie – zawsze stawiał sobie następujące pytanie: „Czym właściwie jest ta rzecz?".

EPIKTET

Wybrał PIOTR SIKORA

CZYTANIA LITURGICZNE (26 VIII – 2 IX)

21. niedziela zwykła: Prz 8, 22-35; Ps 48; Ga 4, 4-7; J 2, 1-11;
Poniedziałek: 2 Tes 1, 1-5. 11b-12; Ps 96; Mt 23, 1. 13-22;
Wtorek: 2 Tes 2, 1-3a. 14-17; Ps 96; Mt 23, 23-26;
Środa: Jr 1, 17-19; Ps 71; Mk 6, 17-29;
Czwartek: 1 Kor 1, 1-9; Ps 145; Mt 24, 42-51;
Piątek: 1 Kor 1, 17-25; Ps 33; Mt 25, 1-13;
Sobota: 1 Kor 1, 26-31; Ps 33; Mt 25, 14-30;
22. niedziela zwykła: Pwt 4, 1-2. 6-8; Ps 15; Jk 1, 17-18. 21b-22. 27; Mk 7, 1-8. 14-15. 21-23.

KOPIUJ, WKLEJ, PRZYLEJ

Kandydatka PiS na Rzecznika Praw Dziecka nie tylko nie ma kwalifikacji merytorycznych do pełnienia tego stanowiska. Okazuje się też, że wątpliwe są jej kwalifikacje moralne.

ANNA GOLUS

Nowego rzecznika praw dziecka – w związku z upływem kadencji Marka Michalaka na tym stanowisku – Sejm powoła po wakacjach, wybierając spośród trojga kandydatów. Faworytką jest oczywiście zgłoszona przez partię rządzącą Sabina Zalewska, oprócz której w szranki stają również Ewa Jarosz, zgłoszona przez posłów PO, Nowoczesnej i PSL-UED, oraz Paweł Kukiz-Szczuciński, wysunięty przez posłów Kukiz'15 i kilku innych, m.in. niezrzeszonych.

Kandydaturę Jarosz popiera kilkadziesiąt organizacji pozarządowych działających na rzecz dzieci, a także przedstawiciele środowisk naukowych. To pracowniczka Uniwersytetu Śląskiego, doktor habilitowany nauk humanistycznych w zakresie pedagogiki, zajmująca się głównie problematyką praw dziecka (warto dodać: również tak w Polsce niedostrzeganych, jak prawo dziecka do partycypacji społecznej) i wielokrotnie nagradzana za działalność naukową. Nie jest jednak tylko teoretykiem – prowadziła zajęcia z dziećmi i młodzieżą, a od 2011 r. pełniła funkcję społecznego doradcy obecnego rzecznika.

Niewykluczone, że drugi kandydat, Paweł Kukiz-Szczuciński, także sprawdziłby się w roli rzecznika. To pediatra i psychiatra, członek Zespołu Ratunkowego Polskiego Centrum Pomocy Międzynarodowej, uczestnik wielu misji humanitarnych. Pomagał m.in. dzieciom z rodzin trędowatych w Indiach. Po jego deklaracjach widać, że dostrzega nowe zagrożenia dla praw dziecka. Jako RPD chciałby zająć się m.in. walką z cyberprzestępczością wobec dzieci, profilaktyką uzależnień od urządzeń mobilnych i internetu czy zwalczaniem działalności ruchów antyszczepionkowych i medycyny alternatywnej, zagrażających zdrowiu i życiu dzieci.

Praktyka ostatnich lat wskazuje jednak, że PiS i tym razem postawi na swoją kandydatkę. Przeanalizujmy jej publikacje i poglądy.

And the winner is...

Na stronie kancelarii Sejmu można przeczytać, że Sabina Zalewska jest „psychologiem rodziny, pedagogiem społecznym, mediatorem rodzinnym". Sama również przedstawia się jako psycholog i udziela konsultacji psychologicznych, choć wykształcenia w tym kierunku nie ma. Oprócz pedagogiki na UW ukończyła studia magisterskie w Instytucie Studiów nad Rodziną na Akademii Teologii Katolickiej (obecnie jest to Wydział Studiów nad Rodziną UKSW). Na swojej stronie informuje, że ma „dyplom magistra z specjalności psychologii rodziny", liczy się jednak nie specjalność, lecz zakres kształcenia (czyli kierunek studiów), a ten obejmował nauki o rodzinie, nie psychologię.

JAKUB SZYMCZUK / GOŚĆ NIEDZIELNY / FORUM

Zalewska pracuje m.in. na UKSW. Ma stopień doktora nauk humanistycznych w zakresie pedagogiki. W 2015 r. złożyła wniosek o habilitację, ale wycofała go w ostatnim momencie postępowania habilitacyjnego. Naukowo nie zajmuje się zresztą prawami dziecka, lecz przede wszystkim małżeństwem. W zamieszczonym na jej stronie spisie publikacji tylko kilka poświęconych jest dzieciom.

W jednej z nich – „Pomiędzy prawami dziecka a pajdokracją. Refleksja nad kartą praw dziecka" z 2011 r. – kandydatka przynajmniej do pewnego stopnia kwestionowała nie tylko istnienie urzędu, na który kandyduje, i zakaz kar cielesnych wobec dzieci, ale również samą ideę ochrony praw dziecka, przekonując, że to przejaw pajdokracji, u której podstaw leży ideologia lewicowa. Według niej „formą postępu pajdokracji jest objęcie dzieci ochroną prawną, mającą zabezpieczyć je od rzekomego zagrożenia despotyzmem rodziców. Stąd też mnożenie kampanii o maltretowaniu dzieci przez opiekunów i – wynikająca z tego – potrzeba tworzenia różnych urzędów w rodzaju Rzecznika Praw Dziecka oraz coraz skuteczniejsza prawna ochrona woli dzieci i młodocianych przed próbami narzucania im woli przez rodziców; zakaz karania fizycznego za nieposłuszeństwo".

Pozycja zależności

Skutkiem tego jest w opinii Zalewskiej „regres – a czasami wręcz zanik – autorytetu rodziców i równouprawnienie dzieci w procesie podejmowania decyzji dotyczących spraw rodziny, a także tego, co popularnie zwie się »dobrem dziecka«. Bardzo często wskazuje się, że przejawem tego postępującego braku szacunku dla rodziców jest zwyczaj mówienia sobie na »ty« dzieci i rodziców". Autorka nie wyjaśnia, czy dzieci powinny zwracać się do rodziców *per* „pani matko" i „panie ojcze". Twierdzi natomiast, że naturalnego autorytetu rodziców „nie można podważyć żadnymi zmianami społecznymi, reformami czy rewolucjami" oraz że „pozycja dziecka w świecie dorosłych jest pozycją zależności, wynikającą z naturalnych uwarunkowań. (...) Osoba dorosła, stoi na szczycie hierarchii, zapewnia to, co do życia niezbędne, ale również sprawuje kontrolę i w oczach dziecka poddającego się władzy uchodzi za »eksperta od wszystkiego«". Nie ma możliwości, by dziecko sprzeciwiło się tym porządkom, gdyż „podstawą do kontroli zachowania dziecka przez dorosłego jest powszechne akceptowanie normy społecznej mówiącej, że dziecko ma słuchać starszych".

Gdyby jednak nie chciało słuchać, rodzic może wzmocnić swój autorytet za pomocą odpowiednich środków, np. przemocy fizycznej. Z innej publikacji Zalewskiej dowiadujemy się, że rodzice mogą bić dzieci pod kilkoma warunkami. W prezentacji jej wykładu pt. „Świat autorytetów dziecka", wygłoszonego w 2009 r., czytamy, że kary cielesne „nie mogą być stosowane zbyt często, bo tracą walory wychowawcze. Częste karanie wpływa na powolny zanik wrażliwości dziecka, a wtedy cel jest chybiony, bowiem kary nie skutkują, albo wywołują skutek przeciwny". Należy więc karać, również fizycznie, rzadko, ze spokojem oraz „z miłości do dziecka i w taki sposób, żeby dziecko nie miało wątpliwości o rodzicielskim oddaniu".

Co ciekawe, Zalewska jest świadoma skutków stosowania kar cielesnych. Potępia autorytet oparty na przemocy, który objawia się „w postaci nadużywania siły fizycznej w stosunku do dzieci i stosowania kar cielesnych. Te kary wymuszają ślepe posłuszeństwo i bezwzględne podporządkowanie się, paraliżują wolę dziecka, budząc w jego świadomości ciągły lęk i obawę. Nie mogą więc być stosowane zbyt często". Wynika z tego, że rodzic może wymusić ślepe posłuszeństwo i bezwzględne podporządkowanie, sparaliżować wolę dziecka i obudzić w jego świadomości ciągły lęk raz na jakiś czas – tylko nie wiadomo, jak często. ↦

Dr Sabina Zalewska,
Warszawa, styczeń 2017 r.

Winne chore dziecko

↦ Pozostałe publikacje pani doktor pedagogiki są równie interesujące. Np. z artykułu „Rodzic w roli mediatora" z 2014 r. można się dowiedzieć, że „przyczyny stosowania przemocy w rodzinie są bardzo różne. Mogą one tkwić w samych dzieciach, np. dzieci niechciane, upośledzone, trudne, przewlekle chore czy kalekie. Bardziej powszechne są jednak przyczyny tkwiące w rodzicach".

Faktem jest, że niektóre cechy dzieci wymieniane są przez badaczy jako jedne z czynników (nie przyczyn!) zwiększających – wraz z wieloma innymi – ryzyko, że rodzice będą stosować przemoc. Nie można jednak powiedzieć, że przyczyny przemocy „tkwią" w dziecku! Stwierdzenie, że dzieci najbardziej pokrzywdzone przez los same przyczyniają się do stosowania wobec nich przemocy – a więc same są sobie winne – jest tak kuriozalne jak opinia, że kobieta „zapracowała" na łomot od męża, bo przytyła.

Jak Rzecznik Praw Dziecka miałby wywiązywać się ze swoich ustawowych obowiązków, w tym chronić prawa dziecka do nietykalności cielesnej i ochrony przed przemocą, jeśliby dopuszczał bicie dzieci i uważał, że czasami same są sobie winne? Jak Zalewska miałaby pełnić funkcję RPD, podważając jednocześnie sens istnienia tego urzędu i uważając prawa dziecka za lewackie wymysły? Czy uda się jej chronić prawo dziecka do swobody myśli, sumienia i wyznania, skoro – czego dowiadujemy się z jej innego artykułu – uważa, że „istnieje wielka potrzeba przeciwdziałania sekularyzmowi" oraz „fali laicyzacji i demoralizacji młodego pokolenia"? Jak będzie dbać o prawo dziecka do partycypacji społecznej, jednocześnie uważając Sejm Dzieci i Młodzieży za „indoktrynację dzieci w ideologii demokratycznej"?

Specjalność plagiatorska

A może to wcale nie są jej poglądy? Kiedy pierwsza wersja niniejszego artykułu trafiła do redakcji, korektor „TP" Grzegorz Bogdał – chcąc sprawdzić, czy błędy w powyższych cytatach z Zalewskiej zostały wprowadzone niechcący przeze mnie, czy znajdują się w oryginale – zauważył, że obszerny fragment tekstu „Pomiędzy prawami dziecka a pajdokracją" pokrywa się z zamieszczoną w internecie publikacją autorstwa Wandy Papugowej.

Wśród publikacji, które Zalewska – prowadząca na UKSW zajęcia z dydaktyki etyki – uznała za godne przywłaszczenia, znajdują się również teksty opublikowane **na Wikipedii oraz w serwisie Bryk.pl.**

Wiedziony rzetelnością i dociekliwością, Bogdał przeczytał też artykuł Zalewskiej pt. „Asystencja jako szczególny dialog wychowawcy i wychowanka w pedagogice ks. Jana Bosko" i znalazł w nim mnóstwo fragmentów skopiowanych z tekstów autorstwa ks. Kazimierza Misiaszka SDB, ks. Zenona Klawikowskiego SDB, Janusza Leśniewskiego i ks. Jarosława Wąsowicza SDB. Nie mówimy tu, oczywiście, o cytatach, tylko o zajmujących czasem całą stronę, a czasem „tylko" pół, fragmentach artykułów skopiowanych, nieujętych w cudzysłów i nieopatrzonych przypisami, podanych jako własne, czyli: splagiatowanych.

Gdzieniegdzie pojawia się wprawdzie przypis, trudno jednak go uznać za okoliczność łagodzącą: jeśli skopiujemy pół strony czyjegoś tekstu i opublikujemy go bez cudzysłowu, przypis nie zmieni przecież faktu, że popełniamy plagiat.

Artykuł o asystencji w pedagogice ks. Bosko to nie jedyny tekst w dorobku Sabiny Zalewskiej, który powstał w wyniku sklejenia ze sobą skopiowanych z internetu fragmentów publikacji innych osób. Kolejnym, bynajmniej nie ostatnim przykładem jest cytowana tu publikacja pt. „Rodzic w roli mediatora". Opublikowana w internecie w formie PDF-a wersja tego tekstu ma objętość 10,5 strony, z czego ok. 10 stron to plagiat. Zalewska, tworząc czy raczej konstruując (bo przecież nie pisząc) ten artykuł, korzystała z trzech zamieszczonych w internecie tekstów: „Konflikty w rodzinie" Magdaleny Żebrowskiej, „Proces mediacji rodzinnych – od teorii do praktyki" Hanny Przybyły-Basisty oraz „Hierarchia i role w rodzinie" Marty Pociechy. Teksty te zostały opublikowane w sieci przed ukazaniem się artykułu Zalewskiej, nie ma więc możliwości, by to ich autorki skopiowały fragmenty publikacji pani doktor.

Artykuł skonstruowany jest w następujący sposób: pierwsze trzy linijki pochodzą z tekstu Pociechy, kolejne trzy są autorstwa samej Zalewskiej, dalej następują ok. 4 strony z tekstu Żebrowskiej, ok. 4 strony z tekstu Przybyły-Basisty, jeden akapit autorki, półtorej strony Pociechy i na koniec 4,5 linijki autorstwa osoby, która podpisała się pod całością. Zalewska zamieściła wprawdzie w przypisach i bibliografii adresy internetowe publikacji Przybyły-Basisty i Pociechy (której krótki tekst skopiowała zresztą w całości), ale cóż z tego? W tym przypadku nawet cudzysłowy niewiele by pomogły, bo co to za artykuł, który składa się właściwie z trzech olbrzymich cytatów.

Na uwagę zasługuje fakt, że kopiując opatrzony przypisami artykuł Przybyły-Basisty, Zalewska przejęła również przypisy (bo przecież jej publikacja ma charakter naukowy!), a z kolei sięgając po tekst Żebrowskiej, w którym przypisów nie ma, dodała własne. I to jakie! W miejscu, gdzie mowa o charakterystyce przemocy w rodzinie, kandydatka PiS na rzecznika praw dziecka odsyła w przypisie do stron 27-29 książki Judith Lewis Herman „Przemoc. Uraz psychiczny i powrót do równowagi". We wskazanym fragmencie tej książki nie dowiemy się jednak, czym charakteryzuje się jakakolwiek przemoc, lecz poczytamy o dziejach badań nad kobiecą histerią. Plagiatując fragment o zaburzeniach rozwoju osobowości dziecka, Zalewska ponownie odsyła czytelnika do pozycji Herman, tym razem do stron 30-33, gdzie z kolei można poczytać o urazowych nerwicach wojennych.

Pani od etyki

Przygotowanie cytowanego już artykułu „Pomiędzy prawami dziecka a pajdokracją" wymagało od Zalewskiej znacznie więcej wysiłku. Tutaj bowiem tekstów, które kopiowała, jest aż 12 (wszystkie opublikowane przed ukazaniem się jej tekstu). Nawet przytoczone powyżej szokujące sformułowania – podważanie sensu istnienia urzędu Rzecznika Praw Dziecka i zakazu bicia dzieci – to plagiat, są to bowiem słowa Adama Wielomskiego opublikowane pod hasłem „Pajdokracja" w internetowej encyklopedii metapedia.konserwatyzm.pl. Serwis ten nie jest już dostępny *online*, ale w internecie naprawdę nic nie ginie, więc wciąż można udowodnić, że Zalewska skopio-

wała całe hasło (które zajęło w jej tekście prawie 3 strony), jedynie dodając tu i ówdzie podkreślające „naukowość", przypadkowe przypisy.

Wśród publikacji, które Zalewska – prowadząca na UKSW zajęcia z dydaktyki etyki – uznała za godne przywłaszczenia i warte związanego z tym ryzyka, znajdują się również teksty opublikowane na Wikipedii oraz w serwisie Bryk.pl. Z Bryka, będącego bogatym źródłem wypracowań i ściąg dla leniwych, niebrzydzących się oszustwem uczniów i studentów, pani doktor skopiowała dwie strony, również dodając gdzieniegdzie jakieś dowolne przypisy.

W innym artykule, zatytułowanym „Ekonomiczny Uniwersytet Dziecięcy jako przykład nauczania permanentnego dzieci i ich rodziców", nie tylko skopiowała z Bryka pół strony (łącznie z błędem: „tą" zamiast „tę"), ale też dodała link w przypisie, najwyraźniej nie widząc niczego nieodpowiedniego ani w plagiatowaniu tego rodzaju „źródeł", ani w korzystaniu z nich w publikacji naukowej.

Autentyczne organizmy afrykańskie

Jak wie każdy ściągający uczeń i student, serwisów ograniczających do zera wysiłek intelektualny jest więcej. Zalewska również ma tę wiedzę. Przygotowując artykuł pt. „Nauczyciel akademicki dziś. Nadzieje i oczekiwania" korzystała m.in. z serwisu Ściąga.pl, o czym bez zażenowania poinformowała czytelników w przypisie i bibliografii. „Korzystała" oznacza oczywiście: skopiowała i wkleiła bez cudzysłowu, za to z masą błędów, ponad pół strony ze Ściągi.pl.

To bardzo interesujący tekst. Można się z niego dowiedzieć, że „za pośrednictwem mediów uczeń w klasie może oglądać autentyczne organizmy afrykańskie w ich naturalnym środowisku" oraz że „W dzisiejszym świecie brak umiejętności posługiwania się mediami, sprawia, iż człowiek pozostaje w tyle" (pisownia oryginalna, brak kropki na końcu zdania). Anonimowy autor, podpisany j.j.j., nie wyjaśnia, czym są autentyczne organizmy afrykańskie – ale na nie ulega wątpliwości, że Zalewska umie posługiwać się mediami, zwłaszcza internetem i kombinacją klawiszy CRTL i C oraz CRTL i V na klawiaturze.

Inni użytkownicy Ściągi.pl, niewątpliwie młodsi i mniej wykształceni, również tę umiejętność posiadają, ale są od kandydatki na Rzecznika Praw Dziecka mądrzejsi o wiedzę, że z korzystaniem z takich serwisów nie należy się afiszować. Wiedzą też, dla kogo są one przeznaczone i w jakim celu są tworzone, co doskonale podsumował w komentarzu pod tym tekstem jeden z internautów: „Kopiuj wklej i pały nie będzie... ;)". Inny użytkownik serwisu Ściąga.pl (mr.lukass) skomentował: „Myśle że mi sie przyda, aby tylko nikt inny w klasie tego nie znalazł, pozdro all :D". Znaleźli się jednak również niezadowoleni z jakości tekstu przywłaszczonego sobie przez Zalewską. Jeden z nich napisał: „Poziom wczesnoszkolny (...) Lanie wody i nic więcej. NIE POLECAM TEGO, chyba że ktoś się chce uwsteczniać...". Inny (kocyk58) narzekał, że jego nauczycielka oceniła tę pracę zaledwie na trójkę.

Kandydatka na urlopie

Sabina Zalewska nie skomentowała jak dotąd swojej kandydatury na stanowisko RPD ani na swojej stronie internetowej, ani nigdzie indziej, choć mediów wcześniej nie unikała. Jeszcze zanim redakcja „TP" natknęła się na zapożyczenia w jej pracach, poprosiliśmy kandydatkę na RPD o komentarz. Bez skutku. Komentarza nie otrzymaliśmy też ani od biura prasowego PiS, ani od zajmującego się sprawami edukacji, dzieci i młodzieży posła tej partii Zbigniewa Dolaty, jeszcze nieco ponad miesiąc temu krytycznie recenzującego w Sejmie dorobek dotychczasowego rzecznika, Marka Michalaka.

Anna Zalewska nie odpowiedziała też na ponowną, mailową prośbę – tym razem o ustosunkowanie się do zarzutu o plagiat. A biuro prasowe jej macierzystej uczelni – Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego – przekazało nam informację, że Zalewska przebywa na urlopie i do ustaleń „TP" się w tej chwili nie odniesie.

© ANNA GOLUS

Linki do przywołanych w tekście artykułów źródłowych na stronie internetowej „TP".

NA LATO I NA LATA. CZYTAJ „TYGODNIK" W PRENUMERACIE

Jeśli masz poniżej 25 albo powyżej 65 lat – możesz kupić krajową, ekonomiczną prenumeratę wydania papierowego „TP" w ofercie POKOLENIA za 300 zł rocznie. Aby z niej skorzystać, wystarczy opłacić ją zgodnie z ogólnymi zasadami zakupu opisanymi poniżej. ▪ Kupując krajową prenumeratę przez stronę tygodnikpowszechny.pl, masz możliwość zamówienia wydania specjalnego „TP" „Polska od nowa" – z dostawą do domu!

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY:

Prenumeratę krajową można zamówić przez:
- stronę www.tygodnikpowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym:
  Tygodnik Powszechny, ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków,
  Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP", ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę internetową www.tygodnikpowszechny.pl, na której podane są ceny.

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	339 zł	369 zł
Półroczna (26 numerów)	209 zł	229 zł
Kwartalna (13 numerów)	109 zł	119 zł

Oferta POKOLENIA – 300 zł na rok
▪ Regulamin oferty na powszech.net/regulamin

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

PARTNER MARKETINGOWY SALES MANAGO marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

ROCHACZ / FORUM

Andrzej Lepper aresztowany po przekroczeniu granicy polsko-czeskiej. Kudowa-Zdrój, 4 kwietnia 2000 r.

Lepper i jego mit

JAKUB MAJMUREK

Niegdyś rzucił wyzwanie elitom, dziś bywa na lewicy uznawany za romantyczny wzór obrońcy pokrzywdzonych. Dlaczego?

Wybory z 2007 r. zmiotły Samoobronę z politycznej mapy Polski. W wyborach prezydenckich trzy lata później jej lider, Andrzej Lepper, z wynikiem 1,28 proc. zajął trzecie miejsce od końca. Nic nie wskazywało, by kolejne, przewidziane na jesień 2011 r., głosowanie miało pozwolić na powrót do poważnej gry. Opinia publiczna kojarzyła go głównie z ciągnącą się przed sądami seksaferą – polityka oskarżano o wymuszanie korzyści seksualnych od pracownicy Samoobrony, Anety Krawczyk, oraz o próbę ich wymuszenia od lubelskiej działaczki Agnieszki Kowal.

Kariera Andrzeja Leppera wydawała się skończona. Na początku sierpnia 2011 r. popełnił on samobójstwo.

Dziś Lepper jest postacią raczej zapomnianą. Jeśli pojawia się w debatach, to głównie za sprawą szeregu otaczających jego biografię czarnych legend. Powraca jako rolniczy watażka bezprawnie blokujący drogi w latach 90.; awanturnik z Sejmu IV kadencji (2001-2005); blokujący mównicę i oskarżający czołowych polityków o przyjmowanie łapówek; filar niestabilnych i chaotycznych pierwszych rządów PiS; seksista rechoczący z żartu o tym, że nie można zgwałcić prostytutki.

Są jednak środowiska skłonne patrzeć na byłego szefa Samoobrony nieco bardziej przychylnie. Do uznania go za najbardziej efektywnego reprezentanta pokrzywdzonych przez transformację od lat namawia czytane zarówno na lewicy, jak i prawicy społecznej pismo „Nowy Obywatel". „Udowodnił, że skromni, zwykli ludzie dotychczas niewidzialni dla politycznej elity, mają prawo głosu i mogą aspirować do współdecydowania o losach państwa" – napisał w trzecią rocznicę śmierci lidera Samoobrony Piotr Ikonowicz. Z kolei Jakub Baran z Rady Krajowej Partii Razem mówi mi: – Lepper powielał wiele błędów klasy politycznej, nie da się bronić jego postępowania w seksaferze. Ale jednocześnie Samoobrona jest częścią ludowej historii Polski i lekcją dla lewicy.

Co w Lepperze może być atrakcyjne? Polityk ten wydaje się odpowiadać na podstawowy kompleks młodej lewicy: poczucie zamknięcia w wielkomiejskiej, inteligencko-aktywistycznej bańce. Podsuwa obietnicę innej podmiotowości: autentycznie plebejskiej, wyrastającej z mas ludo-

wych, z ich gniewu i aspiracji, zdolnej wyraziście przeciwstawić się interesom elit.

Patrzący z zainteresowaniem na Leppera działacze i publicyści marzą o lewicy, która – przynajmniej w przenośnym sensie – znów wysypie zboże na tory. „Lewica nie może odrywać się od swej plebejskiej bazy. Ma artykułować jej interesy i poglądy – pisał w „Nowym Obywatelu" Jarosław Tomasiewicz. – Jeśli w Polsce nastąpi odrodzenie lewicy, to w formie pragmatycznego neopopulizmu, być może odwołującego się właśnie do tradycji Samoobrony". – Lepper pokazał, że do polityki można wejść na fali walk społecznych, na własnych zasadach – wtórował Jakub Baran.

Wątpliwy reprezentant

Zanim zastanowimy się, na ile takie polityczne marzenie ma w ogóle sens w dzisiejszej Polsce, powinniśmy odpowiedzieć na inne pytanie: czy Lepper faktycznie najbardziej efektywnie reprezentował lud wyklęty przez transformację i Balcerowicza? Można mieć co do tego wątpliwości.

Po pierwsze, Lepper (podobnie jak jego bezpośrednie otoczenie z Samoobrony) sam nigdy szczególnie biedny nie był. Kierował dobrze zaopatrzonym w sprzęt gospodarstwem rolnym, liczącym w najlepszym okresie ponad sto hektarów (to kilkakrotnie więcej niż średnia w jego okolicy, choć daleko do latyfundium). Ziemia nie była ojcowizną: Lepper zajął się samodzielnym gospodarowaniem w latach 80., dzierżawiąc ziemię od państwa. By sfinansować rozwój gospodarstwa pod koniec tamtej dekady, zaciągnął kredyt.

W pułapkę zadłużenia wepchnęła go hiperinflacja okresu przełomu ustrojowego. W 1990 r. osiągnęła ona 585,5 proc. – a ceny produktów rolniczych rosły przy tym dwukrotnie wolniej niż ceny koniecznych rolnikom towarów przemysłowych. Razem z nowym reżimem wysokich stóp procentowych uczyniło to kredyt Leppera niespłacalnym. By zachować płynność finansową, brał kolejne kredyty, głównie po to, by spłacać poprzednie, co skończyło się niewypłacalnością.

Jego los dzieliło wielu innych rolników: nastawionych na produkcję, usiłujących włączyć się w gospodarcze przemiany lat 80. i 90., a jednocześnie rozbijających się o ich twarde realia. Z podobnej grupy rekrutować się będzie większość władz Samoobrony. Drugą są drobni przedsiębiorcy, podobnie jak rolnicy przytłoczeni przez zbyt drogi w obsłudze kredyt, przeterminowane długi, wierzycieli i zagraniczną konkurencję. Posła Samoobrony z 2001 r. łatwo poznać po oświadczeniu majątkowym. Z jednej strony hektary, duże domy, maszyny rolnicze i inne aktywa, z drugiej spiętrzone długi i komornik na poselskim uposażeniu.

Przyglądając się kadrom Leppera z 2001 r. Jadwiga Staniszkis postawiła tezę o Samoobronie jako o partii niespełnionej klasy średniej, która rozbiła się o bariery polskiej gospodarki lat 90. Co czyniłoby kadrową bazę tej formacji bliższą populistycznej prawicy niż plebejskiej lewicy.

Niespełniony ruch społeczny

A przecież Lepper wyrażał obawy nie tylko niespełnionych przedsiębiorców. Jego największe sukcesy przypadają na najtrudniejszy od końca terapii szokowej okres w historii III RP. Gdy po raz pierwszy wchodzi do Sejmu, w 2001 r., bezrobocie wynosi 17,5 proc., a gospodarka zwalnia, za co Lepper obwinia tzw. drugi plan Balcerowicza, z okresu rządów Buzka. Polska nie jest jeszcze częścią UE, nie działa łagodzący skutki braku pracy w kraju wentyl w postaci możliwości migracji do państw Europy Zachodniej. Trochę czasu upłynie, zanim emigracja i strumień unijnych pieniędzy odmienią Polskę – fala niezadowolenia niesie Leppera jeszcze w wyborach z 2005 r. W prezydenckich zajmuje trzecie miejsce i ma ponad 15 proc. poparcia.

Kto na niego głosuje? Głównie wieś, małe i średnie miasta, bezrobotni, osoby z wykształceniem podstawowym i średnim. W miastach powyżej 500 tys. mieszkańców zdobywa 4 proc. poparcia.

Czy to lewicowy elektorat? Z badań wynika, że raczej nie. Partią drugiego wyboru są dlań przede wszystkim Liga Polskich Rodzin i Polskie Stronnictwo Ludowe. Jest to jednak elektorat, jaki współczesna lewica pragnęłaby zorganizować w ruch społeczny, zdolny do radykalnego przedefiniowania warunków politycznej gry.

Czy Lepperowi udało się stworzyć taką siłę? Na pewno próbował. Po tym, gdy wypłynął w 1992 r., szukał kontaktów z różnymi poszkodowanymi przez transformację środowiskami. Rozmawiał z radykalnymi związkami zawodowymi, takimi jak odrzucająca porozumienia Okrągłego Stołu „Solidarność '80". Starał się gromadzić wokół siebie organizacje bezrobotnych. Przyciągał dawnych działaczy narodowego skrzydła PZPR (z reżyserem Bogdanem Porębą na czele), atakujących transformację z antyrynkowych i radykalnie antyzachodnich pozycji.

Samoobronie nie udaje się jednak zmienić w masowy ruch, aktywny na różnych frontach walk z wykluczeniem i niesprawiedliwością. Jedyną grupą, w której stronnicy Leppera są widoczni, pozostają rolnicy. Gdy na wsi dzieje się dobrze – jak w czasie rządów koalicji SLD-PSL z lat 1993-97 – partia jest słaba. Gdy na wieś wracają kłopoty, znów się aktywizuje.

Produkt infotainmentu

Dopóki Lepper pozostaje wyłącznie przywódcą tych, którzy w Polsce lat 90. czują się marginalizowani, nie jest w stanie wyjść poza poziom politycznego planktonu. Udaje mu się to dopiero w 2001 r., gdy nie przypomina już przywódcy ulicznych blokad. Zmienia fryzurę, zakłada dobry garnitur, dba o opaleniznę, coraz swobodniej zaczyna czuć się w mediach.

Za przemianę odpowiada ekspert od wizerunku i komunikacji Piotr Tymochowicz. Jak w „Lepperiadzie" pisze Marcin Kącki, ta dwójka miała spotkać się przypadkiem na jednej z organizowanych przez Leppera blokad pod koniec lat 90. Tymochowicz, świetnie zarabiający na doradztwie biznesowym, pracę z liderem Samoobrony traktuje jako „eksperyment socjologiczny". Zabiera ludowego przywódcę do stylistki i kosmetyczki, uczy pracy z kamerą. Ponoć nie bierze za to pieniędzy.

Czy fala niezadowolenia z 2001 r. wystarczyłaby Lepperowi, gdyby nie transformacja pod okiem Tymochowicza? Można tylko gdybać. Faktem jest, że lider Samoobrony wchodzi do wielkiej polityki jako rzecznik autentycznego niezadowolenia, a zarazem produkt najbardziej obłego politycznego marketingu, figura z telewizyjnego infotainmentu.

To z telewizji kojarzy go bowiem większość Polaków. A on jest świadomy siły tego medium. Już w 1992 r., okupując z zadłużonymi rolnikami korytarz sejmowy, każe przynieść sobie telewizor i śledzi, jak telewizja relacjonuje jego działania. Później kamery go nie odstępują. Radykalne akcje Leppera – np. wysypywanie zboża na tory – mają przede wszystkim na celu przebicie się do serwisów informacyjnych.

Lepperowi paradoksalnie pomagają kolejne prokuratorskie zarzuty. Niektóre – za niszczenie mienia czy przestępstwa przeciw nietykalności – miały solidne podstawy. Inne – jak ciągłe procesy o „lżenie wysokich funkcjonariuszy ↦

↦ państwowych" – były zupełnie niepotrzebne. Sprawę o nazwanie prezydenta Kwaśniewskiego „największym nierobem w kraju" państwo mogło wizerunkowo wyłącznie przegrać. A wytoczyło kilka podobnych, co stwarzało wrażenie, że dąży do kryminalizacji społecznego protestu.

Lepper jest więc produktem czasów, gdy polityka toczy się wokół głównych wydań wiadomości w dwóch-trzech powszechnie dostępnych stacjach. Trudno powiedzieć, jak jego taktyka zadziałałaby dziś, gdy głównym kanałem komunikacji radykalnych polityków z sympatykami są media społecznościowe.

Nasz ukochany potwór

Na trwający blisko dekadę medialny *show* Leppera liberalni liderzy opinii reagują na ogół nadmiarową z dzisiejszej perspektywy werbalną agresją. Lider Samoobrony staje się politykiem, którego inteligent przełomu wieków najbardziej kocha nienawidzić. Dopiero później przebije go w tym Jarosław Kaczyński.

Z Leppera wypada wówczas szydzić, a nawet nim pogardzać. Media atakują go za kufajkę, wyśmiewają, gdy zakłada drogi garnitur i rezygnuje z opadającej na czoło grzywki.

Z lubością wywlekają każdy przejaw chamstwa, głupoty, nepotyzmu w szeregach Samoobrony. Okładka jednego z tygodników budzi jednoznaczne skojarzenia z wodzem III Rzeszy.

Do mediów przyłącza się świat sztuki. U szczytu protestów Samoobrony z końcówki lat 90. Andrzej Wajda kręci dla Teatru Telewizji spektakl „Bigda idzie!". Tytułowy bohater to cyniczny i skorumpowany polityk chłopski: autor oryginału, Juliusz Kaden-Bandrowski, miał na myśli Witosa, widownia bezbłędnie odczytała jednak współczesne aluzje. W tym samym telewizyjnym formacie Juliusz Machulski pokazuje w 2003 r. swoją sztukę „19. południk". Polityk przypominający Leppera wygrywa tam wybory prezydenckie i doprowadza do IV rozbioru Polski. Lidera Samoobrony przypomina też siermiężny, sterowany przez oślizgłego spin doctora, polityk Kazimierz Dolny z ostatniej komedii reżysera, „Volty". „P...dolę Pera" śpiewa Kazik Staszewski w albumie „Las Maquinas de la Muerte", a zespół Big Cyc tak wyrażał się o posłance Samoobrony Renacie Beger: „Ty w oczach masz kurwiki, a w głowie owies masz / Po co do Sejmu na chama nam się pchasz?".

Trudno dziś zrozumieć skalę tej niechęci. Jako polityk Lepper okazał się pracowity, miał świadomość swoich ograniczeń, potrafił uczyć się na błędach. Jego populizm na tle tego, co z państwem robi PiS, wydaje się dość umiarkowany. Liderowi Samoobrony nie chodziło o wywrócenie III RP do góry nogami i podporządkowanie całej władzy sobie: chciał tylko, by polityka państwa bardziej uwzględniała interesy jego wyborców.

Jeśli z populistycznej rewolucji PiS jest jakiś pożytek, to taki, iż dzięki niej zaczynamy dostrzegać, jak bardzo klasistowskie bywało podejście opinii publicznej do Leppera. Zaczynamy się też uczyć tego, że także osoby bez kulturowego wyposażenia klasy średniej głosują i mają prawo do swojej reprezentacji w polityce.

Strategiczny błąd

Oczywiście, wiele z tego, co robił, na krytykę zasługiwało. Partią zarządzał jak folwarkiem. Dobre miejsca na listach wyborczych dostawali ci, którzy za to płacili. Żadnego aktywu, zdolnego realnie kontrolować kierownictwo od dołu, Samoobrona nie wytworzyła. Wyciągała za to z politycznego niebytu takie postaci jak Leszek Bubel – najbardziej znany antysemita III RP, redagujący przez pewien czas partyjną gazetę Samoobrony.

Największy problem z Lepperem polegał na jego podejściu do strategicznych dla Polski po 1989 r. wyborów: NATO i UE. Wokół Leppera od początku lat 90. kręcą się narodowi komuniści, środowiska radykalnie antyamerykańskie i antyniemieckie, zwolennicy teorii spiskowych. Sam Lepper często zapraszany jest na Wschód, dostaje doktoraty *honoris causa* szemranych uczelni z Ukrainy i Rosji. W 2005 r. do Sejmu z jego listy wchodzi Mateusz Piskorski – późniejszy lider prorosyjskiej partii Zmiana, dziś w więzieniu podejrzewany o szpiegostwo.

To, co mówi Lepper przed 2001 r., idealnie zgadza się z rosyjskimi interesami w regionie. Polska nie powinna się wiązać z NATO ani z Europą Zachodnią, potrzebujemy świata wielobiegunowego, z takimi krajami jak Rosja i Białoruś trzeba robić interesy, nie można wszystkim narzucać zachodniej demokracji, może Łukaszenka łamie prawa człowieka u siebie, ale w Polsce polityka Balcerowicza też – można streścić jego stanowisko z lat 90.

W trakcie referendum przed akcesją do UE Samoobrona straszy, że integracja wepchnie Polskę w rolę rynku zbytu dla europejskich towarów. Gdy Lepper wchodzi do rządu w 2006 r., jego stosunek do Europy się zmienia, ale przed akcesją myli się fundamentalnie. Dołączenie do NATO i UE to najbardziej kluczowe decyzje po roku 1989. Z tego punktu widzenia można się tylko cieszyć, że Lepperowi nie udało się uzyskać większych wpływów i realnie wpłynąć na ich zmianę.

Granice degażyzmu

Nurty antyatlantyckie i eurosceptyczne są na lewicy marginalne i ta część dziedzictwa Leppera dla nikogo nie stanowi inspiracji. Jego mit skupia się na czymś innym: wyzwaniu, jakie miał rzucić neoliberalnej ortodoksji. W czasach, gdy niezależnie od wyniku wyborów, rządzić miał Balcerowicz, Lepper jako jedyny odważył się powiedzieć, że „Balcerowicz musi odejść!" – mówi romantyzująca narracja.

Są z nią jednak problemy. Nie chodzi nawet o to, że po 2005 r. Lepper wynalazł się na nowo jako „socjalny liberał", zaczął bywać na galach biznesu, publicznie opowiadać o swoim majątku i przywiązaniu do wolnego rynku.

Prawdziwym problemem jest to, że poza rzuceniem hasła o odejściu Balcerowicza Lepper niewiele zrobił, by zaproponować inną politykę.

Francuskojęzyczna publicystyka ukuła w ostatnich latach pojęcie „degażyzmu", określając nim złośliwie te ruchy polityczne, które poza żądaniem odejścia (*dégage!*) elit nie mają nic więcej do zaoferowania. Lepper jawi się dziś jako degażysta *avant la lettre*. „Oni już byli, oni już rządzili, oni muszą odejść!" – brzmiało hasło Samoobrony w wyborach 2005 r.

Okazało się jednak, że gdy „oni odeszli", Lepper i jego ludzie nie mieli do zaproponowania żadnego rozwiązania realnie poprawiającego życie reprezentowanych przez nich grup elektoratu. Po sześciu latach obecności w Sejmie i ponad roku w rządzie nie została po nich żadna ustawa ani żadna instytucja, nic, co trwale poprawiałoby sytuację jego wyborców. Jeśli jest w tym lekcja dla współczesnej polskiej lewicy, to taka, że żaden podmiot autentycznej zmiany nie może być wyłącznie bankiem społecznego gniewu. Samo zboże na torach nie tworzy jeszcze zmiany. Nawet jeśli czasem trzeba spektakularnych działań, by móc w ogóle zacząć o zmianach rozmawiać.

© JAKUB MAJMUREK

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Falujący koszmar

MARIUSZ SEPIOŁO

Czasami to są sąsiedzi, czasami tajne służby albo sąsiedzi pracujący dla służb. Testują na ludziach broń pozwalającą kontrolować cudze myśli.

Będzie to opowieść o ludziach, którymi nikt się nie zaopiekował. Funkcjonują w ciągłym stresie, boją się o zdrowie i życie, nigdy nie czują ulgi. Pracują w firmach i urzędach, studiują, są na rentach, emeryturach, bezrobociu. Żyją jak wszyscy, ale noszą w sobie wyjątkowy sekret.

Apelują do świata wielkimi literami: WŁAŚNIE MNIE MORDUJĄ, POMÓŻCIE.

Zagrożenie czyha w domu, w pracy, na ulicy. Najgorsze jest to, które pochodzi spod czaszki, przesyłane za pomocą technologii zwanej *voice to skull*, jakby ktoś nachylił się do ucha i w niskich częstotliwościach, niewykrywalnych dla zwykłych śmiertelników, mówił: „Jesteś naszą ofiarą".

Oni promieniują

– Proszę, nie teraz, boli mnie noga. Promieniują mnie bez litości – mówi M.

– Ale kto?

– Nie teraz, mam życie beznadziejne.

Na jednym zdjęciu wesoła emerytka w czapce z daszkiem. Na innym pilna uczennica w mundurku. Była urzędniczka w małym mieście, która dziś nie może przejść po ulicy spokojnie – od razu „naświetlają" ją z telefonów komórkowych, robią zdjęcia.

– Dzisiaj torturowali od czwartej rano. Strasznie piecze mnie prawa noga. Czasem przypiekają mi obie. Kto? Tego nie wiem. Wiem, że mnie naświetlają. Jak wczoraj zrobiłam zdjęcie w pokoju, to było widać mgłę. A jak robię w ogródku, to wszystko jest okej.

– Kiedy mam włączony komputer, potrafią przez niego nadawać – mówi A. – Gdy wyłączę, przez sekundę jest cisza, ale po chwili słyszę głos z innego urządzenia, np. pralki albo telewizora.

To nie są głosy z mojej głowy – podkreśla A. kilka razy. One pochodzą z zewnątrz.

Ich nadawcami są zawsze jacyś „oni". Przybierają różne postacie. Mają wielką moc. Potrafią wniknąć do ludzkiego umysłu, wprowadzić do niego myśli, a nawet wywołać określone działania. Śmieją się, kpią, krytykują każdy ruch, każde słowo, każdy błąd. Wprowadzają sprośne obrazy ↦

↦ i słowa, podczas kąpieli śmieją się z ciała ofiary, która w żargonie nazywana jest „targetem".

Po co to robią? Żeby kontrolować.

– Kiedy dojdzie do wojny, będą w stanie dostać się do umysłu przeciwnika, przechwycić jego myśli albo nimi sterować – wyjaśnia A.

Mówią o tym najczęściej: „elektrotortury". Ale też *mind control*, kontrola umysłu lub *gang stalking*. W ostatniej nazwie znajduje się sugestia, że swoim „targetom" oprawcy dokuczają zespołowo, w porozumieniu. Czy są to zwykli ludzie z mieszkania obok, czy przedstawiciele służb specjalnych.

Stowarzyszenie Stopzet (z siedzibą w Toruniu) działa od kilku lat. W rozdziale II statutu wymienia cele działalności: „Podnoszenie świadomości społecznej w zakresie szkodliwości stosowania sztucznego, zmiennego promieniowania elektromagnetycznego rozumianego m.in. jako: fale radiowe, mikrofalowe, skalarne, promieniowanie podczerwone, pola torsyjne, fale akustyczne (infradźwięki i ultradźwięki), oraz wiele innych urządzeń elektronicznych emitujących ukierunkowane wiązki energii – nagłaśnianie wszelkich negatywnych skutków oddziaływań ww. zjawisk na człowieka bez jego zgody i inne żywe organizmy".

Władze stowarzyszenia uczestniczą w konferencjach i panelach dyskusyjnych, w których biorą udział także goście z całego świata. Uczestnicy opowiadają o tym, jak byli prześladowani, ostrzegają innych. 29 marca 2015 r. we Wrocławiu odbyła się pierwsza polska konferencja pod hasłem „Stop mind control". W 2016 r. członkowie i sympatycy Stopzet protestowali pod Sejmem „przeciwko technokratycznej kontroli umysłów, bierności państwa na zgłaszany terroryzm, gdzie policja myśli rodem z książek George'a Orwella zdalnie w każdej minucie zabija prawdę i sprawiedliwość". Na Wiejskiej, a miesiąc później pod Ministerstwem Obrony Narodowej, zgromadziło się kilkadziesiąt osób.

Relacje wideo z wydarzeń wiszą na kanale YouTube „Niezależna Telewizja". Czytamy, że to „projekt realizowany przez środowisko Forum Nowej Cywilizacji (FNC)" od 2008 r. O tym ostatnim niewiele wiadomo. Telewizja swoje pierwsze szlify zdobywała w relacjach z Wylatowa – słynnej wśród miłośników teorii spiskowych miejscowości, w której na polach uprawnych odkryto piktogramy UFO.

Jerzy Zięba, autor książki „Ukryte terapie", mówił, że od kilku lat zajmuje się tematem działania „obcych pól elektromagnetycznych na organizm człowieka".

Oni sterują

Jest miejsce, gdzie elektrotorturowani mogą się ze wszystkiego zwierzyć. To grupa na Facebooku utworzona przez władze stowarzyszenia Stopzet. To tu poznaję „targetów", którzy się przede mną otwierają.

P. od czterech lat słyszy głosy znajomych, którzy życzą mu źle. W ten sposób wrogowie wykończyli jego babcię. Matka R. zmarła z podobnych przyczyn. R. pisze, że spotyka ostatnio coraz więcej osób cierpiących z powodu wpływu mikrofal, i radzi, by nie bać się o tym mówić. A., student weterynarii na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim, chce złagodzić ból po promieniowaniach, bolą go żebra, wątroba, tchawica, ma duszności, dostrzega drganie powietrza, ostatniej nocy chrapał, a zwykle nie chrapie. M. radzi, żeby wieczorem zachować spokój, zapalić kolorową lampkę: najlepiej niebieską lub fioletową. I uznać, że to, co robią „oni", to tylko głupia zabawa.

R. nie czeka, tylko zgłasza wszystko na policję albo do prokuratury. Przystojny, wysportowany, absolwent liceum w Gdańsku. Ma własną firmę, interesuje się piłką, podczas mundialu kibicował naszym, nawet kiedy przegrywali.

– Za każdym razem kończy się na odmowie wszczęcia śledztwa – mówi z powagą. – Ja jestem prześladowany od kilkunastu lat, a torturowany od niecałych dwóch. Zaczęło się, kiedy trafiłem do aresztu.

R. nie chce powiedzieć, za co i kiedy. W jego przypadku „oni" mają konkretną postać: państwa, rządu, służb, które prześladują niewinnego człowieka.

– Czuję, jakby włamano mi się do umysłu – mówi. – Wcześniej myślałem, że mam nerwicę, depresję. Przez kilka lat brałem leki, bo nie byłem świadomy, że mordują mnie i moją matkę. Mikrofalami. Sterują mną jak robotem. Blokują mi odczucia, doznania. Boję się, że długo nie pożyję. Ciągle boli mnie serce i narządy wewnętrzne. Tak samo mordowali moją mamę. Gdy zaczęli jej robić *mind control*, myślałem, że to objawy schizofrenii, bo nie miałem pojęcia, że istnieje taka technologia. Zamordowali ją w nocy.

Oni wychwytują

A. ma rodzinę, która nie chce słyszeć o jej problemach, i odpowiedzialną pracę: przygotowuje statystyki dla firm. To jeden z problemów, bo pracuje przy komputerze. Kiedy urządzenie jest włączone, „oni" zaczynają działać.

– W moim przypadku zaczęło się od złośliwych sąsiadów, zakłócali mi spokój – opowiada. – Były u nich ciągłe awantury, wrzaski, budzili mnie bardzo wcześnie rano lub w nocy. W końcu postanowiłam zareagować i zaczęłam im się odwdzięczać w podobny sposób, włączając głośno muzykę. Przede wszystkim po to, żeby zagłuszyć hałas z góry. Po pewnym czasie zaczęłam zauważać, że gdy próbuję się na czymś skupić, ktoś zrzuca jakieś ciężkie przedmioty tuż nad moją głową.

– Później zaczął się teatrzyk uliczny – mówi. – Gdy wychodziłam, miałam wrażenie, że wszyscy na mnie patrzą i komentują moje zachowanie. Oskarżali mnie o to, że rzekomo podglądałam sąsiadów na osiedlu. Samo w sobie było to absurdalne, ale w końcu sama uwierzyłam, że ktoś rozniósł jakąś głupią plotkę albo próbuje mnie wrobić.

Potem, relacjonuje A., dostali się do jej głowy.

– Na początku wydawało mi się, że ci sąsiedzi mówią przez ścianę, ale jak zaczęłam ich nagrywać, to okazało się, że oprócz mnie nikt nic nie słyszy. Nagrania były puste – opowiada. – Dopiero po pewnym czasie dowiedziałam się, że to jest technologia *voice to skull*, a te głosy, które mi nadają do głowy, są na bardzo niskiej częstotliwości i słyszę je tylko ja. To wygląda tak, że kilka osób za pomocą komputera podłącza się w jakiś sposób do mojego umysłu. Naruszają moje nerwy, bawią się moimi emocjami, potrafią mnie w ciągu ułamka sekundy doprowadzić do skrajnej nerwowości. Mają dostęp do moich snów, do myśli. Gdy czytam książkę (nie na głos), potrafią mnie zdekoncentrować. W mojej głowie pojawiają się w trakcie czytania jakieś przemyślenia, oni je wychwytują i komentują.

Kiedy wybiera się na spacer, „oni" potrafią nadawać głosy przez urządzenia elektryczne na skrzyżowaniach.

– Kim są? – pytam A.

– Mam wrażenie, że to sąsiedzi, którzy mieszkają nade mną, osobiście ich nie znam, widziałam może trzy, cztery razy na korytarzu.

– Dlaczego mieliby to robić?

– Być może dlatego, że nie spodobało im się to, że zaczęłam reagować na ich hałas, ale istnieje możliwość, że od samego początku obrali mnie za swój cel. Raz, przechodząc obok jednego z mieszkań, usłyszałam, że jestem w programie i testują na mnie te cholerstwa. Jak na razie jeszcze pracuję, ale niestety męczą mnie tak bardzo, że nie radzę sobie ze swoimi obowiązkami.

W kółko powtarzam pytanie: kto?

R. odpowiada: – Wiadomo, że służby. Dobra, muszę skończyć, bo mnie walą falami.

Oni zlecają

Sławek Wiktor należy do stowarzyszenia Stopzet. Na swoim blogu pisze o sobie jako o *target individual* (tłumaczy to jako „jednostka namierzana"). Od razu czyni zastrzeżenie: – Jeśli opisze pan tylko to, co przeżywają targeci, wniosek będzie oczywisty: wariaci. Dopóki czytelnik nie zrozumie, czym jest *gang stalking*, elektroniczne nękanie i kontrola umysłu, nie zrozumie tego, czego doświadczają targeci. Musi pan się odnieść do wiedzy ekspertów.

– Są tacy w Polsce? – pytam.

– Polska jest krajem tchórzy, tu demaskatorów nie ma – mówi. Odsyła do książki Roberta Duncana „How to Tame a Demon".

Duncan przedstawia się jako były pracownik Departamentu Obrony Stanów Zjednoczonych, CIA, NASA, marynarki wojennej i NATO. W książce zawarł swoje wnioski po przeprowadzeniu tysiąca wywiadów z ludźmi uważającymi się za targetów. Ani w relacjach tych ostatnich, ani w książce Duncana nie mogę znaleźć odpowiedzi na pytanie, dlaczego celem „oprawców" mieliby być normalni, niezagrażający nikomu ludzie, np. emeryci.

Wiktor: – Może dlatego, że tacy ludzie nie mają jak się bronić, nikt im nie uwierzy, nie mają pieniędzy na ochronę, na detektywów. Często wybierane są osoby z problemem narkotykowym lub alkoholowym, tacy, których łatwo spławić. Starsze panie? Każdy będzie je postrzegał jako osoby z demencją. Chodzi o przestępstwo w białych rękawiczkach.

Mieszkanka Bydgoszczy zapytała: „Czy państwo polskie posiada strategię wobec testowania broni elektromagnetycznej na polskich obywatelach?". **Minister Macierewicz** wyjaśnił, że osoby twierdzące, iż są poddawane takim badaniom, zgłaszały się już od 15 lat. Być może zjawisko jest szersze.

A ludzie, którzy wierzą, że prześladują ich sąsiedzi, podczas gdy na stronach stowarzyszenia i w wywiadach z Duncanem można przeczytać, że chodzi o „służby" sprawdzające, jak daleko mogą się posunąć?

– Nie są to zwykli sąsiedzi, ale sąsiedzi współpracujący ze służbami, działający na ich zlecenie – wyjaśnia Wiktor.

Oni analizują

Na szczęście nie są sami.

Autorytetem dla ludzi, którzy twierdzą, że są ofiarami elektrotortur, jest Jerzy Zięba. To autor książki „Ukryte terapie", właściciel spółki prowadzącej sklep internetowy z naturalnymi produktami leczniczymi, która według informacji tygodnika „Wprost" od lipca 2015 do grudnia 2016 r. sprzedała produkty za 13,3 mln zł, a jej zysk netto wyniósł 8,78 mln zł. W „Niezależnej Telewizji" mówił, że od kilku lat zajmuje się tematem działania „obcych pól elektromagnetycznych na organizm człowieka".

Ale w marcu 2016 r. ofiary elektrotortur zyskały potężniejszego sojusznika. W sali Wyższej Szkoły Kultury Społecznej i Medialnej o. Tadeusza Rydzyka odbywał się kongres pod hasłem „Problemy współczesnej polityki. Konflikty zbrojne i terroryzm". W dyskusji brali udział ówcześni szefowie MSZ i MON, Witold Waszczykowski i Antoni Macierewicz. Podczas pytań z sali głos zabrała mieszkanka Bydgoszczy. „Czy państwo polskie posiada strategię wobec nielegalnych badań, to znaczy testowania broni elektromagnetycznej na polskich obywatelach i czy wiadomo, w jaki sposób takie badania pojawiły się w naszym kraju?" – zapytała.

Minister Macierewicz wyjaśnił, że osoby twierdzące, iż są poddawane takim badaniom, zgłaszały się już od 15 lat. Najwięcej przypadków odnotowano w dolnośląskim i zachodniopomorskim. Być może zjawisko jest szersze. „Teraz takie analizy robimy, żeby zidentyfikować, gdzie są ludzie, którzy skarżą się na tego typu dolegliwości i tego typu sytuacje. Myślę, że za jakieś pół roku będę mógł pani odpowiedzieć coś więcej" – dodał minister, a słuchacze kiwali głowami ze zrozumieniem.

Stowarzyszenie Stopzet śle do odpowiednich instytucji informacje o przypadkach użycia broni elektromagnetycznej. Niektóre odpowiadają. „Uprzejmie informuję, że resort obrony narodowej zbiera wszelkie informacje i dane dotyczące przedmiotowego obszaru – pisze płk Dariusz Wiśniewski, dyrektor Biura Skarg i Wniosków MON. – Stąd niezwykle istotna jest lektura nadesłanych 16 opisów objawów u konkretnych osób". I informuje, że do „śledzenia tych tematów" wyznaczony został Inspektorat Implementacji Innowacyjnych Technologii Obronnych.

W słowach moich rozmówców słyszę zagubienie, strach i niepewność. Pytam więc w MON, czy rolą resortu nie powinno być zapobieganie dezinformacji, społecznym niepokojom i poczuciu zagrożenia? Pytam też, jaką rolę odgrywa dzisiaj w tym obszarze Inspektorat? W jaki sposób ministerstwo zajmuje się skargami nadsyłanymi przez Stopzet? Ale resort na te i inne moje pytania nie odpowiada.

Odpowiedział za to na interpelację posła PO Roberta Kropiwnickiego w kwietniu 2016 r. Sekretarz stanu Bartosz Kownacki stwierdził wówczas, że do Biura Skarg i Wniosków wpłynęły opisy 34 przypadków. „Prowadzone są analizy środowiska bezpieczeństwa, a tylko po rzetelnym sprawdzeniu i przeanalizowaniu problemu możliwe jest zajęcie stanowiska. Aktualnie resort obrony narodowej nie posiada informacji na temat użycia broni elektromagnetycznej przeciwko obywatelom Polski" – napisał Kownacki.

„Targeci" boją się nadal. A. udało się zanotować, co mówią jej wrogie głosy. Dominują przekleństwa, wyzwiska. Ale mówią też tak: „To jest wojna psychologiczna", „Mamy twój umysł".

© MARIUSZ SEPIOŁO

ANNA

Dziewit-Meller: *Adagio*

Na stypę miałam upiec ciasto. Piekłam je dwa razy, bo za pierwszym karmel na śliwkach tak stwardniał, że był jak kamień. Za drugim razem wyszło jak trzeba – lekko słone na spodzie, słodkie słodyczą ciemnych węgierek i palonego cukru ze śmietaną i masłem. Na konsolację, na pocieszenie. Tłuszcz i cukier.

Pogrzeb odbywał się w sąsiedniej wsi. Na parking obok cmentarza zjeżdżali się powoli krewni i sąsiedzi z całej okolicy. Cmentarna kapliczka nie mieściła wszystkich, którzy chcieli zmówić różaniec nad trumną.

Trumna zaś stała otwarta. Trzymając w garści bukiet zerwanych w ogródku kwiatów, stałam kilka kroków od wejścia i widziałam martwego dziadka Hanki i Antka, jak sobie leży – woskowy, gładki, bez bólu ostatnich dni, w garniturze kupionym na wesele Hanki, które będzie cztery dni po pogrzebie. We wtorek pogrzeb, w sobotę wesele. Szkoda, że nie odwrotnie, ale życie trwa dalej, co zrobisz. Żyjesz.

Zażywni chłopcy z zakładu pogrzebowego w białych rękawiczkach ponieśli trumnę do kościoła, gdzie ksiądz trochę pokrzyczał na parafian podczas kazania, że widuje ich przed ołtarzem tylko na pogrzebach i weselach. Na cmentarzu prawie nie ostały się już ślady po dawnych lokatorach. Tylko w jednym miejscu, na samej górze cmentarza, trwał grób Heinza Wiewiorry, wyraźnie postawiony na grobie Agnes Fitkau, której nagrobek oparto kawałek dalej o mur cmentarny. We wspólnej mogile obok leżą jeszcze Franz Fahl, który odszedł w 1946 r., i Paweł Fal, który zmarł 50 lat później. Razem z Franzem najwyraźniej odeszło także „h" w ich nazwisku.

Dziadka Hanki w kaplicy wciąż głaskano po zimnej ręce i po woskowej spokojnej twarzy, odganiano też natrętne muchy, machając nad jego martwą głową niebieską packą. – Jak on ładnie wygląda – mówiono przez łzy. – Tak, wygląda pięknie.

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym dla Warszawy-Woli w Warszawie, w Wydziale I Cywilnym, pod sygnaturą akt I Ns 1417/16 toczy się postępowanie z wniosku Banku Polskiej Kasy Opieki S.A. w Warszawie o stwierdzenie nabycia spadku po Marianie Piotrze Marczaku, s. Jana i Małgorzaty, ostatnio zwykle przebywającym w Warszawie przy ul. Świetlików 8/200, ur. 25 marca 1961 r. w Katowicach, zm. 28 czerwca 2015 r. w Katowicach.
Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się i udowodnili prawa do nabycia spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Martwe ciało dziadka przyjmowało tę żałobną miłość, ten nieznany mi z innych pogrzebów brak lęku przed zwłokami, te zasłony kadzidła mającego uczynić nieco bardziej znośnym wspólny pobyt w małej dusznej kapliczce cmentarnej.

W dniach dookoła pogrzebu czytałam „Podróże po ludzkim ciele" Gavina Francisa, praktykującego lekarza i nagradzanego brytyjskiego pisarza. To krótkie eseje, łączące w sobie praktyczne doświadczenie kliniczne z erudycyjnymi wyprawami w stronę historii literatury i sztuki. Od mózgu, przez oko, ucho, płuco, serce, barki, dłonie, nerki, jelita, genitalia, po biodra i stopy – obserwujemy związki kultury z naturą.

W rozdziale o sercu Francis przypomina jednego ze swoich pacjentów – poetę Robina Robertsona, który urodził się z wadą tego organu – zastawka jego aorty składała się z dwóch tylko płatków zamiast trzech, jak u zdrowego człowieka. Po operacji wymiany zastawki poeta napisał wiersz o tym, jak zatrzymano bicie jego serca, by funkcje natleniania krwi przejęła maszyna. „Przez cztery godziny byłem poza ciałem / zmuszony do zgonu / potem gwałtem ożywiony" – pisał. – „Ponad cierpieniem urosła i nabrzmiała czerń / niektórzy zwą to delirium / gdy resztki z maszyny / przepływają do mózgu". Owo doświadczenie delirium – bycia poza własnym ciałem i dezorientacji – to jednostka medyczna zwana zespołem poreperfuzyjnym. Wygląda na to, że powoduje ją zakłócenie naturalnego rytmu, w jakim bije sobie każde z serc. Jak pisze Francis, „być może to wewnętrzny rytm skurczów i rozkurczów serca jest tak ważny dla mózgu i poczucia własnej tożsamości, że jego zakłócenie powoduje poważne problemy". Pacjenci intensywnej opieki kardiologicznej po odzyskaniu przytomności miewają kłopot z powrotem do swojego „ja": jedni stają się przesadnie pobudzeni, tak że trzeba im podawać silne środki psychotropowe, inni nienormalnie spokojni, jeszcze inni nagle z kulturalnych osób przemieniają się w klnących i rzucających świńskie dowcipy chamów. Jakby musieli dopiero wrócić skądś do swoich ciał i na powrót stać się powoli sobą.

Czytając „Iliadę" Francis znajduje cenne opisy urazów barku, w baśniach widzi sposób na oswojenie pojęć takich jak choroba, śpiączka czy metamorfoza, w mitach o walce i odkupieniu dostrzega historie rekonwalescencji pacjentów oddziałów ortopedycznych. W rozdziale o oku przywołuje „Księgę istot zmyślonych" Borgesa. Chory na postępującą zaćmę i odklejanie się siatkówki pisarz zauważa, że sferyczny kształt Ziemi przypomina ludzkie oko, „najszlachetniejszy narząd naszego ciała", dla Francisa zaś ten fragment to wyraźny sygnał wielkiej tęsknoty pisarza za utraconym zmysłem, który nie zasnuł się czernią (jak to opisywał Szekspir, mało wiarygodny w tym zakresie, zdaniem Borgesa), lecz „kłębami podświetlonej na zielono mgły".

Zimne, ale do końca pieszczone ciało dziadka Hanki i Antka zniknęło w końcu pod ziemią w strugach nagłego letniego deszczu, a z małego głośnika popłynęły charczące dźwięki „Adagia" Albinoniego. Śliwki na cieście puściły sok, cukier dał pożywkę bakteriom na naszych zębach, pobudził do pracy trzustkę, uczynił nas ospałymi. Dopiero pod koniec dnia powoli wróciliśmy do swoich zwykłych stanów, jak pacjenci po odłączeniu od sztucznego serca. ©

„TP" 33 / 2018

W obronie Santiago

Lektura rozmowy Błażeja Strzelczyka z redaktorem naczelnym miesięcznika „W drodze" Romanem Bieleckim OP, we fragmencie dotyczącym miasta Santiago de Compostela, wprawiła mnie na moment w dezorientację („I nic. Dochodzi się do miasta pielgrzymów, takiego samego jak każde inne. Santiago de Compostela nie ma w sobie nic ciekawego. Raptem kilka wieków tradycji więcej niż Częstochowa. Na siłę, jeśli ci tak zależy, jest kilka interesujących kościołów"). Po chwili otrząsnęłam się i uznałam, że chodziło o mrugnięcie okiem do czytelnika, zamierzoną prowokację, coś jak wydźwięk tytułu jednej z tematycznych książek: „Nie idź tam, człowieku!". Nie wierzę bowiem – nie tylko na podstawie własnych kilkukrotnych pielgrzymich oraz zawodowych doświadczeń – żeby ktokolwiek, kto widział Santiago, mógł je na serio tak spostponować. Nawet dla czytelności ewentualnej tezy o prymacie doświadczeń drogi nad samym jej celem. Szczególnie pielgrzym, więc człowiek uważny na otoczenie. Santiago de Compostela ze swoją materialną i niematerialną urodą, i takąż podwójną dynamiką, zawiera w sobie całe światy gotowe na interakcje z przybyszem. Przynależy do drogi. I – jak wiadomo – jest początkiem drogi na świata koniec. Zamyka i otwiera, jak alfa i omega chrystogramu na elewacji katedry od strony Praterías.

Uznawszy zacytowaną na wstępie wypowiedź za figurę retoryczną, z wypuszczonym już z płuc powietrzem ulegam jednak pokusie i ślę telegraficznie krótki głos w obronie znaczenia kontekstów w doświadczeniu samej drogi i miejsca będącego jej celem. Camino ściera (nieco) bowiem nasze kanty, ale poleruje je o konkretne fragmenty szlaku. Odbywa się to w otoczeniu, które warto starać się rozumieć, podchodząc do niego z pewną dozą pokory – bo idzie się przez ziemię, na której jest się gościem. A samo Santiago zapada przecież w serce od pierwszych nieśmiałych wejrzeń. Żeby to poczuć, nie potrzeba studiować opisu „wyjątkowej powszechnej wartości", stworzonego przez UNESCO na potrzeby wpisu miasta na listę Światowego Dziedzictwa w 1985 r. Zielone, majestatyczne, a zarazem pozbawione pretensji, prześwietlone słońcem, częściej zanurzone w nostalgicznych mgłach. „Pada deszcz w Santiago / moje kochanie najsłodsze" – pisał Federico García Lorca („Madrigal á cibdá de Santiago"), w zachwycie wybierając do złożenia swoich galicyjskich strof nie kastylijski, ale język tej ziemi. Ze słonecznym tarasem Quintany, zmieniającym się po zmroku w niepokojącą przestrzeń byłego cmentarza, gdzie straszy cień pielgrzyma, a wspomniany Lorca tańczył z księżycem. Z podominikańskim kompleksem klasztornym na Bonaval, mieszczącym wspaniale zachowany gotycki kościoł, jedną z pereł XIV-wiecznej architektury mendykanckiej. Z cieniem pewnego polskiego rycerza, który śpiewając rzewne *coplas* o Matce Bożej z Muxii może pociągnąć cię za sobą na koniec świata, gdzie odnajdziesz swój dom. Ale to osobna historia, jedna z bardzo wielu. „*Ultreia – suseia – Santiago!*".

MAGDALENA GORAS

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego, nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem **powszech.net/wspieram**

faniMani.pl

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Audiodelic

TYGODNIK POWSZECHNY

Ściągnij aplikację **Audio**delic

Available on the App Store lub Android app on Google play i weź, słuchaj!

najważniejszych, nagradzanych, kanonicznych tekstów i wywiadów z historii „Tygodnika Powszechnego" czytanych przez profesjonalnych lektorów.

Wśród autorów tekstów:

ks. Adam Boniecki, Andrzej Stasiuk, Anna Goc, abp Józef Życiński, Łukasz Lamża, Czesław Miłosz, Dorota Kozińska, abp Grzegorz Ryś, Jerzy Pilch, Jerzy Turowicz, ks. Józef Tischner, ks. Michał Heller, Łukasz Kwiatek, Leszek Kołakowski, Katarzyna Kubisiowska, Michał Kuźmiński, o. Ludwik Wiśniewski, Paweł Reszka, Sławomir Mrożek, Stanisław Barańczak, Stanisław Lem, Stefan Kisielewski, Tadeusz Sławek, Wisława Szymborska, Wojciech Nowicki, Wojciech Bonowicz.

STRAŻNICY POZA KONTROLĄ

Ujawniane przypadki tuszowania nadużyć seksualnych wobec dzieci oraz wykorzystywania osób pełnoletnich zależnych od duchownych pokazują, że Kościół czeka jeszcze długa droga.

ZUZANNA RADZIK

Ksiądz w diecezji Harrisburg molestował pięć sióstr z jednej rodziny, jednocześnie kolekcjonując próbki ich moczu, włosów łonowych i krwi menstruacyjnej. Mimo licznych zgłoszeń diecezja nie reagowała do czasu, gdy przeszukano mu dom i znaleziono ową kolekcję. Inny duchowny z diecezji Greensburg nakłaniając uczniów gimnazjum do seksu oralnego przekonywał, że Maryja też musiała przegryźć pępowinę Jezusa i wylizać go do czysta po narodzinach. Dopiero po 15 kolejnych latach i wielu innych zgłoszeniach diecezja odsunęła go od posługi. Biskup diecezji Scranton napisał w liście: „To bardzo trudny czas w Twoim życiu, rozumiem Twój smutek. Dzielę Twój żal". Pisał do księdza, którego nastoletnia ofiara – nakłoniona przez niego – właśnie dokonała aborcji. Przeczytamy też o przypadku siedmioletniej dziewczynki zgwałconej w szpitalu po operacji czy o księdzu, który zmusiwszy dziewięciolatka do seksu oralnego, przepłukał mu usta wodą święconą.

Można wyliczać dalej. 14 sierpnia Wielka Rada Przysięgłych powołana przez stan Pensylwania obejmujący osiem diecezji opublikowała raport analizujący sprawy z ostatnich 70 lat, dotyczące 1000 pokrzywdzonych nieletnich i 300 oskarżonych księży z sześciu diecezji (pozostałe dwie były raportowane kiedy indziej). Raport opiera się na dokumentacji gromadzonej przez same diecezje. Na jednej z teczek komisja znalazła adnotację „To jeden z naszych najgorszych", co nie znaczy, że duchownego odsunięto od pełnienia obowiązków. W niektórych przypadkach przesłuchano też ofiary. Jedna z nich próbowała potem popełnić samobójstwo, a ze szpitalnego łóżka prosiła przysięgłych: „Skończcie pracę i powiedzcie światu, co się wydarzyło".

Niemoralne status quo

Nie są to jedyne informacje o molestowaniu przez katolickich duchownych, które obiegły świat w ostatnich tygodniach. Szczególne znaczenie, bo dotyczy najwyższego kościelnego szczebla, ma sprawa emerytowanego metropolity Waszyngtonu kard. Theodore'a McCarricka, który miał molestować zarówno seminarzystów, jak i jedenastolatka. Te przypadki były w latach 1994–2008 bezskutecznie zgłaszane biskupom. Choć sprawa została ujawniona dopiero teraz, już w 2005 i 2007 r. diecezja New Jersey zawarła tajne ugody z dwiema ofiarami. Teraz słyszymy, że o McCarricku mówiono od dawna, również wśród biskupów.

Do sprawy odniósł się amerykański episkopat, pisząc w oświadczeniu o swoim bólu z powodu ujawnionych przypadków. W ostatnich dniach biskupi w drugim oświadczeniu ogłosili również, że zaproszą z Watykanu wizytację apostolską w celu pełnego wyjaśnienia sprawy. Przewodniczący episkopatu USA kard. Daniel DiNardo mówił: „Stoimy w obliczu duchowego kryzysu, który wymaga nie tylko duchowego nawrócenia, ale praktycznych zmian, by uniknąć powtórzenia grzechów i zaniedbań z przeszłości".

Już po pierwszym oświadczeniu episkopatu podniosły się głosy krytyki. Na Twitterze aktorka i katoliczka Patricia Heaton napisała: „Drogi kard. Danielu DiNardo, świeckich nie obchodzi, jak wielki wstyd czujesz, chcemy wyrzucenia zarówno odpowiedzialnych za molestowanie seksualne, jak i ukrywających te przypadki". W podobnym tonie Mary Pezzulo komentowała: „DiNardo jest w błędzie, gdy pisze, że to kryzys moralności seksualnej. To kryzys wykorzystywania słabszych, biskupiego zaniechania, by je zatrzymać, na co nie mają żadnego usprawiedliwienia. Poza tym to nie jest kryzys. Kryzys to dramatyczny moment zmiany. To jest trwające od wielu lat, niemoralne *status quo*".

W sprawie McCarricka wypowiedziała się również Marie Collins (kiedyś zasiadająca w watykańskiej komisji ds. ochrony nieletnich jako była ofiara) podkreślając, że fakty na temat kardynała były dobrze znane w kręgu jego kolegów, którzy również są wysoko postawieni, a jednak żaden nie zareagował. Uważa, że jego przypadek pokazuje wiele słabości struktury Kościoła. Collins wini też klerykalizm: „ludzie tacy jak McCarrick w swoim unikaniu odpowiedzialności ↦

Abp Theodore McCarrick, 2000 r.

MICHAEL WILLIAMSON / THE WASHINGTON POST / GETTY IMAGES

↦ wykorzystują aurę władzy i nieproporcjonalnego szacunku, pewni, że nikt się im nie przeciwstawi". Po swoich doświadczeniach w pracy w watykańskiej komisji ostrzega, że sprawa McCarricka zniknie z prasy i nic się nie zmieni.

Sprawa kardynała ujawniła dwa problemy, które dotychczas nie zostały dostatecznie dostrzeżone: kwestię właściwej reakcji w Kościele na nadużycia seksualne wobec osób pełnoletnich, ale pozostających w relacjach zależności (np. kleryków), oraz problem z brakiem skutecznych mechanizmów karania wyższych przełożonych kościelnych. „Takie przypadki wymagają czegoś więcej niż przeprosin. Wskazują one na fakt, że w przypadku oskarżenia biskupa lub kardynała nadal istnieje zasadnicza luka w polityce Kościoła dotyczącej wykorzystywania seksualnego" – komentował przypadek McCarricka kard. Seán O'Malley, przewodniczący watykańskiej komisji ds. ochrony nieletnich.

Matnia ofiar

Spójrzmy zatem na sytuację owych młodych dorosłych, skoszarowanych w seminariach. Oprócz waszyngtońskich seminarzystów skazanych na „wujka Teda" (jak kazał do siebie mówić McCarrick) podobne problemy mieli seminarzyści w diecezji Lincoln, gdzie oskarżony o molestowanie seminarzystów jest ks. Leonard Kalin. Biskup skierował go na leczenie nie mówiąc diecezjanom, że Kalin ma zarzuty. Dziś biskup przyznaje się do braku przejrzystości, lecz zarzut tuszowania odrzuca. Jedna z ofiar tak oceniała swoją sytuację i jego techniki, podkreślając, jakie znaczenie ma tu zwierzchność molestującego i cała kultura wokół: „To molestowanie nie było niezależne od struktury władzy i autorytetu w Kościele katolickim i teologicznego dyskursu dotyczącego kapłaństwa, celibatu, posłuszeństwa. Prawdę mówiąc, molestowanie było przez nie umożliwione. (...) Łatwiej jest myśleć o nim jako o aberracji, tyle że dowody wskazują, że jest głęboko zintegrowane z tkanką Kościoła". O podobnych problemach usłyszymy z ust seminarzystów z chilijskiej diecezji Valparaíso, 60 km od Santiago. Ich historie z pierwszej dekady trzeciego tysiąclecia są wstrząsającym przykładem tego, jak próby szukania pomocy i raportowania przełożonym nie przynosiły skutku, a adepci seminarium znajdowali się w matni. Sebastián del Río o swoich problemach z adorującym go kierownikiem duchowym, a potem rektorem seminarium opowiedział biskupowi, który zmusił go do zrobienia sobie masażu, a ostatecznie nie dopuścił do święceń. Gdy del Río przekazał swoje oskarżenia do Watykanu, skontaktował się z nim biskup jego diecezji oskarżając, że jest mściwym byłym seminarzystą. Każda kolejna historia jest tylko gorsza.

> Dotychczasowe prawo nie przewidywało sytuacji, w której to **biskup lub kardynał jest sprawcą molestowania**.

Thomas Plante, psycholog kliniczny z Santa Clara University, który przeprowadził wywiady z setkami katolickich księży i seminarzystów: „Seminaria to sytuacja szczególna, bo to nie praca, ale życie. To dotyczy więc życia, pracy, duchowości. Nie jest tak, że możesz złożyć wypowiedzenie i zmienić pracę". Podkreśla też brak gotowości duchownych do dyskutowania na temat seksualności w zdrowy sposób. Podobnie katolicy nie są gotowi do rozmowy o seksualności duchownych. To wszystko tworzy kulturę sprzyjającą nadużyciom.

Świeccy na scenę

Dotychczasowe prawo nie przewidywało sytuacji, w której to biskup lub kardynał jest sprawcą molestowania. Nie jest jasne, do kogo w takiej sytuacji należy się zwrócić ani jaki niezależny organ miałby podjąć się śledztwa i skazania takiego hierarchy. Watykańska komisja ds. ochrony nieletnich pracująca nad nowymi rozwiązaniami prawnymi sugerowała stworzenie trybunału, który sądziłby tuszujących takie sprawy biskupów. Pomysł jednak, mimo poparcia przez papieża Franciszka, nie mógł się przebić, a z komisji po kolei odchodziły ofiary molestowania. Komentatorzy podejrzewają, że w ten sposób chciano uniknąć kolejki spraw, które wymagałyby rozpatrzenia przez Watykan i zwróciłyby uwagę mediów.

Temat specjalnego ciała oceniającego działania biskupów powrócił przy oskarżeniach wobec kardynała McCarricka. Bp Edward Scharfenberger z Albany powiedział, że to świeccy powinni prowadzić śledztwo w sprawie naruszeń biskupów. Odniósł się w ten sposób do pomysłu kard. Donalda Wuerla, który mówił, że biskupi powinni stworzyć komisję rozpatrującą oskarżenia wobec hierarchów i odsyłającą sprawy do Watykanu. Scharfenberger stwierdził jednak, że doszliśmy do punktu, w którym biskupi prowadzący dochodzenie w sprawie innych biskupów to nie odpowiedź i trzeba oddać pole świeckim.

Wtórował mu kard. Blase Cupich, który za przykład dał swoją diecezję w Chicago, gdzie, jak uważa, procedury działają. Istnieje tam złożona ze świeckich i duchownych rada rozpatrująca oskarżenia o molestowanie między pracownikami Kościoła i dorosłymi. „Zawsze ufam świeckim, że wiedzą, co robić".

W tym samym czasie chilijscy biskupi, w stanowisku wydanym pod koniec pięciodniowego posiedzenia, prosząc o przebaczenie zaniedbania obowiązków w sprawie zarzutów o molestowanie, zadeklarowali konkretne kroki, m.in. dzielenie się ustaleniami z organami ścigania, jeśli mowa o przestępstwach wobec dzieci, oraz zwiększenie udziału świeckich, zwłaszcza kobiet, w ciałach decyzyjnych w Kościele w Chile. I proponują konkret: prawniczka Ana Maria Celis Brunet została mianowana szefową Narodowej Rady Zapobiegania Molestowaniu i Wspierania Ofiar (wcześniej funkcję pełnił biskup). Jak prawniczka kanoniczna poradzi sobie z ogromnym kryzysem w tamtejszym Kościele, przyjdzie nam wkrótce zobaczyć.

Bezradność zakonnic

Na tym nie koniec. Ostatnie tygodnie przyniosły jeszcze więcej niepokojących wieści. Agencja Associated Press przedstawiła raport o molestowaniu, jakiego doświadczają siostry zakonne. Raport 30 lipca skomentowało amerykańskie zrzeszenie przełożonych zakonów żeńskich LCWR, zachęcając siostry do zgłaszania molestowania świeckim organom ścigania, oraz wezwało Kościół do odejścia od kultury milczenia, pociągnięcia molestujących do odpowiedzialności i wsparcia ofiar.

Również w Chile sześć sióstr zakonnych w lipcu przyznało w krajowej telewizji, że były molestowane przez księży, biskupów i inne siostry, a ich przełożeni nic w tej sprawie nie zrobili.

Innym głośnym przykładem molestowania zakonnic są sprawy z Indii. Siostra, która stała się ofiarą molestowania

(została nagrana pod prysznicem przez księży), nie była w stanie wyegzekwować sprawiedliwości. Mimo interwencji organizacji sióstr zakonnych biskup wysłał sprawcę na studia do Rzymu. Interwencje u nuncjusza też nie przyniosły efektu, a jej przełożone zmusiły ją do odejścia z zakonu. Maju Kulampuram, która zajmowała się tą sprawą, mówi, że problem złego traktowania zakonnic jest w Indiach ogromny: „Jeśli wyjdzie na jaw, będzie jak tsunami". Księża mają nad siostrami władzę, kontrolują majątki, a w wypadku konfliktu odmawiają komunii i spowiedzi. W sprawie wspomnianej siostry konferencja biskupów odmawiała wielokrotnie komentarza.

Jednocześnie głośna stała się sprawa zakonnicy z kościoła syromalabarskiego, która oskarża biskupa Kerali Franca Mulakkala o wielokrotny (13 razy) gwałt, potwierdzony lekarską obdukcją. W połowie sierpnia policja wkroczyła do rezydencji hierarchy w celu przesłuchania, a towarzyszący jej reporterzy twierdzą, że zostali poturbowani przez prywatną ochronę biskupa.

Kto niewinny

„Kto będzie pilnował strażników?" (*Quis custodiet ipsos custodes?*) – przypominano łacińskie przysłowie, gdy z każdą kolejną sprawą topniało zaufanie do hierarchii. Cień oskarżeń o tuszowanie spraw molestowania pada nawet na najważniejsze nazwiska.

Najpierw ks. Boniface Ramsey powiedział „Washington Post", że wysłał w 2015 r. do kard. Seána O'Malleya jako do szefa komisji ds. ochrony nieletnich list alarmujący o oskarżeniach kleryków wobec McCarricka, ale w odpowiedzi dostał wiadomość od jego sekretarza, że te sprawy przekraczają zakres kompetencji komisji. Nic nie wiadomo jednak, by biuro O'Malleya przekazało sprawę do odpowiedniego watykańskiego organu.

Teraz raport z Pensylwanii wspomina o sprawach nadzorowanych przez kard. Donalda Wuerla, dziś arcybiskupa Waszyngtonu, który przez 18 lat (1988–2006) kierował objętą śledztwem diecezją Pittsburgh. Wspominane są przypadki, gdy odmówił przywrócenia oskarżonych do posługi, ale też takie, gdy za radą psychologów z kościelnych ośrodków pozwolił im wrócić do pracy. Ten drugi przypadek to choćby Thomas O'Donnell, którego w 1989 r. psycholodzy ocenili jako niemającego problemów, choć rodzice dzieci składali liczne skargi (kazał dzieciom rozebrać się na gimnastyce, rozmawiał z dzieckiem o seksie i kazał dziecku spać ze sobą w czasie wycieczki). W 2005 r. Wuerl wyznaczył mu do życia i pracy miejsce sąsiadujące ze szkołą, mimo że rodzice wielokrotnie składali skargi.

Hierarchowie zawiedli w Chile, gdzie zamiatano pod dywan serię skandali związanych z molestowaniem zarówno nieletnich, jak i dorosłych. I choć dziś episkopat tego kraju podejmuje dalekosiężny program naprawczy, to otoczony jest w kraju podejrzliwością do tego stopnia, że policja na wniosek prokuratury przeszukała kurialny budynek i zajęła dokumentację,w obawie przed mataczeniem. W Australii tego lata za tuszowanie spraw pedofilskich skazano abp. Philipa Wilsona.

Co więcej, zainteresowany sam nie ustąpił z kościelnego stanowiska, lecz zrobił to dopiero, gdy premier tego kraju zwrócił się w tej sprawie do papieża. We Francji arcybiskup Lyonu, kard. Philippe Barbarin, oczekuje wyznaczonego na styczeń 2019 r. procesu, w którym będzie oskarżony o tuszowanie spraw dotyczących molestowania. W tym samym francuskim procesie zarzuty ma kard. Luis Ladaria Ferrer, prefekt kongregacji Nauki Wiary, i pięciu innych watykańskich dostojników.

Była prezydent Irlandii Mary McAleese właśnie wyznała, że jesienią 2003 r., przed ogłoszeniem irlandzkiego raportu o molestowaniu, ówczesny watykański sekretarz stanu kard. Angelo Sodano sugerował jej podczas kameralnego spotkania potrzebę zawarcia konkordatu, co doprowadziłoby do utajnienia kościelnych archiwów. „Powiedziałam mu, że uważam to za niezwykle nieodpowiednie i bardzo, bardzo niebezpieczne dla Kościoła" – opowiada dziś McAleese, która wspomina to jako najbardziej niszczący moment swojej prezydentury. „Irish Times" raportuje również, że dwa lata później Sodano pytał ministra spraw zagranicznych Dermota Aherna, czy państwo irlandzkie zrekompensuje Kościołowi ewentualne straty spowodowane zasądzonymi odszkodowaniami.

Watykan na razie milczy w tej sprawie, ale za kilka dni papież Franciszek wybiera się do Irlandii, którą już i tak elektryzuje pytanie, dlaczego w planie wizyty nie ma spotkania z ofiarami molestowania.

©℗ ZUZANNA RADZIK

Sąd nad biskupem

„JEŚLI BISKUP JEST OSKARŻONY o molestowanie seksualne nieletniego, oskarżony biskup jest zobowiązany do poinformowania nuncjusza apostolskiego" – to zapis z Karty Ochrony Dzieci i Młodzieży opracowanej przez amerykańskich biskupów w 2002 r., dokumentu, który stał się wzorcem dla Kościołów w innych krajach. Można się łatwo domyślić, że już z powodów czysto psychologicznych ten przepis rzadko jest skuteczny. Prawo kanoniczne rezerwuje sądzenie biskupów i kardynałów wyłącznie papieżowi. W praktyce oskarżenia rozpatruje Kongregacja ds. Biskupów – ta sama, która wcześniej owych biskupów papieżowi rekomendowała. Trudno się dziwić, że skargi w jej archiwach utykały. Ten problem na poziomie prawnym rozwiązałoby powołanie osobnego trybunału do sądzenia oskarżonych biskupów i wygląda na to, że Franciszek taki trybunał w końcu powoła. Instytucja ta będzie potrzebowała uzupełnienia w postaci urzędu oskarżycielskiego uprawnionego do prowadzenia wstępnego dochodzenia kanonicznego w Kościołach lokalnych. Owe uprawnienia mogliby otrzymać nuncjusze, ale z dotychczasowej praktyki widać, że często to oni stanowili „mur zaporowy" dla pojawiających się spraw. Uzupełnienia – jak się wydaje – potrzebują też przepisy Kodeksu Prawa Kanonicznego. Nie ma kanonu przewidującego karę za nadużycia seksualne wykorzystujące stosunek zależności lub krytyczną sytuację, analogicznego np. do paragrafu 199 polskiego świeckiego kodeksu karnego. Choć duchownych wykorzystujących takie sytuacje można karać z bardziej ogólnych kanonów (np. kanonu 1395 odnoszącego się do zewnętrznego grzechu przeciwko szóstemu przykazaniu czy kanonu 1399 – mówiącego o ciężkim zewnętrznym naruszeniu prawa Bożego), konkretny przepis na pewno podniósłby świadomość zła i wrażliwość na takie sytuacje. Prawo kanoniczne zbyt szybko też przedawnia takie przestępstwa, bo już po pięciu latach. ©℗ ARTUR SPORNIAK

MARTIN DIVISEK / EPA / PAP

Procesja z figurką Praskiego Dzieciątka wychodzi z kościoła Panny Marii Zwycięskiej. Praga, 5 maja 2018 r.

Czesi nie lubią instytucji

TOMASZ MAĆKOWIAK

Czy Kościół w Europie umiera? Czy rzeczywiście przypomina „niepłodną babcię", jak nasz kontynent nazwał papież Franciszek? Poszukując odpowiedzi, pisaliśmy już o Włoszech i Irlandii. W tym tygodniu – o Kościele w Czechach.

Mury kościoła Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny w Neratovie pod koniec II wojny światowej zostały rozprute przez artylerię Armii Czerwonej. Wysokie wieże runęły na dach, rozbiły go i tony gruzu wpadły do wnętrza. Krótko po wojnie kościół obrabowano. Ruina stała potem przez 40 lat na górskich wichrach i śnieżycach. Władze kilka razy zarządzały wysadzenie resztek murów, ale nigdy do tego nie doszło i ostatecznie wysokie ściany zabytkowego kościoła przez dekady straszyły wypalonymi jamami po witrażach.

Dziś w czasie niedzielnych mszy w lecie kościół jest niemal pełny, bo z okolicznych wsi schodzą się letnicy. Rozpruty dach zakrywa efektowna tafla ze szkła, a ze starymi, kamiennymi murami pięknie kontrastuje nowoczesna, zawieszona w powietrzu witrażowa instalacja Wniebowzięcia. Przy kościele działa dom opieki i zakłady pracy chronionej dla niepełnosprawnych, kawiarnia, sklep ogrodniczy i warsztat ceramiczny oraz – od tego roku – minibrowar. Jesienią odbudowane zostaną hełmy wież i dolina Dzikiej Orlicy pierwszy raz od 1945 r. usłyszy bicie dzwonów na Anioł Pański.

Historia i stan współczesny tej parafii odbijają dzieje czeskiego katolicyzmu po II wojnie światowej. Kościół w tym kraju, po dekadach systematycznego niszczenia i brutalnych prześladowań, na pewno nie imponuje potęgą, bogactwem czy liczebnością. Budzą jednak szacunek energia i zaangażowanie, z jakimi katolicka mniejszość odbudowuje życie religijne po apokalipsie.

Stereotyp ateistów

Polskie opowieści o czeskim Kościele bywają mocno zmitologizowane, dlatego warto zacząć od prostowania faktów. Sami Czesi często przypominają swoją tradycję religijną: średniowieczny husytyzm, reformację i narzuconą z góry rekatolicyzację w XVI w. Te doświadczenia miałyby sprawić, że dziś są jednym z najbardziej zlaicyzowanych społeczeństw świata.

Głośnym echem odbijają się kolejne, robione co dziesięć lat spisy powszechne, w których padają też dość dokładne pytania o religijność. Według ostatniego, z 2011 r., za katolików uznało się w Czechach niewiele ponad 10 proc. mieszkańców. Porównanie z wcześniejszym spisem wskazuje, że w ciągu dekady połowa wierzących odeszła z Kościoła.

Tyle że czescy intelektualiści katoliccy te dane opatrują ciekawymi komentarzami. Zwracają oni mianowicie uwagę na to, że w tym samym spisie powszechnym ponad 40 proc. pytanych deklaruje wiarę w Boga, jednocześnie nie wskazując żadnego wyznania ani związku religijnego. Ludzi, którzy otwarcie mówią „nie wierzę w Boga", jest również około

40 proc. w całym społeczeństwie. Reszta – około 60 proc. – to albo katolicy, albo wyznawcy innych religii, albo „poszukujący". Zresztą z analiz danych ze spisu widać, że jest w Czechach jeszcze jedna, specjalna kategoria: spora grupa osób w rubryczce „wyznanie" wpisuje „rzymskokatolickie", ale w rubryczce „przynależność do związku wyznaniowego" pisze „żaden".

„Czesi chyba nie są mniej religijni od innych narodów. Wrażenie, że jesteśmy narodem najbardziej ateistycznym, jest związane z tym, że łączymy religię tylko z instytucjami religijnymi. A my, Czesi, jesteśmy rzeczywiście wyjątkowi w tym, że nie lubimy Kościołów" – mówił w wywiadzie dla portalu iDNES.cz docent Zdeněk Vojtíšek, religioznawca z Wydziału Teologii Husyckiej Uniwersytetu Karola w Pradze.

W świetle statystyk nieprawdziwe jest jednak przekonanie, że Czesi byli niechętni katolicyzmowi „od zawsze". W 1948 r. katolicy stanowili tu ponad 70 proc. społeczeństwa, a przed wojną było ich jeszcze więcej. To prawda, że niechętna katolicyzmowi była masarykowska I Republika, podobnie jak dominujące nurty współczesnej czeskiej kultury. A jednak liczebność katolików spadła najwyraźniej w ciągu dekad komunizmu. Nigdy dość przypominania, że represje wobec Kościoła katolickiego i systematyczne tępienie jego struktury były w tym kraju wyjątkowo brutalne i konsekwentne, a trwały do końca, do 1989 r.

W Czechach spory religijne nakładały się na różnice etniczne. Kraj był przez setki lat zamieszkiwany przez dwie grupy etniczne: słowiańskich Czechów oraz ludność germańską. Tradycyjnie mówi się o tych drugich per „Niemcy", co z punktu widzenia państwowej przynależności jest absurdem. Ci ludzie bowiem nigdy w Niemczech nie mieszkali i byli autochtonami w kraju, który sami nazywali Böhmen, a który w swojej historii bywał częścią organizmów wielonarodowych: monarchii Habsburgów albo Czechosłowacji. Ta wspólna historia zakończyła się ich wypędzeniem po II wojnie światowej. Rzecz w tym, że w lwiej większości byli oni katolikami. Zamieszkiwali głównie pograniczny pas współczesnej Republiki Czeskiej. Jak po 1989 r. policzyli naukowcy, zostało po nich na tym terenie około 500 zniszczonych albo porzuconych kościołów. Teraz nadal stoją puste i popadają w ruinę, bo zniknęli też wierni. Tylko nieliczne z nich udało się uratować – jak ten we wspomnianym Neratovie.

Na państwowym garnuszku

Po komunizmie odziedziczono do dziś niezwykły z polskiego punktu widzenia sposób finansowych rozliczeń Kościoła z państwem. Znawca zagadnienia, ekonomista i politolog, a także dominikanin o. Hieronim Kaczmarek (proboszcz polskiej parafii w Pradze) wydał w 2016 r. monografię „Czechy. Kościół i państwo". Przypomina w niej, że w tym mocno zlaicyzowanym kraju księża otrzymują państwową pensję. „W roku 2012 państwo przekazało na pensje dla duchownych 1,3 mld koron czeskich, co w przeliczeniu na obywatela oznaczało ponad 20 złotych" – napisał o. Kaczmarek w e-mailu, odpowiadając na moje pytania. Dla porównania: „W tym samym roku polskie państwo wydawało na Fundusz Kościelny 94 mln zł, co w przeliczeniu na obywatela było sumą poniżej 3 zł".

Upaństwowienie Kościoła ma w Czechach korzenie jeszcze w reformach cesarza Józefa II, ale za komunizmu ten system zmieniono w taki sposób, aby Kościół całkowicie uzależnić od państwa. Jednocześnie bowiem doszło do konfiskaty kościelnego majątku. Pensje były skromne, a przy tym to komunistyczni urzędnicy decydowali, kto je dostanie, a kto nie. Państwową licencję na sprawowanie służby duszpasterskiej odbierano chętnie i pod lada pretekstem, np. za prowadzenie zajęć z młodzieżą.

Rzecz jasna po Aksamitnej Rewolucji nie było już mowy o prześladowaniach, ale ponieważ Kościół był pozbawiony źródeł utrzymania, system państwowych pensji przetrwał. Targi i negocjacje wokół rozwiązania tej kwestii trwały 14 lat i chwilami budziły namiętne spory, podczas których rozemocjonowani ludzie zbierali podpisy pod petycjami, a publicyści historycznych argumentów poszukiwali nawet we wczesnym średniowieczu.

W końcu wypracowano ustawę o restytucji, która w 2013 r. weszła w życie. Na jej mocy Kościoły otrzymują od państwa odszkodowania za zagrabiony majątek (albo w formie materialnej, albo, jeśli zwrot np. lasu czy pola jest niemożliwy, finansowej), ale jednocześnie państwo coraz bardziej wycofuje się z ich bieżącego utrzymania. „Z każdym rokiem wysokość dotacji będzie coraz mniejsza, by zaniknąć w roku 2030" – pisze o. Hieronim Kaczmarek.

Odszkodowania dotyczą wszystkich zarejestrowanych w Czechach Kościołów, ale katolicki jest zdecydowanie największy, poniósł za komunizmu największe straty i dlatego teraz jest głównym beneficjentem tego procesu: przypada na niego ok. 80 proc. wszystkich odszkodowań; z wyliczeń wynikała jeszcze większa liczba, ale katolicy z części z nich zrezygnowali na rzecz Kościołów mniejszościowych.

Wygląda to na rozsądne i porządne załatwienie skomplikowanej sprawy, a mimo to krytycy narzekają. Ci laiccy mają pretensje, że Kościołowi w ogóle cokolwiek zwracano. Ci katoliccy twierdzą zaś – i mają niestety rację – że przewlekły spór o majątek zaszkodził społecznemu autorytetowi Kościoła. Ludzie latami słyszeli o biskupach i księżach głównie w związku z lasami i hektarami ziemi ornej, aż w końcu wielu uwierzyło, że całej tej instytucji chodzi tylko o pieniądze. Stąd ogromne zniechęcenie i – jak twierdzą kościelni socjologowie – właśnie stąd ogromny spadek ludzi uznających się za katolików. Warto bowiem przypomnieć, że zaraz po Aksamitnej Rewolucji do Kościoła przyznawało się ponad 40 proc. społeczeństwa.

Pozorna tolerancja

Jak na mniejszość katolicy są widoczni i aktywni. „W debacie publicznej jest słyszany przede wszystkim głos dwóch znaczących osobowości: kardynała Dominika Duki i ks. prof. Tomáša Halíka – opowiada o. Hieronim Kaczmarek. – Obaj potrafią się odnieść do bieżących wydarzeń na czeskiej scenie politycznej. Pierwszy w swych poglądach jest bliższy obecnie rządzącym, drugi jest zdecydowanie krytyczny, ale żaden nie identyfikuje się z jakąkolwiek partią polityczną. Kard. Duka publicznie krytykuje kontrowersyjne przedstawienia (w tym wystawioną w Warszawie »Klątwę« Olivera Frljicia), a prof. Halík odnajduje w nich pozytywne treści. Można zatem powiedzieć, że w ogólnokrajowej debacie wyraźnie obecne są dwie osobowości, ale tematyki politycznej nie ma w ramach parafialnego duszpasterstwa. A kościelne media nie uczestniczą w ogólnopaństwowej debacie publicznej. Przedstawiciele Kościoła są zapraszani na oficjalne wydarzenia państwowe, ale uroczystości państwowe nie są wiązane z nabożeństwami".

Do tego dochodzi sytuacja prawna: Czechy są chyba jedynym w Europie krajem, ↦

↦ który nie ma umowy ze Stolicą Apostolską. Jak pisze o. Kaczmarek, umowa konkordatowa w 2002 r. została podpisana przez czeskiego ministra spraw zagranicznych i watykańskiego sekretarza stanu, ale do dziś nie ratyfikował jej czeski parlament. Mimo to „Kościół w Republice Czeskiej ma zapewnioną pełną wolność funkcjonowania" – uważa dominikanin i podkreśla, że na mocy konwencji wiedeńskiej państwa nie mogą wprowadzać prawa sprzecznego z umową, która została podpisana, ale jeszcze nie była ratyfikowana.

Na Polakach największe wrażenie robi jednak zwykle fakt, że katolicy są tu w mniejszości, i to wyraźnie się kurczącej. Dlatego część z nas automatycznie wyciąga wniosek, że społeczeństwo to jest wolne od wad, które nasi intelektualiści przypisują wpływowi katolicyzmu na Polaków. Wspomniany religioznawca, Zdeněk Vojtíšek, pytany o to, czy Czesi naprawdę są tak religijnie tolerancyjni, jak sami o sobie twierdzą, odpowiada zdecydowanie, że to mit. „To jest raczej obojętność i brak wiedzy, religijny analfabetyzm. Widać to dobrze na przykładzie stosunku do islamu. Czesi wiedzą o nim niewiele, nie mają prawie żadnych doświadczeń z muzułmanami. Ale według sondaży okazuje się, że w porównaniu do krajów, w których muzułmanów jest wielu, Czesi należą do najostrzejszych w Europie krytyków tej religii. Widać tu, jak z powodu drobiazgów ta nasza piękna tolerancja się nagle rozpada" – pisze Vojtíšek.

Kibicowskie malunki z krzyżowcami, którzy wykopują ze świętej czeskiej ziemi muzułmańską świnię, pojawiły się na czeskich stadionach wcześniej niż podobne wątki w Polsce. Czescy ekstremiści, jeszcze niedawno odwołujący się do tradycji antykatolickiej, dziś podobnie jak polscy mówią o „obronie wartości chrześcijańskich".

> W Czechach widać, że o ile brak katolickiej większości nie musi być zaletą, o tyle trwanie chrześcijan jako mniejszości **może mieć na nich dobry wpływ.**

W Czechach widać, że o ile brak katolickiej większości nie musi być zaletą, o tyle trwanie chrześcijan jako mniejszości może mieć dobry wpływ na nich samych i ich wspólnotę. Dość często publicznie komentuje ten stan ks. Tomáš Halík, który wprost mówi, że taką sytuację uważa za naturalną dla chrześcijan. Zwykle też przywołuje w tym kontekście ewangeliczne przypowieści o zaczynie – jest go w cieście niewiele, a jednak to on sprawia, że mąka staje się chlebem.

Wiara jako oczywistość

Inicjatyw podobnych do Neratova jest znacznie więcej i Czechy bynajmniej nie są religijną pustynią. Życie religijne jest w tym kraju dość bogate i barwne, a religia obecna właściwie wszędzie. Gminne święto w miasteczku Rokytnice w Orlických Horách zaczyna się od mszy i mszą się po kilku dniach kończy. Nikt z tego powodu nie robi uwag o tym, że to „niestosowne", nie ma nawet cienia polskich, namiętnych debat o „świeckości".

Katolicka jest też spora część elit. Szeroko dyskutowane i nagradzane monografie o historii czeskiej kultury katolickiej w XIX i XX w. publikuje prof. Martin C. Putna – uznany literaturoznawca, katolik, jednocześnie zdeklarowany homoseksualista, walczący piórem o prawa mniejszości seksualnych.

Bywają i mniej chlubne przypadki, jak np. związany ze środowiskami lokalnych eurofobów i antysemitów działacz Ladislav Bátora, którego dzięki wstawiennictwu byłego prezydenta Václava Klausa zatrudniono jakiś czas temu w ministerstwie edukacji. Jego poplecznicy reklamowali go jako „narodowca i katolika". Ustąpił ze stanowiska po protestach w mediach.

W niekatolickim społeczeństwie w ogóle wiele spraw jest jakby prostszych i kontrowersji jest wyraźnie mniej. Dziekanem katedry etyki na jednym z lekarskich wydziałów Uniwersytetu Karola jest powszechnie szanowany dr Marek Vácha, katolicki ksiądz. Nikogo to nie dziwi ani nie gorszy. Ciekawie to wygląda na tle polskich sporów o to, czy katechetka może w szkole uczyć etyki albo odwrotnie. Zresztą w Czechach religia w szkołach również jest nauczana. Państwo utrzymuje także wojskowych czy więziennych kapelanów, księża i biskupi biorą udział w świeckich uroczystościach, spotykają się z politykami, korzystają z (niewielkich) okienek w publicznych mediach, które transmitują też regularnie msze. Rzecz jasna – jest tego wszystkiego znacznie mniej niż w Polsce. Nie budzi też jednak konfliktów ani chyba w ogóle żadnych namiętności.

Pewne sprawy traktuje się jak oczywistości, jak choćby to, że konającym Václavem Havlem zajmowały się siostry boromeuszki. Havel był w ogóle przypadkiem dość charakterystycznym dla duchowego życia tego kraju: nigdy się publicznie nie zdeklarował ani jako katolik, ani jako agnostyk, ale wiadomo, że miał bardzo ciepły stosunek do wiary i Kościoła. Krewni i przyjaciele taktownie milczą na temat jego wyborów w ostatnich chwilach życia. Podobno się wyspowiadał kiedyś u Jana Pawła II, ale też podobno medytował wspólnie z Dalajlamą w czasie jednej z jego wizyt w Pradze. W każdym razie państwowy pogrzeb głowy państwa był katolicki, z procesją, kardynałem i biskupami celebrującymi uroczystą mszę żałobną w katedrze św. Wita.

© TOMASZ MAĆKOWIAK

OGŁOSZENIE

9 lipca 2018 r. Sąd Rejonowy w Chełmie, I Wydział Cywilny, w sprawie I Ns 3297/17 wydał postanowienie o zezwoleniu wnioskodawczyni Mieczysławie Karaudzie na złożenie do depozytu sądowego kwoty 29200,00 zł (dwudziestu dziewięciu tysięcy dwustu złotych) tytułem spłaty zasądzonej od wnioskodawczyni na rzecz uczestnika Tomasza Gurnika postanowieniem Sądu Rejonowego w Chełmie z 29 czerwca 2017 r., wydanym w sprawie I Ns 1197/16 w związku ze zniesieniem współwłasności nieruchomości położonej w Chełmie przy ul. Lwowskiej, składającej się z działek gruntu nr 43/2 i 238/3, dla której Sąd Rejonowy w Chełmie, VI Wydział Ksiąg Wieczystych, prowadzi księgę wieczystą nr LU1C/00003879/5, z zastrzeżeniem, że przedmiotowa kwota ma zostać wypłacona Tomaszowi Gurnikowi na jego wniosek bez żadnych dodatkowych warunków lub następcom prawnym Tomasza Gurnika, którzy udokumentują swoje następstwo prawne postanowieniem o stwierdzeniu nabycia spadku albo aktem poświadczenia dziedziczenia.

Wobec powyższego niniejszym wzywa się Tomasza Gurnika oraz jego następców prawnych do odbioru depozytu.

PETER MACDIARMID / GETTY IMAGES

Uczestniczki Synodu Generalnego Kościoła Anglii ks. Jody Stowell, ks. Nicola Shephard i ks. Sally Hitchiner z bp. Peterem Broadbentem. Londyn, 20 listopada 2012 r.

Wspólna droga uczy

PIOTR SIKORA

Jak prowadzić dialog godząc się z tym, że całkowite porozumienie jest niemożliwe? Pokazuje to dokument teologiczny komisji anglikańsko-katolickiej. A jest to dziś umiejętność o uniwersalnym znaczeniu.

Z kilku powodów warto na ten tekst zwrócić uwagę. W opublikowanym w lipcu dokumencie ekumenicznej, teologicznej komisji anglikańsko-katolickiej „Podążając razem Drogą. Ucząc się być Kościołem – lokalnym, regionalnym, uniwersalnym" znajdują się postulaty, których spełnienie doprowadziłoby do konkretnych zmian w funkcjonowaniu katolickich wspólnot Kościoła. To po pierwsze.

Po drugie, przyglądając się uważnie rezultatom kilkunastu lat pracy teologów zaangażowanych w dialog międzywyznaniowy, można się sporo nauczyć o tym, jak rozmawiać na najważniejsze egzystencjalne tematy, w których różnimy się w sposób uniemożliwiający osiągnięcie pełnej zgody i porozumienia.

Umiejętność ta ma znaczenie nie tylko w ekumenizmie. Współczesna sytuacja międzywyznaniowa posiada wiele analogii do szerszych procesów społecznych, które nasilają się zarówno w samej Polsce, jak i w Europie – gdzie narastają różnice w mentalności, wizji świata i sposobie życia. One nie tylko nas różnicują, ale powodują napięcia i podziały. Dialog ekumeniczny może się okazać skutecznym wzorcem dla dialogu społecznego.

Razem w różnorodności

Współczesny ruch ekumeniczny przeżywał rozmaite chwile. Pierwsze lata po Soborze Watykańskim II, gdy do dialogu przyłączył się Kościół katolicki, to czas wielkiego entuzjazmu, licznych inicjatyw i nadziei na rychłe pojednanie wszystkich chrześcijan. Entuzjazm ten przygasł jednak z czasem. Po kilkudziesięciu latach teologicznego dialogu okazało się, że ustalenie wspólnego stanowiska w wielu kluczowych kwestiach jest niemożliwe, bywa, że nawet jeśli teologowie zaangażowani w dialog osiągnęli jakieś porozumienie, to nie jest ono akceptowane w ich macierzystych wspólnotach. Ruch ekumeniczny wytracił impet.

W tym kontekście na dokument „Podążając razem Drogą" można spojrzeć jako na nowy sposób prowadzenia dialogu – który akceptuje niemożność osiągnięcia całkowitego porozumienia, ale próbuje dostrzec, jak w tym momencie nieusuwalne różnice pomiędzy wspólnotami skazanymi na współistnienie mogą być nie tyle przeszkodą, co pomocą w egzystencjalnej drodze.

Teologowie komisji są świadomi, że współcześnie anglikanie i katolicy muszą przeżywać swoją wiarę razem – że nie tylko nie mogą nawzajem ignorować swojego istnienia, ale że są powiązani wieloma silnymi relacjami. Partnerzy dialogu nie negują przy tym trudnych i bolesnych momentów przeszłości, a także tego, że obecnie każda ze wspólnot posiada własne samorozumienie i własne struktury. Choć zatem ostatecznym celem ekumenizmu ↦

↦ pozostaje pełna jedność, to nie można do niej dążyć za cenę ujednolicenia, w którym zniszczone zostałoby bogactwo różnorodności. „Zarówno anglikanie, jak i katolicy podążają odrębną drogą nawrócenia ku większemu życiu – czytamy we wstępie dokumentu – lecz wspomagani przez drugich, właśnie jako podążających własną drogą".

Na ekumenicznej drodze ważna jest postawa samokrytyczna, czyli zauważanie przez członków każdej ze wspólnot najpierw wewnętrznych trudności swojej tradycji. Chodzi o „receptywny ekumenizm", tj. o uczenie się od innych w uznaniu, że elementy rozwinięte lepiej w innej tradycji mogą pomóc przezwyciężyć własne kłopoty. Receptywny ekumenizm nie jest też możliwy bez pewnej pracy psychologiczno-duchowej. Obejmuje ona świadomość własnych i cudzych zranień oraz kształtowanie zdolności do kochania drugiego takim, jaki jest – również z jego słabościami.

Dokument „Podążając razem Drogą" można potraktować jako dobry przykład tego, jakie mogą być owoce naszkicowanej postawy. Zawiera on fragmenty, w których obie strony prezentują własny sposób prowadzenia życia chrześcijańskiego i służące mu rozwiązania instytucjonalne – ale uczciwie przyznając się partnerowi rozmowy do rozpoznanych przez siebie swoich słabości. W innych fragmentach dokumentu słyszymy wspólny głos, wskazujący, które elementy tradycji są lepiej rozwinięte u jednych, a które u drugich. Widać chęć rzeczywistej wzajemnej inspiracji i brak skłonności do apologetycznej rywalizacji pomiędzy tradycjami.

Zmiany instytucjonalne

Teologowie nie pozostali na poziomie pobożnych i gładkich ogólników, ale wydobyli z obu tradycji te elementy, które – właśnie przez to, że różne – mogą stać się wzajemnie inspirujące. Dla nas, katolików, najważniejsze jest, czego – zdaniem teologów – możemy się konkretnie nauczyć od anglikanów.

Najważniejsza jest tu chyba sama odwaga i umiejętność rozmowy – a nawet debaty – o najistotniejszych sprawach wiary. W Kościołach Wspólnoty Anglikańskiej nic nie może bez takiej rozmowy zostać ustalone. Zarówno na szczeblu Kościoła lokalnego, czyli diecezji, jak i regionalnego, np. Kościoła Anglii, istnieją struktury synodalne, które umożliwiają włączenie do tej rozmowy przedstawicieli wszystkich członków wspólnoty. Synod posiada bowiem trzy „izby": świeckich, duchowieństwo i biskupów. Wszelkie decyzje są dyskutowane i głosowane w każdej izbie oddzielnie.

Ostateczna decyzja musi być zaaprobowana przez izbę biskupów – ale ta ostatnia nie może przeforsować zmian wbrew decyzjom pozostałych dwóch izb. Taka struktura zapewnia z jednej strony, że zachowana jest rola biskupów jako „strażników" ortodoksji – co jest zgodne z pierwotnym znaczeniem tego urzędu w Kościele. Z drugiej strony zapewnia podmiotowość pozostałym członkom Kościoła – w sensie rzeczywistego i niebagatelnego wpływu na sposób myślenia, kultu i życia wspólnoty.

Dokument komisji nie pomija słabości anglikańskiego sposobu kościelnego funkcjonowania. Zwraca uwagę, że anglikanie mają problem ze zbyt „partyjnym" stylem podejmowania decyzji, także doktrynalnych, w ramach istniejących w ich tradycji licznych ciał kolegialnych, włączających także świeckich w proces wyboru biskupa lub proboszcza. Równie mocno podkreśla jednak, że słabością Kościoła katolickiego jest sytuacja, w której rola świeckich w procesie podejmowania najważniejszych decyzji jest tylko doradcza (a i to niekoniecznie). Jeden z punktów dokumentu jest wprost zatytułowany: „Potrzeba rzymskokatolickich forów dyskusji, debaty i niezgody – dla świeckich".

Chodzi przy tym o to, by były to ciała trwale zinstytucjonalizowane i posiadające moc decyzyjną. O ile prawo kanoniczne przewiduje instytucje parafialnych rad duszpasterskich i ekonomicznych, to żadna z nich nie jest bezwzględnie obowiązkowa, a głos każdej – jedynie doradczy. Podobnie na szczeblu diecezji – istnieje instytucja synodu diecezjalnego, ale jego zwołanie, skład świeckich, zakres poruszanych spraw i obowiązywalność decyzji zależą wyłącznie od woli biskupa, który pozostaje jedynym ustawodawcą diecezji. Nie istnieją zaś żadne ciała włączające świeckich, które odpowiadałyby krajowym Konferencjom Episkopatu.

Odwaga rozmowy

W tradycji katolickiej panuje obawa przed debatą i różnicą zdań. Dlatego dokument nie tylko zachęca do dialogu wewnątrz każdej ze wspólnot na tak gorące tematy, jak posługa w Kościele czy ludzka seksualność. Zwraca uwagę na historię chrześcijaństwa, w której „od najwcześniejszych czasów aż do dzisiaj kontrowersje, debaty, dialog i proces synodalny prowadziły – w końcu, choć często nie szybko – do klaryfikacji i ostatecznie bardziej precyzyjnego sformułowania »wiary raz na zawsze danej świętym«". Teologowie komisji zwracają też uwagę, że w fundamentalnych dokumentach katolickich, takich jak teksty soborowe, została podkreślona konieczność nieustannego rozwoju rozumienia Objawienia – i to również dzięki świeckim.

Warto zatem, byśmy my, katolicy, przyglądali się uważnie, jak anglikanie starają się włączać wszystkich członków swojej wspólnoty w proces poszukiwania adekwatnych sposobów życia Ewangelią w zmieniającym się świecie i w mechanizmy decyzyjne. Nawet jeśli funkcjonowanie Kościoła anglikańskiego ma swoje słabości – np. nabrało cech zbyt przypominających świecki parlamentaryzm. W dialogu ekumenicznym, którego dokument „Podążając razem Drogą" jest owocem, anglikanie sami to przyznają. W pewnym sensie możemy się uczyć na ich błędach i jednocześnie inspirować się ich sukcesami – a do takich należy z pewnością znacznie większe niż w katolicyzmie upodmiotowienie świeckich.

Nie chodzi przy tym, by po prostu kopiować anglikański model instytucjonalny. Tym bardziej że instytucje i struktury (zwłaszcza struktury władzy) są tylko – jak to dokument pięknie określa – „narzędziami komunii". Nawet jeśli niektóre są uznawane za konieczne (np. episkopat), to ich konkretna forma jest zmienna i dyskutowalna.

W samym katolicyzmie rzeczywiste upodmiotowienie świeckich jest różne – w zależności od lokalnego Kościoła. Niemieccy katolicy mogliby prawdopodobnie powiedzieć, że ich pozycja we wspólnocie jest podobna do pozycji świeckich anglikanów. Wynika to jednak raczej z kościelnej kultury tego kraju, a nie z ogólnych norm prawa.

Polski katolicyzm ma liczne zalety. Ma też jednak sobie właściwe słabości, a te sprawiają, że w Polsce pewne anglikańskie instytucje oraz sama odwaga i – jednocześnie – kultura debaty mogą wydać się obce. Tym bardziej więc warto, byśmy uczyli się od anglikanów. I tym większa będzie szkoda, jeśli dokument „Podążając razem Drogą" przeminie u nas bez echa.

©℗ PIOTR SIKORA

SZYMON

Hołownia:
Wzbogacone klatki

Z moich amatorskich obserwacji wynika, że zwyczaj piątkowej „wstrzemięźliwości od pokarmów mięsnych" zanika. Ludziom trudno chyba pojąć, w jaki sposób chwała Boża zwiększy się, jeśli spożyją tego dnia sushi zamiast boczku. Z kolei znaczna część tych, którzy jednak ów obyczaj zachowują, czyni to, jak przypuszczam, z przyzwyczajenia (które nosi często dumną nazwę tradycji).

W mojej duchowości ta praktyka nie zajmowała nigdy specjalnego miejsca. Traktowałem ją jako archaiczną (z czasów, w których mięso było wielkim rarytasem) niby-szykanę, która jednak na tyle się zakorzeniła, że nikomu nie chce się podjąć ryzyka jej zniesienia i powiedzenia po prostu: „Katolicy! Piątek to szczególny dzień. Jeśli Ten, który wtedy umarł, jest dla was ważny – próbujcie o tym pamiętać. Nie jesteście przedszkolakami, sami wiecie, co zrobić, żeby ten dzień różnił się od innych".

Dziś, w obliczu zagrożenia, jakim dla podarowanej nam przez Boga planety staje się nadprodukcja niskiej jakości, za to bardzo taniego mięsa, ze zdumieniem zauważam, że ludzie sami odkrywają sens jednodniowej wstrzemięźliwości (w firmowych stołówkach i w restauracjach coraz bardziej popularne stają się np. wegańskie poniedziałki), wychodząc z założeń niereligijnych. Ale czy naprawdę aż tak odległych od naszych?

Rolnictwo przemysłowe zwiększa sumę cierpienia praktycznie wszędzie. Znakomicie opisał to Philip Lymbery, szef brytyjskiej organizacji Compassion in World Farming (CIWF), w głośnej książce „Farmageddon". Wieloprofilowe gospodarstwa produkujące naturalnie zdrową żywność znikają, zastępowane przez gigantyczne monokultury soi czy kukurydzy (proszę przejechać się dziś polskimi drogami i porównać strukturę upraw dziś i w czasach naszego dzieciństwa). Zwierzęta są zdejmowane z pól, wstawiane do gigantycznych obór, w których całym procesem ich coraz krótszego i coraz bardziej nienaturalnego życia sterują komputery. Ilość nieczystości z fermy, w której przez ciut ponad miesiąc życia egzystuje kilkaset tysięcy kurczaków, można sobie łatwo wyobrazić.

Wszystko stoi na głowie: zwierzęta, które kiedyś przetwarzały rzeczy niejadalne dla człowieka (trawę, odpadki kuchenne) na żywność (mleko, jajka, mięso), teraz zjadają coś, co mógł zjeść człowiek (wysokobiałkową soję, ryby, z których wytwarza się dodawaną do pasz mączkę), by dać mu mięso o wartości odżywczej kilkakrotnie niższej od zwierząt hodowanych w tradycyjny sposób. A wszystko to przy zupełnie nieracjonalnym współczynniku przetworzenia białka: z wyliczeń CIWF wynika, że w chowie przemysłowym z sześciu kilogramów białka roślinnego otrzymujemy średnio około kilograma zwierzęcego.

Sponsorowani naukowcy stają na głowie, by stworzyć kurczaki czy świnie, które będą jeszcze szybciej rozwijać pożądane przez konsumentów części ciał, i wyjaśnić, że kury niosące jajka „trójki" wprost marzą o życiu we „wzbogaconych klatkach" (cudowny oksymoron). Wszystko zaś będzie sprzedawane w opakowaniach z rolnikiem poklepującym wracającą z łąki krowę, z taplającymi się w błocie świnkami, z biegającymi po podwórku kurczakami. „Jajka wiejskie". Nieprawdy nie napisano – przemysłowych megakurników nie buduje się w mieście. „Świeże, zdrowe mięso". Prawda – zepsute nie jest, zgodne z normami sanitarnymi, czego tu się czepiać?

Jeśli nie rusza nas los 70 miliardów zwierząt zabijanych co roku na potrzeby człowieka, może powinien poruszyć nas los ludzi, którym rolnicze fabryki i ich dostawcy zatruwają pola, rzeki, powietrze, albo dola rolników, którzy produkując naturalną żywność, nie są w stanie udźwignąć konkurencji globalnych korporacji, proponujących (także w Polsce) np. system „tuczu farmerskiego" (rolnik otrzymuje prosięta z odpowiedniej genetycznej puli, musi kupić paszę od korporacji, w najmniejszych detalach postępować zgodnie z instrukcją, a firma odbiera zwierzęta i wiezie do swojej rzeźni). Może powinno nas zastanowić, jaką Bożą ziemię otrzymają nasze dzieci, skoro produkcja kilograma wołowiny przemysłowej zużywa kilkanaście tysięcy litrów słodkiej wody, a farmy przemysłowe emitują taką objętość gazów cieplarnianych jak wszystkie samochody, samoloty i pociągi razem wzięte.

A może to wszystko przez Chińczyków, bo rozwój tej aberracji jest nakręcany przez rosnący apetyt na mięso w bogacących się krajach Azji? Nie wybronię się Chińczykami na moim sądzie po śmierci. Chciwość, nieumiarkowanie, pycha, niewrażliwość – z tymi grzechami nie walczy się dziś na internetowych forach czy w kościołach, ale w sklepie (bo ten świat ma w nosie polemiki i kazania, on rozumie jeden mechanizm: zysk lub jego brak).

Parę lat temu zdecydowałem, że rozciągnę wstrzemięźliwość od mięsa na cały tydzień, by nie pogłębiać światu ran. Teraz, gdy kończę pisać książkę o relacjach człowieka z innymi stworzeniami, gdy dociera do mnie to, co usłyszałem, jeżdżąc po konferencjach, co wyczytałem, co wyrozmawiałem z rolnikami, analitykami i z tymi, których podobno ten system miał ratować – z cierpiącymi głód – jestem bliski decyzji, że dla mnie, wegetarianina, piątki powinny stać się dniami wegańskimi. Co przecież oznacza tylko powrót do pierwotnego pomysłu Boga na żywienie człowieka, patrz Rdz 1, 29.

To ja. Innych nie namawiam do niejedzenia mięsa, namawiam, aby nie jeść go bezmyślnie albo może ciut rzadziej (i odkrywać, że jedzenie nie bierze się ze sklepu). To jest umartwienie z motywacji duchowych. W cierpieniu Chrystusa jest bowiem także ból zabijanych przez moje nawyki, moje panoszenie się, moje „czynienie ziemi poddaną". Przecież On umarł i zmartwychwstał, by dać nam nowe niebo, ale i nową ziemię, na której ustanie opisywany przez świętego Pawła jęk całego bez wyjątku stworzenia.

Musiałem otrzeć się o ekologiczne nawrócenie, by dotarło do mnie, że piątkowa wstrzemięźliwość w XXI wieku ma wielki sens. Mamy w Kościele potężne narzędzie do zmiany tego świata na lepsze. Pytanie, czy będziemy umieli pokazać sobie nowy jego wymiar i na nowo do jego użycia się przekonać. ©

RUŚ SIEDZĄCA

Tych ludzi obawia się Kreml. Oto więźniowie sumienia, którzy po pokazowych procesach, skazani na podstawie sfabrykowanych zarzutów, trafiają do rosyjskich kolonii karnych.

ANNA ŁABUSZEWSKA

W czasach sowieckich mawiano, że ludzie dzielą się na takich, którzy siedzieli, siedzą albo będą siedzieć. Represje polityczne były wpisane w rzeczywistość sowieckiej „krainy szczęśliwości". Putinowska Rosja stroi się w szaty demokratycznego raju, ale liczba osób prześladowanych za poglądy polityczne i opór wobec władz rośnie. Według statystyk międzynarodowych organizacji praw człowieka w 2011 r. było to 70 osób, w 2017 r. – 430, w pierwszych miesiącach 2018 r. – już 358.

Kogo ściga putinowski aparat bezpieczeństwa – kogo boi się Putin?

Najdłuższa głodówka

„Mój stan jest przedkrytyczny" – mówił 14 sierpnia, podczas spotkania z obrończynią praw człowieka, Ołeh Sencow. Ten pochodzący z Krymu ukraiński aktywista, reżyser i pisarz od połowy maja prowadzi głodówkę. Hasłem przewodnim jego protestu jest walka o wypuszczenie z rosyjskich więzień 65 Ukraińców, więźniów sumienia.

W kolonii karnej Łabytnangi Sencow odbywa karę 20 lat pozbawienia wolności, orzeczoną przez rosyjski sąd w nieuczciwym procesie. Warto przypomnieć pokrótce jego historię.

Wraz z innym aktywistą Ołeksandrem Kolczenką Sencow usłyszał wysoki wyrok za, jak twierdził rosyjski sąd, zorganizowanie grupy przestępczej, mającej na celu dokonanie zamachów terrorystycznych. Zarzuty jedne z najcięższych. Tyle że dowodów tych win podczas rozpraw nie przedstawiono, zamachów nie było, nikt nie zginął ani nie ucierpiał. Sięgnięto po doświadczenia „stalinowskiego prawa" – jest człowiek, a paragraf się znajdzie. I to wystarczy, by skazać.

Sencow był aktywistą Euromajdanu; w czasie operacji zajmowania Półwyspu Krymskiego przez wojska rosyjskie zaopatrywał ukraińskich żołnierzy zablokowanych w bazach. Po aneksji pozostał na miejscu, nie zachłysnął się, jak wielu mieszkańców, perspektywą przynależenia do Rosji. Nie zerwał kontaktów z Ukrainą, udzielał się w akcjach obywatelskich. Został aresztowany w maju 2014 r. przez rosyjską Federalną Służbę Bezpieczeństwa. Najpierw postawiono mu zarzut podpalenia drzwi biura partii Jedna Rosja w Symferopolu. Do przyznania się nakłaniano go pogróżkami, biciem, duszeniem. Gdy to nic nie dało, zarzuty „wzmocniono": miał na polecenie Prawego Sektora (ukraińskiej organizacji, której działalność jest w Rosji zakazana; Sencow rzekomo do niej należał) zorganizować grupę terrorystyczno-dywersyjną.

Akt oskarżenia oparto na zeznaniach świadka, znajomego i współpracownika Sencowa, Hennadija Afanasjewa (w osobnym procesie dostał 7 lat łagru, w 2016 r. został wymieniony na dziennikarzy z Odessy). Podczas rozprawy Afanasjew wycofał się z obciążających Sencowa zeznań. Jak powiedział – zeznania uzyskano, stosując tortury. Sąd okazał się jednak bardzo przywiązany do wersji z podpaleniem i planowanym wysadzeniem w powietrze pomnika Lenina, i nie zwrócił uwagi na wycofanie zeznań, jedynej podstawy oskarżenia. Sencow nie przyznał się do winy. Został skazany. Był to typowy proces pokazowy.

O Sencowa już wtedy, po zakończeniu procesu, upominali się w licznych listach i petycjach europejscy filmowcy, m.in. Jean-Luc Godard, Ken Loach, David Cronenberg, Andrzej Wajda czy Daniel Olbrychski, a także Europejska Akademia Filmowa. Bez skutku – nikt ich w Rosji nie usłyszał, nikt nie wysłuchał. I tak jest do dziś, o czym za chwilę.

Niech nie tracą nadziei

Wróćmy do teraźniejszości i ostatniego spotkania z głodującym więźniem przedstawicielki środowiska, które wspiera więzionych za przekonania. Zgodę na rozmowę z Zoją Swietową rosyjska służba więziennictwa (FSIN) wyraziła po interwencji prezydenckiej rady ds. rozwoju społeczeństwa obywatelskiego. Wcześniej nie pozwolono m.in. na spotkanie Sencowa z duchownym.

Spotkanie trwało dwie godziny, odbyło się w obecności naczelnika kolonii karnej i dwóch funkcjonariuszy. Sencow poinformował odwiedzającą, że w czasie głodówki schudł 17 kilogramów, na ogół leży, szybko się męczy, odczuwa bóle w klatce piersiowej. Zdaniem lekarzy powinien przerwać głodówkę, w przeciwnym razie jego organy wewnętrzne mogą zostać nieodwracalnie uszkodzone. Jeżeli stan głodującego się pogorszy, ma zostać przymusowo przewieziony do kliniki. Na razie jest dokarmiany preparatem zawierającym →

SERGEY PIVOVAROV / REUTERS / FORUM

Ołeh Sencow w sądzie, Rostów nad Donem, lipiec 2015 r.

↦ podstawowe substancje odżywcze. Zapowiada kontynuację głodówki.

Po wizycie Swietowa napisała w mediach społecznościowych: „Teraz najważniejsze to zainicjować jak najprędzej proces wymiany Rosjan, którzy są przetrzymywani na Ukrainie, na ukraińskich więźniów politycznych. To uratuje życie Ołeha. Chciałabym powiedzieć jego mamie: ma pani wspaniałego syna". Matka Sencowa złożyła na ręce prezydenta Putina prośbę o ułaskawienie syna. Kreml odmówił. Zdaniem prezydenckich prawników ułaskawienie może nastąpić tylko wtedy, kiedy wniosek złoży sam skazany. Przepis ten nie zawsze jest jednak stosowany, np. ułaskawiona Nadija Sawczenko takiej prośby nie składała, a została wymieniona na dwóch Rosjan złapanych przez Ukraińców w Donbasie. Wszystko, jak zawsze, zależy od politycznej kalkulacji.

Kilka dni temu sprawa Sencowa była tematem rozmowy telefonicznej prezydentów Francji i Rosji. Putin obiecał Macronowi, że „się zorientuje". Uprzednio pytany o Sencowa, zawsze odpowiadał, że to terrorysta skazany prawomocnym wyrokiem i żadne ułaskawienie ani specjalne traktowanie mu się nie należą. Dziennikarz Anton Naumluk napisał na swoim profilu na Facebooku: „To, że podnosi się szum wokół Sencowa, oznacza, że jego los jest przedmiotem politycznego targu. (...) Faktycznie jednak rosyjskie władze powoli zabijają Sencowa, próbując szantażować jego śmiercią tych, z którymi przyszło im się targować".

Wyczerpujących informacji o głodówce Sencowa udzieliła FSIN: od 14 maja, początku głodówki, więźniowi wykonano 202 „usługi medyczne" za łączną kwotę 45 tys. rubli, lekarstwa kosztowały 95 tys. rubli. Przeliczono to i ogłoszono, że na głodującego służba więziennictwa wydaje 1100 rubli dziennie. Zapewniono też, że stan zdrowia więźnia jest zadowalający. „Może i wydali na leki, ale za to oszczędzili na więziennej zupie" – napisał jeden z komentatorów.

Skazany w tym samym procesie Ołeksandr Kolczenko na znak solidarności z Sencowem 31 maja również podjął głodówkę protestacyjną, niemniej ze względu na pogarszający się stan zdrowia zrezygnował z niej.

Memoriał na celowniku

Rosyjskie władze od lat manipulują przy tworzeniu odpowiedniego z ich punktu widzenia obrazu historii. Obok heroizacji wysiłku wojennego Armii Czerwonej podczas II wojny światowej linią frontu walki o pamięć jest relatywizowanie zbrodni stalinowskich. Ci, którzy pamięć o ofiarach tych zbrodni uparcie przywracają, nie są mile widziani. Stowarzyszenie Memoriał, które położyło ogromne zasługi w badaniu zbrodni totalitaryzmu, zostało przez władze wpisane na listę „zagranicznych agentów". Kierownictwo stowarzyszenia sprzeciwiło się tej formule, od kilku lat walczy w sądach o uchylenie obowiązku rejestracji w tym charakterze.

Przed sądem toczą się dwie sprawy członków regionalnych oddziałów Memoriału – szefa karelskiego oddziału stowarzyszenia Jurija Dmitrijewa i szefa czeczeńskiego oddziału Ojuba Titijewa.

Dmitrijew prowadził badania nad zbrodniami terroru stalinowskiego w Karelii, opracował księgę pamięci ofiar Gułagu, odtwarzał tragiczny przebieg budowy Kanału Białomorskiego z wykorzystaniem katorżniczego trudu więźniów, sporządził księgi pamięci ofiar, odkrył miejsca pochówku ofiar represji politycznych w Karelii: Sandarmoch i Krasny Bor. W 2015 r. odznaczono go Złotym Krzyżem Zasługi RP. „Przekopał tony archiwaliów, przekopał tony ziemi, zbadał każde znalezisko. To bojownik o prawdę historyczną, nieustraszony, niezmordowany" – pisali o nim ci, którzy się z nim spotykali.

Pod koniec 2016 r. Dmitrijewa aresztowano (na podstawie anonimowego donosu) i zarzucono mu przygotowywanie pornografii dziecięcej. Prokuratura utrzymywała, że fotografował nago swoją 11-letnią adoptowaną córkę, co zakwalifikowano jako przygotowanie do rozpowszechniania pornografii dziecięcej (zdjęcia nie były nigdzie publikowane ani przesyłane pocztą elektroniczną).

Lewiatan nie rozwiera szczęk

Aresztowanie badacza Memoriału państwowa telewizja wykorzystała jako pretekst do pokazania kilku materiałów o „zagranicznych agentach" z tej organizacji; wynikało z nich, że stowarzyszenie zajmuje się nie tylko podejrzaną działalnością za obce pieniądze, ale broni też pedofili. W obronie Dmitrijewa wystąpili obrońcy praw człowieka. Na specjalnej stronie internetowej zgromadzono materiały mogące pomóc adwokatom, którzy bronią oskarżonego.

W ramach postępowania przeprowadzono kilka ekspertyz. Ekspert powołany przez obronę stwierdził, że przedstawione przez oskarżenie zdjęcia nie mogą zostać uznane za materiał pornograficzny. Dmitrijew przeszedł obserwację psychiatryczną, podczas której nie stwierdzono odchyleń od normy. 5 kwietnia sąd go uniewinnił. Ale już 13 kwietnia wyrok zaskarżono i dwa miesiące później sąd uniewinnienie uchylił. Dmitrijew został jeszcze raz zatrzymany i trafił do kliniki psychiatrycznej. Wszczęto nową sprawę karną, tym razem z paragrafu o deprawację i czyny lubieżne wobec nieletniej.

„Lewiatan nie rozwiera szczęk – skoro raz chwycił ofiarę, to jej nie wypuści. Widocznie Dmitrijew zajrzał w zakamarki, gdzie schowane są tajemnice, które z punktu widzenia władz nie powinny ujrzeć światła dziennego. Dlatego oni [rządząca formacja post-KGB] nie odpuszczą, dopóki nie uciszą niewygodnego świadka" – napisał jeden z rosyjskich blogerów, podsumowując wznowienie sprawy karnej.

Zemsta za sankcje

O uciszenie niewygodnego świadka chodzi też zapewne w sprawie Ojuba Titijewa, prezesa czeczeńskiego oddziału Memoriału. Titijew kieruje nim od tragicznej śmierci Natalii Estemirowej w 2009 r. (została ona uprowadzona i zastrzelona przez „nieznanych sprawców"). Starał się wyjaśnić okoliczności jej śmierci. Już wcześniej udzielał się jako aktywista wyjaśniający los zaginionych w obu wojnach czeczeńskich, chciał przeprowadzić identyfikację i pochówek wszystkich ofiar. Nie podporządkował się odgórnie zatwierdzonemu przez władze rzecznikowi praw człowieka. Ramzan Kadyrow, kremlowski zarządca Czeczenii, nazwał go więc „wrogiem ludu i prawa".

Titijew dostawał pogróżki. Ostrzegano go, że jeżeli nie przestanie grzebać w przeszłości, odwiedzać wsi, które podczas drugiej wojny czeczeńskiej zostały poddane „zaczystkom" ze strony sił federalnych, to podzieli los Estemirowej. Kilka lat temu wyjechał wraz z rodziną do Europy. Do Czeczenii wrócił sam i ponownie przystąpił do działalności w ramach Memoriału. Później nie wytrzymała rozłąki i do kraju powróciła również jego rodzina.

Po tym, gdy Amerykanie wpisali Kadyrowa na „listę Magnitskiego" (spis rosyjskich dygnitarzy objętych sankcjami Waszyngtonu), czeczeńskie władze za-

częły poszukiwać kozła ofiarnego, którego można było obciążyć za to winą. „Nie można nas oskarżyć o to wprost, przecież nie mamy wpływu na amerykańskie władze. Zablokowano Instagram Kadyrowa. O, to musimy się na kimś odegrać. Cały ten Memoriał trzeba wziąć do galopu. Kto tam u nich jest najważniejszy? Titijew? No to bierzemy go pod lupę" – tak Oleg Orłow z Memoriału próbował odtworzyć bieg myśli czeczeńskich władz.

9 stycznia Titijew został zatrzymany do kontroli drogowej. Policjanci przeszukali jego samochód, po czym oznajmili, że znaleźli podejrzaną torebkę, zawierającą 180 gramów marihuany. Titijewa aresztowano. By skłonić go do złożenia obciążających zeznań i przyznania się do winy, szantażowano go, grożąc rozprawą z jego rodziną. Nie przyznał się. Materiały dotyczące sfabrykowanego śledztwa są wciąż gromadzone na stronie internetowej Memoriału.

Aresztowanym pomaga się też inaczej. Powstała np. organizacja Ruś Siedząca – obywatelski projekt, w ramach którego aktywiści udzielają pomocy prawnej i finansowej więźniom politycznym, osobom osadzonym w koloniach karnych w wyniku ustawionych procesów i wszystkim, którzy takiej pomocy potrzebują i się o nią zwrócą.

To siedzi młodość

Oczkiem w głowie Putina jest młode pokolenie. Z myślą o chcących robić karierę polityczną stworzono młodzieżówkę Jednej Rosji oraz proputinowską JunArmię (Młodą Armię), kolejną odmianę młodzieżowej organizacji, potocznie nazywaną „Putinjugend". I choć szeregi młodych proputinowców rosną, nie jest to propozycja dla całego pokolenia P – ludzi urodzonych już w czasach, gdy Putin był prezydentem. Duża grupa młodzieży, zwłaszcza wykształconej, pochodzącej z dobrze sytuowanych rodzin, mieszkającej w wielkich miastach, poszukuje alternatywy. Niektórzy znajdują ją w przesłaniu opozycjonisty Aleksieja Nawalnego: biorą udział w antyputinowskich demonstracjach ulicznych, za co czasem lądują w areszcie. Inni poprzestają na aktywności w sieci.

I właśnie ta aktywność budzi niepokój władz. W Rosji stworzono ustawodawstwo pozwalające ścigać za ekstremizm. Rozmyte definicje wykroczeń i przestępstw pozwalają na stosowanie tych przepisów wobec nieprawomyślnych aktywistów różnej maści. Za „ekstremizm" zatrzymano m.in. lidera kuriozalnego ugrupowania Partyzancka Prawda Partyzantów, głoszącego umiłowanie totalitaryzmu o silnym zabarwieniu seksistowskim, czy Siergieja Taraskina, który obwołał się prezydentem Związku Sowieckiego i wzywa zwolenników do obywatelskiego nieposłuszeństwa pod hasłem odbudowy nieistniejącego już państwa.

TELEWIZJA NTW

„Winą" **ANNY PAWLIKOWEJ** *było to, że na czacie rozmawiała o polityce. Gdy ją aresztowano, nie miała 18 lat.*

GRANI.RU

Wobec **MARII DUBOWIK**, *po jej kilkumiesięcznym pobycie w celi, zastosowano areszt domowy.*

BEŹSMIERTNYJ BARAK

JURIJ DMITRIJEW *(Memoriał) badał zbrodnie stalinowskie. Zatrzymany, uniewinniony i... znów zatrzymany.*

FB / KRIMINAL

OJUB TITIJEW, *również z Memoriału. Władzy nie podobało się, że chce wyjaśnienia okoliczności śmierci Natalii Estemirowej.*

Federalna Służba Bezpieczeństwa korzysta ze starych, sprawdzonych metod prowokacji. Tak było w przypadku domniemanej ekstremistycznej organizacji Nowoje Wieliczje (Nowa Potęga). Jak pisze na stronie Carnegie.ru Andriej Piercew, jeden z funkcjonariuszy podszywający się pod aktywistę wszedł na czat z grupą młodych ludzi, którzy wymieniali poglądy m. in. na tematy polityczne (według innych źródeł, prowokatorów było trzech). Zaproponował, że zorganizuje dla nich platformę wspólnego działania, napisze statut. W ten sposób młodzi, którzy po prostu za pośrednictwem internetu kontaktowali się ze sobą, zostali uwikłani w działalność nielegalnej grupy przez prowokatora ze służb.

Aresztowano ich. Najmłodsza z grupy, Anna Pawlikowa, nie miała wówczas nawet 18 lat. Po kilkumiesięcznym przetrzymywaniu w areszcie, w warunkach zagrażających zdrowiu, oraz po spektakularnych protestach (w tym „Marszu Matek", ulicznej akcji solidarnościowej kobiet) Pawlikowa została wypuszczona, sąd zastosował wobec niej i drugiej młodocianej podejrzanej, Marii Dubowik, areszt domowy.

Tak surowe traktowanie młodocianych ma przekonać Rosjan: na ich miejscu mogę znaleźć się również ja albo moje dzieci, jeżeli pozwolę sobie na krytykę władz – podsumowuje analityk Carnegie. Ta sama przestroga dotyczy wszystkich śmiałków, którzy w mediach społecznościowych pozwalają sobie na krytykę władz lub kpinki. Z ekstremistycznych paragrafów ścigani są nawet ci, którzy jedynie cytują lub podają dalej memy.

Końca podobnych represji w Rosji nie widać. Pytanie na dziś brzmi raczej: czy w związku z odnotowywanym ostatnio spadkiem poparcia dla Putina, kryzysem gospodarczym i spodziewaną na jesień falą protestów społecznych władze jeszcze bardziej przykręcą śrubę „nieprawomyślnym"?

© ANNA ŁABUSZEWSKA

JAVIER FERGO / AP / EAST NEWS

Angela Merkel i Pedro Sánchez, Sanlúcar de Barrameda, Hiszpania, 11 sierpnia 2018 r.

Azyl tylko na chwilę

MARCIN ŻYŁA

Do południowej Hiszpanii dociera dziś najwięcej migrantów z Afryki. Andaluzja, wbrew wielu przepowiedniom, nie stanie się jednak „drugą Lampedusą".

Był to obrazek jakich mało: Angela Merkel i Pedro Sánchez ogłaszający 8 sierpnia porozumienie ws. odsyłania z Niemiec do Hiszpanii migrantów, którzy w drugim z tych krajów złożyli już wniosek o azyl. Umowa jest symboliczna (obejmuje tylko pechowców, którzy próbowali wjechać do Niemiec przez trzy strzeżone przejścia na granicy z Austrią). Nie wpłynie na sytuację w Europie.

Chodziło jednak o pokaz solidarności – w wykonaniu kanclerz, której otwartość wobec imigrantów przysporzyła jej samej politycznych kłopotów, oraz premiera Hiszpanii Sáncheza, próbującego uniknąć w przyszłości podobnych kłopotów.

„Obowiązek kraju"

Zaczęło się w czerwcu, w pierwszych tygodniach rządów w Madrycie nowego gabinetu socjalistów. Gdy Włochy i Malta odmówiły przyjęcia kilkuset migrantów z pokładu statku „Aquarius", azyl zaoferowała im właśnie Hiszpania. Sánchez uznał, że uniknięcie humanitarnej katastrofy jest „obowiązkiem kraju". Równocześnie szef MSW ogłosił zamiar likwidacji płotu z drutem kolczastym, który chroni dostępu do Ceuty i Melilli, hiszpańskich eksklaw w północnej Afryce. Rząd umożliwił też migrantom korzystanie z publicznej służby zdrowia.

W czasie, gdy we Włochy zakazały prywatnym statkom z migrantami na pokładzie cumowania do swoich portów, Hiszpanię zaczęto postrzegać jako nadzieję europejskiej polityki solidarności. Przypominano, że nie zdobyła tu dotąd popularności żadna skrajna partia prawicowa ani retoryka antymuzułmańska. Wymieniano powody: świeżą pamięć o dyktaturze gen. Franco i hiszpańskiej emigracji (masowej jeszcze kilka lat temu, podczas kryzysu gospodarczego), skuteczne modele integracji, a także hamującą ekstremistów dyscyplinę w największym ugrupowaniu prawicowym, Partii Ludowej. Przypominano też, że w pierwszej dekadzie XXI w. Hiszpania przyjęła prawie 5 mln migrantów, głównie z Europy Wschodniej i Maroka.

Madryt był pierwszy

Paradoks polega na tym, że to Hiszpania była prekursorką polityki zatrzymywania migrantów oraz układania się z państwami afrykańskimi – strategii, którą od dwóch lat realizuje Unia Europejska.

Oddalone od wybrzeży Afryki hiszpańskie Wyspy Kanaryjskie już w 1994 r. przyjmowały migrantów. Na *pateras*, niewielkich drewnianych łodziach, tylko do 2005 r. dotarło tu ok. 40 tys. ludzi. Potem migranci docierali na większych *cayucos*, mieszczących na pokładzie sto osób. Efekt? Tylko w 2006 r. do hiszpańskich brzegów przybyło 30 tys. ludzi.

Madryt zawarł wtedy kilkanaście porozumień o repatriacji z krajami Sahelu, wysłał Gwardię Cywilną do patrolowania brzegów Afryki i stworzył system monitorowania ruchu na morzu. Od 2006 r. centrum koordynacji w Las Palmas gromadzi wszystkie informacje wywiadowcze na temat przemytu ludzi i migracji w północnej Afryce. Taka polityka przyniosła efekt: w 2010 r. do Wysp Kanaryjskich dopłynęło zaledwie 196 migrantów.

Nowe hasła prawicy

Kilka tygodni temu ONZ ogłosiła, że do Hiszpanii dociera obecnie najwięcej migrantów w Europie. Od stycznia do końca lipca miało ich przybyć 27,6 tys., trzy razy więcej niż rok wcześniej. Pochodzenie migrantów jest zróżnicowane – największa grupa, obywatele Gwinei, stanowi zaledwie 17 proc. Trzy czwarte z przybywających to mężczyźni.

Europejska prasa zaczęła pisać o Hiszpanii jako „drugiej Lampedusie". Ale te statystyki to i tak ułamek liczb sprzed 2-3 lat. Inaczej też niż w przypadku Włoch, które kilka lat temu stanęły w obliczu dużego kryzysu migracyjnego, rząd Hiszpanii może sobie na razie pozwolić na gesty solidarności, a równocześnie popierać – krytykowaną przez organizacje praw człowieka – unijną politykę zawierania porozumień z Afryką. Podczas lipcowego szczytu Unii premier Sánchez nie protestował, gdy omawiano pomysły tzw. platform wyładunkowych dla migrantów z Afryki.

Dobry czas dla migrantów może się w Hiszpanii skończyć szybko – po kryzysie katalońskim także Partia Ludowa zaczęła częściej posługiwać się hasłami „patriotyzmu", „wartości narodowych" i „jedności terytorialnej". A to, jak pokazały wydarzenia w innych państwach Europy, zapowiada często zmianę postaw. ©℗

RAJAT GUPTA / EPA / PAP

Baba Ramdev (z prawej) i minister budownictwa Indii Venkaiah Naidu, Międzynarodowy Dzień Jogi, Delhi, 19 czerwca 2016 r.

Ćwiczenia z jedności, szczęścia i bogactwa

MAREK RABIJ

W telewizji walczy z ukraińskimi zapaśnikami albo uczy jogi. Na sprzedaży kosmetyków zbił fortunę – mimo że praktykuje ascezę. Oficjalnie Baba Ramdev, szara eminencja partii rządzącej w Indiach, nie ma też nic wspólnego z polityką.

Kim jest Baba Ramdev? Odpowiedź na to pytanie zależy od tego, komu się je zada. Jeśli głęboko religijnemu hindusowi, postać naszego bohatera ukaże się w szacie w kolorze pomarańczowym, którą noszą w Indiach świątobliwi hinduscy mnisi-asceci.

Dla przyspawanego do telewizora i internetu indyjskiego nastolatka Baba będzie przede wszystkim showmanem, który w porannym paśmie programowym uczy jogi, po południu jeździ na YouTubie motocyklem, a wieczorem, w telewizyjnym *prime time*, toczy ustawione pojedynki z zawodowymi zapaśnikami, ukazując nadludzką siłę, nabytą rzekomo dzięki ćwiczeniu jogi.

Gdyby to samo pytanie rzucić jednak w środowisku indyjskich przedsiębiorców, padnie kompletnie inna odpowiedź – że Baba Ramdev to współzałożyciel Patanjali Ayurved, jednego z najszybciej rozwijających się koncernów spożywczo-kosmetycznych, który od 2012 r. zwiększył przychody z 69 mln do 1,6 mld dolarów.

Narendra Modi, premier Indii wywodzący się z rządzącej partii Bharatiya Janata Party (BJP), nazywa Babę Ramdeva po prostu „bliskim przyjacielem". Opozycja z Indyjskiego Kongresu Narodowego ma jednak wątpliwości, czy relacje łączące szefa rządu ze znanym duchownym to faktycznie przyjaźń, czy raczej polityczne małżeństwo z rozsądku.

Odpowiedź na pytanie „Kim jest Baba?" przypomina więc słynną anegdotę o premierze Indii Manmohanie Singhu, który na kolejne natarczywości europejskich ↦

↦ dziennikarzy miał odpowiedzieć z poirytowaniem, że „każda opinia o Indiach jest prawdziwa”.

Podobnie jest z Babą Ramdevem.

Rasputin z Delhi

Takich zdjęć są tuziny. W tle wianuszek prominentów BJP, w środku na pierwszym planie premier Modi, po jego prawicy Baba Ramdev – szeroko uśmiechnięty, choć jest w tym uśmiechu coś nienaturalnego, wręcz sardonicznego. Jako dwulatek Baba miał doznać rozległego paraliżu, z którego doszedł ponoć do niemal pełnej sprawności dzięki jodze, jedynie problemy z mimiką po lewej stronie twarzy przypominają mu dziś o tych bolesnych przejściach. To oczywiście wersja kanoniczna i jedyna dostępna; o pierwszych latach życia szefa Patanjali Ayurved wiadomo bowiem tylko tyle, ile on sam gotów jest ujawnić.

Pewne jest, że Baba przyszedł na świat jako Ramkishen Yadav w rodzinie ubogich rolników w niewielkiej wsi w stanie Hariana, gdzieś u podnóży indyjskich Himalajów. Kiedy? Nawet oficjalna data, czyli 25 grudnia 1965 r., nie jest pewna, część badaczy życiorysu czcigodnego Baby uważa bowiem, że liczy on co najmniej 5–7 lat więcej, niż jest gotowy przyznać. W gruncie rzeczy są to jednak drobiazgi, w tej opowieści kluczowy jest bowiem moment, gdy niespełna trzydziestoletni Ramkishen Yadav po studiach z sanskrytu przybrał nowe nazwisko i stał się oficjalnie *sanyasi*, czwartą, najwyższą formą życia w hinduizmie, która wiąże się z praktykowaniem ścisłej ascezy.

Ulica w Indiach mówi o nich „święci” lub „boży ludzie”. To wędrowni (zazwyczaj) asceci, skoncentrowani na poszukiwaniu prawdy o świecie i o sobie samych, a żyjący tylko z tego, czym podzielą się z nimi bogobojni współwyznawcy. W jaki sposób pełnokrwisty biznesmen kontrolujący firmę obracającą setkami milionów dolarów rocznie, właściciel stacji telewizyjnych, sieci telefonii komórkowej, pracujący na co dzień w luksusowym biurowcu zaprojektowanym specjalnie dla niego, z gabinetem pośrodku wypielęgnowanego ogrodu, może jednocześnie funkcjonować w przestrzeni publicznej jako pustelnik? Cóż, „boży ludzie” w Indiach od niepamiętnych czasów cieszą się nie tylko szacunkiem biedoty, ale i wsparciem zamożnych mecenasów, za sprawą których ścieżka ascezy nierzadko skręca ostro w stronę życia w nieprzyzwoitym wręcz luksusie.

Po świecie maharadżów zostały wprawdzie w Indiach tylko znacjonalizowane częściowo pałace, ale rolę sponsorów „świętych” wzięli na siebie politycy. W latach 60. i 70. XX w. czcigodny Sathya Sai Baba – ten sam, który twierdził, że jest w stanie przekształcić powietrze w zegarek (tak się składa, że wychodziły mu głównie luksusowe czasomierze szwajcarskiej marki Omega) – cieszył się nie tylko wsparciem finansowym ze strony rządzących elit, ale także dyskretną ochroną przed oskarżeniami o homoseksualizm, za który groziło wtedy do 10 lat więzienia. Nawet pryncypialna Indira Gandhi jako premier utrzymywała na swym dworze instruktora jogi, świątobliwego Dhirendrę Brahmachariego, który cieszył się przez to wątpliwie zaszczytnym pseudonimem „Rasputina z Delhi”...

Jak odleci Nestlé

Będąc „bliskim przyjacielem” premiera Modiego, Baba Ramdev może również liczyć na wsparcie, dzięki któremu jego Patanjali Ayurved rośnie w siłę. Jak zapewniał ostatnio reportera dziennika „New York Times” sam święty, w tymczasowej roli głównego udziałowca, koncern do 2025 r. chce zwiększyć przychody do 15 mld dolarów rocznie. Prawdziwym celem spółki nie są bowiem – jak twierdził Baba w wywiadzie – pieniądze, lecz szczytne dzieła, które może dzięki nim realizować, na czele z promocją hinduskiego stylu życia i prawdziwie hinduskich wartości.

Patanjali Ayurved produkuje żywność, kosmetyki i leki bazujące na ajurwedzie, staroindyjskiej filozofii leczniczej opartej na ziołach i innych produktach naturalnych.

Biznesmen-asceta marzy więc o przejęciu któregoś z wielkich zachodnich konkurentów, by następnie przynajmniej część ich produktów przekierować w końcu na zdrowe tory ajurwedy. W dziedzinie dóbr szybko zbywalnych, zdominowanych przez zachodnie korporacje, czas na zmianę paradygmatu podług azjatyckich zasad. „Bramy Colgate niebawem się zatrzasną. Pantene zmoczy się w majtki, poziom Unilevera się załamie, a mała ptaszyna Nestlé odfrunie na zawsze” – wyliczał ostatnio Baba Ramdev dziennikarzowi Bloomberga, bawiąc się w językowe aluzje czytelne dla każdego, kto liznął trochę angielskiego.

A co z zyskami? Te, oczywiście, przypadną w udziale potrzebującym, po potrąceniu wkładu niezbędnego na badania i rozwój. Jak wielu innych wizjonerów z ambitnymi planami społecznymi, Baba Ramdev nie robi nic dla siebie. Nie ma nawet konta w banku.

Ostatnio dostał za to rządową ochronę. Przy okazji wyszło na jaw, że władze odebrały ten przywilej kilku politykom opozycyjnego Indyjskiego Kongresu Narodowego.

Tak się składa, że akurat tym, którzy dopytywali o szczegóły umowy z 2014 r., na mocy której władze stanu Assam na północnym wschodzie kraju, rządzonego przez BJP, oddały bezpłatnie Patanjali Ayurved 486 hektarów gruntów rolnych i budowlanych. W trzech innych stanach rządzonych przez BJP – jak ustaliło śledztwo reporterów agencji Reutera – firma Ramdeva otrzymała zniżki na zakup ziemi, dzięki którym zaoszczędziła co najmniej 46 mln dolarów.

„Zwycięstwo dla Matki-Indii”

Niewykluczone, że publicznie deklarowana przyjaźń premiera i miliardera-ascety ma jednak charakter głównie pokazowy, choćby z racji na przepaść pochodzenia dzielącą Babę, reprezentującego kastę braminów, od Narendry Modiego, który wywodzi się z kastowych nizin. Obaj panowie oficjalnie są zdeklarowanymi krytykami systemu kastowego, nie jest jednak tajemnicą, że w indyjskim życiu publicznym temat ten stał się jedną ze składowych miejscowej odmiany poprawności politycznej i mówić czegoś innego po prostu im nie wypada.

To, co może ich łączyć, to z pewnością polityczne interesy. Liczące już blisko 1,3 mld mieszkańców Indie to społeczeństwo złożone w 79 proc. z hindusów i duża część hinduskiego żywiołu, zwłaszcza najbiedniejsi, coraz głośniej fantazjuje o tzw. hindutwie, czyli państwie zjednoczonym wokół dominującej religii hinduistycznej i narosłych wokół niej tradycji. Politycy BJP nie tylko szybko wyłapują i podgrzewają te nastroje, grając zwłaszcza przeciw muzułmanom, których w ostatnich latach przybywa w Indiach kosztem hindusów (muzułmanie stanowią już 14 proc. populacji). Ustawy przepchnięte ostatnio przez rząd – np. pakiet przepisów ułatwiających zdobycie indyjskiego obywatelstwa wyznawcom wszystkich religii poza islamem – świadczą o tym, że pielęgnowanej przez

poprzednie ekipy idei państwa świeckiego, w praktyce oznaczającej równouprawnienie wszystkich wyznań w relacjach z władzą, obóz Modiego nie uważa już za polityczny aksjomat. Przeciwnie, widzi w niej raczej przeszkodę w realizacji doraźnej strategii rządzenia przez dzielenie.

Baba Ramdev, mnich-celebryta znany milionom, człowiek sukcesu, a do tego niestroniący od mocnych polityczno-religijnych deklaracji, pasuje do tej strategii idealnie.

„Muzułmańscy liderzy mówią, że islam jest wielki. Ja mówię: to naród jest wielki. Mój kraj jest wielki. Po pierwsze – kraj" – oto próbka retoryki Baby, jakże miła uszom liderów BJP. Dwa lata temu, kiedy muzułmańscy politycy rozwścieczyli hinduskie tłumy odmową publicznego skandowania nacjonalistycznych haseł, jogin pozwolił sobie nawet na sugestie o konieczności „ścięcia setek tysięcy takich ludzi", co powszechnie odczytano w Indiach jako zachętę do czystek etnicznych.

A przecież dla milionów Indusów Baba jest nie tylko barwną postacią z mediów, która w telewizji śniadaniowej uczy jogi albo w ewidentnie ustawianych pojedynkach rozkłada na łopatki podstarzałych zapaśników z Ukrainy, by w ten sposób zdobyć nowych klientów dla swoich ajurwedyjskich specyfików. Ramdev dał się poznać także jako człowiek myślący kategoriami racji stanu, kiedy w 2010 r. nawoływał do ogólnokrajowego protestu przeciwko korupcji władz, a potem – już bez sukcesu – próbował tworzyć własne ugrupowanie polityczne. Dziś przeszedł całkowicie na stronę BJP, w której, jak deklaruje, widzi antidotum na politykę w starym stylu, służącą jego zdaniem wyłącznie interesom elit.

„Premier Modi to człowiek honoru. BJP ma plan, który sięga perspektywą poza przyszłoroczne wybory. Tej partii nie chodzi tylko o to, by je wygrać, lecz o to, by zmienić Indie", mówił ostatnio w wywiadzie. „Bharat Mata ki jai" – dodał na koniec, cytując znane hasło indyjskiej polityki: „Zwycięstwo dla Matki-Indii".

Jego wkład w tę rewolucję ma polegać na stworzeniu zdrowego społeczeństwa – oczywiście dzięki jodze. „To moja misja – mówił „New York Timesowi". — Chcę zdrowej, zamożnej, miłującej pokój jednostki, społeczeństwa, narodu. A zdrowia i szczęścia nie da się osiągnąć bez jogi".

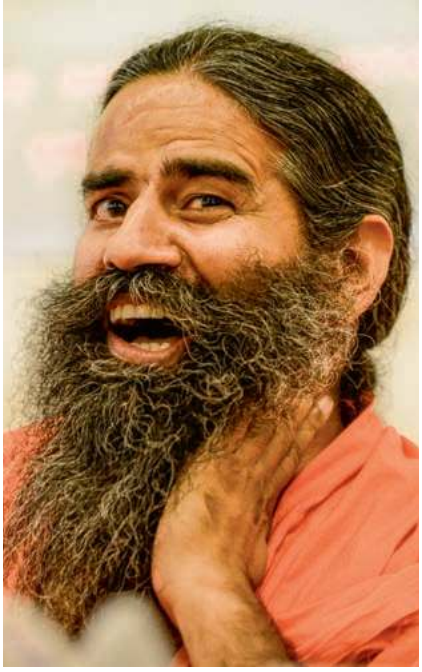

SAM PANTHAKY / AFP / EAST NEWS

BABA RAMDEV:

Muzułmańscy liderzy mówią, że islam jest wielki. Ja mówię: to naród jest wielki. Mój kraj jest wielki. Po pierwsze – kraj.

Zarzuty, czyli kłamstwa

Na razie głównym wygranym sojuszu władzy z Babą są jednak jego interesy. Dyskretna, ale odczuwalna opieka partii rządzącej sprawia, że i firma, i jej współtwórca łagodniej znoszą kolejne kryzysy wizerunkowe. Nie wszystko da się przecież wyciszyć. W kwietniu indyjska armia cofnęła koncernowi Ramdeva lukratywny kontrakt na dostawę soków, kiedy okazało się, że jego skład znacząco odbiega od deklarowanego. Nie udało się też do końca wyciszyć skandalu z klarowanym masłem ghee, na które Patanjali Ayurved dawała gwarancję najwyższej jakości surowca, podczas gdy w praktyce do produkcji użyto mieszanki masła różnego pochodzenia i nierównej jakości (znaczenie ghee w życiu hinduskiego społeczeństwa nie kończy się na kuchni, chodzi także o kwestie religijne).

Z drugiej strony, w minionym roku prawnikom Patanjali Ayurved udało się zablokować publikację biografii pryncypała, w której znalazły się wzmianki o serii dziwnych zniknięć i wypadków, które przytrafiły się po objęciu władzy przez Modiego kilku osobom znającym Babę Ramdeva w młodości.

Nic dziwnego, że byli i obecni współpracownicy nie pchają się dziś do mediów z rewelacjami na temat twórcy Patanjali Ayurved. To, co dociera do opinii publicznej, zwykle pochodzi od anonimowych informatorów, ułatwiając pracę złotoustemu rzecznikowi koncernu, który w zarzutach od razu dostrzega kłamstwa i manipulacje konkurencji. Niskie zarobki w firmie, znacznie poniżej średniej krajowej na podobnym stanowisku? Nieprawda. Firma płaci co najmniej równie dobrze jak rywale. Nieformalny, ale restrykcyjnie egzekwowany zakaz proszenia o podwyżkę? Bzdura! Zakaz spożywania alkoholu także po pracy? A kto i jak miałby go egzekwować?

Biznesmen na eksport

Premier Modi publicznie zachwala produkty Patanjali Ayurved wprawiając w zakłopotanie setki innych graczy z tłocznego ajurwedyjskiego poletka, którzy mogą tylko marzyć o podobnym wsparciu. Być może faktycznie spłaca w ten sposób Babie Ramdevowi kolejne transze długu w skomplikowanych rachunkach wzajemnych zobowiązań.

Istnieje jednak prostsze wyjaśnienie. Ajurweda to przecież element hinduskiej tradycji i tożsamości, do tego – w odróżnieniu od kilku innych starych systemów medycyny niekonwencjonalnej – oficjalnie uznawany przez Światową Organizację Zdrowia. Joga – druga noga biznesu Baby – od lat stanowi towar eksportowy indyjskiej kultury, który propaguje na całym świecie nawet indyjski korpus dyplomatyczny. Mnich-celebryta uczący w telewizji starożytnych asan i pokazujący, że tradycyjny środek myjący z krowiego moczu czyści nie gorzej od zachodnich detergentów, jest więc idealnym przedsiębiorcą patriotą dla premiera nacjonalisty, który zapowiada, że pod jego rządami Indie zajmą w globalnej gospodarce – w końcu! – miejsce proporcjonalne do liczby swych obywateli. I to zachowując przy tym hinduską tożsamość.

A że korzenie współczesnej jogi nie sięgają tak daleko w przeszłość, jak życzyliby sobie tego partyjni propagandyści — krowi mocz nie dorównuje zaś skutecznością nowoczesnym środkom czystości?

Prawda nie jest bronią, za pomocą której wygrywa się wybory. ©℗ MAREK RABIJ

ANNA SERRANO / HEMIS / EAST NEWS

W Wiosce Matematycznej, 2015 r.

Tablicę aresztować!

MARCELINA SZUMER-BRYSZ Z IZMIRU

W gaju oliwnym pod Efezem profesor matematyki stworzył dla studentów Matematyczną Wioskę. Jest ona czymś więcej niż miejscem rozwiązywania zadań. To jeden z ostatnich bastionów wolnego myślenia w Turcji.

Labirynt białych schodków i wyłożonych kamieniami ścieżek wije się na zboczach porośniętych rozłożystymi drzewami oliwnymi. Na tarasach domków pełno ludzi. Niektórzy, w tym profesor Ali Nesin, jedzą obiad. Inni leniwie wylegują się na ustawionych na wolnym powietrzu kanapach. Jedni czytają podręczniki matematyczne, pozostali głośno rozmawiają, ale nikt nikomu nie przeszkadza. Domów z rozległymi tarasami idealnych do wypoczywania jest tu kilkanaście; zacienionych auli, w których kilka razy dziennie odbywają się wykłady, kilka. Do tego pole namiotowe, biblioteka, wieża widokowa i kuchnia, w której uśmiechnięci matematycy na zmianę obierają ziemniaki. Na powierzchni 13 akrów toczy się życie pół tysiąca osób jednocześnie.

Zajęcia z matematyki to tylko część ich codzienności. Resztę czasu zajmują debaty o życiu, filozofii i sytuacji w kraju. Nikt tu nie boi się mówić, co myśli – to rzadkość w dzisiejszej Turcji – i profesor Nesin jest z tego dumny.

Choć na początku rzeczywiście chodziło tylko o królową nauk.

Odczarować matematykę

– Umówmy się: matematyka jest trudna. To ciągła praca. Na historii możesz oblać średniowiecze, a dostać piątkę z renesansu, ale tu jest zupełnie inaczej: wszystko się ze sobą łączy. Gdy już raz na czymś polegniesz, łatwo o zniechęcenie i lęk – mówi profesor Nesin, absolwent Yale, który do rodzinnego kraju wrócił po latach spędzonych w USA. – Nikt się nie boi rozwiązywać sudoku, ale zadania w książce paraliżują uczniów – dodaje, choć już się temu nie dziwi.

Uważa, że nauczyciele nie pomagają w przekonaniu młodych, iż matematyka jest cudowna i ciekawa. Przeszkadzają w tym ciągłe egzaminy i stres, któremu uczniowie bezustannie są poddawani.

– Nawet ci, którzy powinni coś umieć, bo właśnie dostali się na wyższe studia matematyczne, boją się kombinować i nie próbują rozwiązywać problemów. Obce jest im abstrahowanie, dedukcja i matematyczne myślenie – opowiada profesor.

To właśnie od jego studentów ze stambulskiego uniwersytetu Bilgi wszystko się zaczęło. Profesor nie mógł się nadziwić, że „kwiat matematyków" ma takie kłopoty z nauką, a nawet motywacją: – Dawałem im zadanie, a oni poddawali się po pięciu minutach przy tablicy. Niektórzy nawet bali się zacząć coś robić ze strachu przed kompromitacją – opowiada.

Nesin zaczął zapraszać studentów na korepetycje do własnego domu. Może – myślał – z dala od uczelni i stresu przed oceną młodzi odprężą się i wiedza łatwiej wejdzie im do głowy? Zadziałało. Po kilku miesiącach chętnych na lekcje z profesorem było tak wielu, że jego mieszkanie przy placu Taksim przestało wystarczać. Wtedy, z pomocą uczelni, sfinansował obóz matematyczny. Zabrał studentów nad morze i odkrył, że piękna przyroda jeszcze bardziej sprzyja wchłanianiu wiedzy. Profesor, który jest też szefem edukacyjnej fundacji założonej przez swojego ojca, cenionego pisarza i tłumacza Aziza Nesina, wiedział już, co ma robić. Postanowił wykorzystać należący do organizacji gaj oliwny zlokalizowany kilka kilometrów za malowniczą wsią Şirince. Na miejscu były już budynki i podstawowa infrastruktura.

W pierwszym turnusie (lato 2007 r.) uczestniczyło kilkudziesięciu studentów. Rok później było ich już kilkuset. Sława Wioski Matematycznej dotarła też do szkół. O możliwość przyjazdu z uczniami zaczęli pytać nauczyciele liceów, a nawet podstawówek.

– Teraz już jesteśmy otwarci dla wszystkich, niezależnie od wieku i poziomu wiedzy. W zeszłym roku gościliśmy 8 tys. młodych. Ta liczba wzrasta o jakieś 30 procent rocznie. Choć znacznie rozbudowaliśmy wioskę, powoli osiągamy maksimum naszych możliwości – mówi profesor.

Chyba jeszcze nie do końca zdaje sobie sprawę z faktu, że prestiżowa nagroda Leelavati, którą właśnie otrzymał od Międzynarodowej Unii Matematycznej za „niesamowite osiągnięcia na polu popularyzacji matematyki jako dyscypliny intelektualnej i kluczowej roli, jaką odgrywa ona w świecie zróżnicowanych ludzkich wyzwań", przysporzy mu jeszcze więcej fanów. Wioska zresztą już dawno zamieniła się z letniej w (niemal) całoroczną. Wszystko po to, by nie odmówić nikomu chętnemu do nauki.

Aresztowana tablica

Mimo to do wioski Nesina trudno się dostać. I nie chodzi jedynie o to, że wąska, górska droga wygląda, jakby prowadziła donikąd, a o tym, że jedzie się we właściwym kierunku, przekonują jedynie małe, drewniane tabliczki z ręcznie wymalowanym czerwoną farbą napisem. Kiedyś przyjmowano uczniów na zasadzie „kto pierwszy, ten lepszy", ale Nesin wpadł na lepszy pomysł. Prosi chętnych o napisanie listu motywacyjnego. Dostaje ich tysiące, ale uważnie czyta wszystkie i sam decyduje, kogo zaprosić. Studenci za naukę nie płacą, uiszczają tylko symboliczną opłatę za jedzenie. Inaczej z licealistami, dla nich pobyt w wiosce jest płatny. Ale jeśli kogoś nie stać, a chce się uczyć, profesor zwalnia go z opłaty. Pieniędzy nie biorą też wykładowcy, znakomici matematycy nie tylko z tureckich, ale i światowych uniwersytetów.

Nesin zaczął od zapraszania na gościnne wykłady swoich przyjaciół, kolejni zgłaszali się już sami. Plus doktoranci, którzy prócz tego, że prowadzą własne projekty badawcze, opiekują się też licealistami. Jednym z wolontariuszy jest prof. Alexandre Borovik z Uniwersytetu w Manchesterze. Do wioski przyjeżdża co roku od przeszło dekady. Szerokim gestem zaprasza na taras i proponuje herbatę. Po chwili pojawia się z parującymi szklankami.

– Ucząc tu, sam zaczynam lepiej rozumieć matematykę. Kombinuję, zmieniam program w zależności od możliwości uczniów. Muszę być elastyczny – opowiada profesor. Prędko jednak porzuca tematy dydaktyczne i przechodzi do dramatycznych chwil, które tu przeżył. – Na samym początku, w 2007 r., do wioski przyszli żandarmi z nakazem jej zamknięcia jako nielegalnej – opowiada profesor i pokazuje zdjęcie, jakie wtedy zrobił. Widać na nim zapisaną matematycznymi wzorami tablicę, którą mundurowi „ogrodzili" biało-czerwoną taśmą. Nesin – opowiada profesor Borovik – dostał wtedy zarzuty „uczenia bez zezwolenia". Wytoczono mu proces. Obronił się powołując na turecką konstytucję, gwarantującą wolność nauki i nauczania.

Oaza wolności

Problemy Wioski Matematycznej na tym się nie skończyły. Kilkakrotnie pojawiali się w niej urzędnicy szukający nieprawidłowości. W 2015 r. przyjechali z nakazami rozebrania dwóch domów, postawionych – zdaniem władz Izmiru – nielegalnie. – Na szczęście sami nie wiedzieli, o które konkretnie chodzi, więc wyjechali z niczym – śmieje się profesor.

Nesin wie, co nie podoba się w jego osobie i inicjatywach tureckim władzom, które na dobre już zniewoliły naukę w kraju (jak grzyby po deszczu wyrastają szkoły religijne, zastępując publiczne gimnazja i licea, prezydent Erdoğan od kilku lat sam mianuje rektorów wyższych uczelni, a tysiące wykładowców, oskarżonych o wspieranie nieudanego puczu wojskowego, zwolniono albo zawieszono). Chodzi o to, że jest zdeklarowanym ateistą.

– Największą wartością jest dla mnie wolność myślenia, wyznania i stylu życia. Tymczasem te właśnie wartości nie są ostatnio w Turcji w cenie. Szanuje się je jednak w wiosce, a właściwie już trzech wioskach.

Nesin spełnił swoje marzenie i obok matematycznej powołał też do życia Wioskę Artystyczną oraz Wioskę Filozoficzną. Można wysłuchać wykładów o greckich ojcach filozofii, o religii, ale też o marksizmie, jesienią ma się odbyć sesja o prawach człowieka. Bardzo *à propos*, zważywszy, że profesor Nesin od miesięcy umieszcza na Facebooku informacje o aresztowanych naukowcach lub kolegach po fachu – wydalonych z kraju. „Intelektualna masakra" – pisze o sytuacji w Turcji już nie tylko on, ale i zagraniczne gazety, takie jak „Nature" czy „Science", a niektórzy komentatorzy twierdzą, że odbudowanie utraconej intelektualnej bazy zajmie pokolenia.

Jeśli tureckie władze pozwolą, podopieczni Nesina będą w tym mieli swój udział. ©

RADIO KRAKÓW
Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika".
Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM Nowy Sącz – 90,0 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM Gorlice – 97,4 FM **www.radiokrakow.pl**

Z ODDECHEM

SKAZY NA BARANKU

Gdy konserwatorzy odsłonili oryginalny wizerunek Baranka z Ołtarza Gandawskiego, zapanowała konsternacja: czy wielki Jan van Eyck nie potrafił namalować barana? To dobra okazja, by obalić kilka mitów o dawnych mistrzach.

MAGDALENA ŁANUSZKA

Od października 2012 r. trwa olbrzymi projekt kompleksowej renowacji Ołtarza Gandawskiego Jana van Eycka z 1432 r. Ma się ona skończyć w grudniu 2019 r. Niedawno serwis z reprodukcjami Lukas – Art in Flanders opublikował fotografie centralnej postaci ołtarza – Baranka Mistycznego, po zdjęciu nowożytnych przemalowań. Okazało się, że oryginalny Baranek nie tylko nie miał czworga uszu (!), ale także, że miał zupełnie inny kształt głowy.

W mediach społecznościowych rozpętała się dyskusja zaskoczonych miłośników sztuki dawnej: jak to możliwe, że oryginalny Baranek jest gorszy? Czy powinniśmy usuwać przemalowania, jeśli przez to dzieło traci na jakości? Czy Jan van Eyck kiedykolwiek widział owcę? Te opinie zaskakują bardziej niż same efekty konserwacji. Bo pokazują, jak bardzo odmienny jest nasz współczesny odbiór sztuki od tego, co przekazywali swoim odbiorcom artyści z wieku XV. Przyjrzyjmy się więc własnym wyobrażeniom i zobaczmy, ile w nich prawdy.

Mit 1: artysta to indywidualista

Zacznijmy od początku: jak właściwie wyglądała praca w XV-wiecznym warsztacie malarza? Otóż dzieła nie były wówczas wytworami samotnych indywidualistów. Artyści byli rzemieślnikami: z nielicznymi wyjątkami mieli obowiązek działać w ramach średniowiecznych cechów i podporządkowywać się ich zasadom. A cechy regulowały choćby dopuszczalną liczbę zamówień dla jednego warsztatu, zakres cen, a nawet liczbę praktykantów uczących się zawodu. Założenie warsztatu wymagało posiadania domostwa dla rodziny i pracowników – oraz żony do prowadzenia tegoż domostwa.

Tylko mistrz miał prawo sprzedawać obrazy, ale status ten udawało się osiągnąć nielicznym: przykładowo, w Tournai między rokiem 1440 a 1480 spośród 70 terminujących w pracowniach tamtejszych mistrzów tylko pięciu zostało w końcu samodzielnymi mistrzami. Samo rozpoczęcie nauki zawodu kosztowało krocie – w Brugii opłata w cechu malarzy i rymarzy była 20 razy większa niż ta za wejście w poczet ławników i sędziów! A za wyzwolenie na mistrza pobierano kolejne opłaty. Co ciekawe, cennik nie był dla wszystkich taki sam: w Brugii obcokrajowiec płacił niemal dwukrotnie więcej niż obywatel, syn mistrza danego cechu zaś nie płacił nic. W niektórych miastach za osiągnięcie mistrzostwa syn mistrza płacił równowartość czterech, pięciu dniówek, natomiast obcokrajowiec musiał poświęcić na to niemal półroczny dochód. To sprawiało, że cech stawał się zamkniętą dziedziczną kastą. Istniały całe dynastie malarzy.

Zresztą po śmierci mistrza prawa i przywileje, a także obrazy, dokończone i niedokończone, dziedziczyła wdowa po nim. I mogła dalej prowadzić przedsiębiorstwo, a nawet przyjmować uczniów – tak właśnie stało się w przypadku pracowni Jana van Eycka, choć on sam akurat był artystą dworskim i nie należał do cechu w Brugii. Mimo to jego warsztat w tym mieście, składający się z co najmniej kilku wysoko wykwalifikowanych malarzy, działał zapewne pod okiem jego żony jeszcze przez ponad dziesięć lat po śmierci artysty.

WIKIMEDIA COMMONS

PORTRET MAŁGORZATY VAN EYCK pędzla Jana van Eycka, Groeningemuseum, Brugia, 1439. Żona prowadziła warsztat artysty przez ponad dekadę po jego śmierci.

Zamówienie dzieła było przedmiotem pisemnej umowy, a kontrakt określał formę dzieła. Gdy dziś analizując złożone treści dawnych dzieł sztuki podziwiamy erudycję artysty, zapominamy, że zazwyczaj to fundator decydował, co i w jaki sposób ma zostać ukazane.

Wiemy to m.in. dzięki zachowanemu kontraktowi z Dirkiem Boutsem na Tryptyk Eucharystii, który w 1465 r. zamówiło Bractwo Najświętszego Sakramentu przy kościele św. Piotra w Leuven: zatrudniło ono dwóch teologów do pomocy w ułożeniu programu ikonograficznego. Kontrakty niekiedy określały nawet użycie konkretnych materiałów do realizacji dzieła. Zobowiązanie malarza było obwarowane karami – z więzieniem włącznie. Niesolidny artysta mógł zostać wyrzucony z cechu.

Co dla nas najważniejsze, umowa często precyzowała udział samego mistrza w przygotowywaniu dzieła – na przykład, że ma on wykonać „główne partie". Praca zbiorowa była powszechna: w wielu późnogotyckich obrazach widoczne są różnice w stylu poszczególnych części dzieła. Często kto inny malował główne postacie świętych, a kto inny portret fundatora. Dziś historycy sztuki prowadzą niekończące się dyskusje na temat zakresu udziału „ręki mistrza" w poszczególnych zamówieniach. A to niełatwe, bo uczniowie i pomocnicy mieli jak najpilniej naśladować styl mistrza.

Ciekawym przykładem metody pracy warsztatu są inskrypcje odkryte przez konserwator Annę Borowską w kwaterach z krakowskiego Tryptyku Dominikańskiego. Otóż okazało się, że poszczególne partie opisane były literami odnoszącymi się do koloru danego fragmentu w języku niemieckim (np. fragmenty pomalowane na biało zostały wcześniej opatrzone literą „W"; niem. *Weiß*). Mistrz zatem prawdopodobnie tylko szkicował kompozycję, a następnie zlecał pomocnikom „pokolorowanie" jej według własnych wskazówek („tu zrobisz na biało, tu ma być czerwony, a tam zielony, i żeby mi było równo pomalowane!").

Zanim więc zaczniemy dyskutować o umiejętnościach malarskich Jana van Eycka, to pomyślmy, ilu w rzeczywistości malarzy mogło pracować nad tym dziełem. Ze źródeł wynika, iż w 1431 r., czyli w czasie, gdy tworzony był Ołtarz Gandawski, w warsztacie van Eycka pracowało co najmniej 12 pomocników.

Mit 2: są dowody na autorstwo

A co właściwie wiemy o samym Ołtarzu Gandawskim? Otóż, wbrew pozorom, niezbyt wiele. Fundatorem ołtarza był Jodocus (Joos) Vijd, przedstawiciel miejskiej szlachty, radny i późniejszy burmistrz Gandawy. Przez wiele lat wspierał on rozwój kościoła św. Jana Chrzciciela (obecnie katedra św. Bawona) w tym mieście. Ufundował sobie w nim rodową kaplicę, do której przeznaczony był ów ołtarz.

OŁTARZ GANDAWSKI, katedra św. Bawona w Gandawie, 1432. Otwarta nastawa zawiera w dolnej części przedstawienie Adoracji Baranka Mistycznego.

WIKIMEDIA COMMONS

SINT-BAAFSKATHEDRAAL GENT ©LUKASWEB.BE-ART IN FLANDERS VZW. FOTO KIK-IRPA X2

Baranek po konserwacji może nie przypominać prawdziwego zwierzęcia, ale to przecież nie jest zwykły baran. W środkowej części ołtarza znajduje się Baranek Boży, czyli Chrystus.

BARANEK MISTYCZNY z Ołtarza Gandawskiego (Jan van Eyck, 1432) po konserwacji.

ZESTAWIENIE GŁOWY Baranka Mistycznego z Ołtarza Gandawskiego przed konserwacją (po lewej) i po zdjęciu przemalowań (po prawej).

↦ Z inskrypcji na ramie ołtarza dowiadujemy się, że nastawa została odsłonięta 6 maja 1432 r., że ufundował ją Jodocus Vijd, namalowali zaś Hubert van Eyck, „którego nikt nie przewyższył" – i który rozpoczął dzieło – oraz „drugi w sztuce" jego brat Johannes, który je ukończył. Inskrypcja ta nie jest jednak oryginalna.

Na przestrzeni ostatnich dziesięcioleci pojawiło się wiele hipotez na jej temat. Jedni przyjmowali, że jest ona wiarygodna, inni, że to fałszerstwo. Próbowano ją także korygować, np. odczytując zajęcie Huberta nie jako malarza (łac. *pictor*), lecz rzeźbiarza (łac. *fictor*), który wykonać miałby niezachowane do dziś rzeźbione części nastawy. Przede wszystkim jednak problem w tym, że poza tą właśnie inskrypcją żadne z licznie zachowanych źródeł nie wskazuje, by Jan van Eyck miał starszego brata Huberta.

Jan od połowy lat 20. XV w. był nadwornym malarzem księcia Burgundii Filipa III Dobrego, jeździł nawet na zagraniczne delegacje – m.in. w latach 1428-29 do Portugalii, gdzie zdołano zaaranżować małżeństwo Filipa z Izabelą Portugalską, którą sportretował. Od 1430 r. Jan van Eyck pracował w Brugii, gdzie w 1432 r. kupił dom, a następnie się ożenił. Wiadomo, że miał młodszego brata Lamberta, ale o starszym Hubercie nie ma w źródłach ani słowa.

Tymczasem w Gandawie działał malarz Hubert, znany też jako Luberecht, Hubrecht czy też Lubrecht van Heycke, zmarły w 1426 r. Nie ma jednak podstaw, by uznawać go za starszego brata Jana. Zresztą „van Eyck" to nie tyle nazwisko, ile określenie miejsca urodzenia malarza (miejscowość Maaseik w Belgii?). Niejeden artysta mógł stamtąd pochodzić.

Biorąc pod uwagę choćby to, że działania fundacyjne Jodocusa Vijda ciągnęły się przez wiele lat, możemy podejrzewać, jak było: być może fundator zamówił dzieło w lokalnym warsztacie Huberta, gdzie zostało ono rozpoczęte.

Po śmierci mistrza w 1426 r. warsztat ten mógł niespiesznie kontynuować prace, do dokończenia zaś dzieło trafiło do pracowni Jana van Eycka. On jednak dopiero od 1430 r., czyli po powrocie z dyplomatycznych podróży, mógł się zająć ołtarzem osobiście.

Zapewne zadbał wówczas o ostateczną i w miarę jednolitą stylistykę nastawy. Ołtarz Gandawski byłby więc pracą zbiorową wielu malarzy, przewijających się na przestrzeni lat przez oba (?) warsztaty, a do ostatecznej formy doprowadzoną przez Jana van Eycka.

To mogłoby wyjaśniać, dlaczego z jednej strony dzieło zawiera dość dużo warstw malarskich, a z drugiej – całość jest stosunkowo spójna i nie da się w niej wyróżnić dwóch odrębnych manier poszczególnych mistrzów. Ale czy tak rzeczywiście było? Być może odpowiedź poznamy, gdy skończą się prace konserwatorskie.

WIKIMEDIA COMMONS

DOLNE KWATERY skrzydeł Ołtarza Gandawskiego po jego zamknięciu ukazują postacie fundatorów: to Joost Vijdt i jego żona Lysbette Borluut, modlący się do figur świętych Jana Chrzciciela i Jana Ewangelisty.

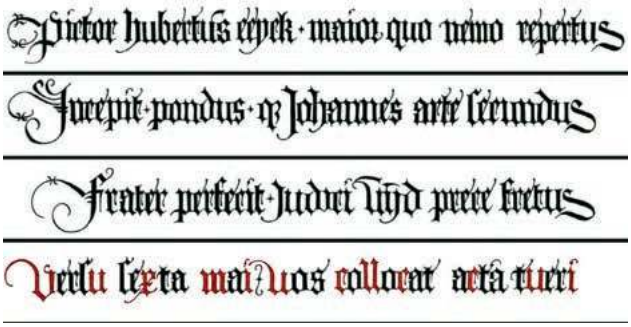

© LUKASWEB.BE-ART IN FLANDERS VZW; FOTO KIK-IRPA

NA RAMIE REWERSÓW skrzydeł Ołtarza, pod postaciami fundatorów i świętych Janów, widnieje napis zawierający informacje o wykonaniu nastawy. Data roczna jest ujęta w formie chronogramu: wyróżnione kolorystycznie litery należy odczytać jako cyfry rzymskie, a ich suma to 1432.

Dlaczego jednak nowożytna inskrypcja opisuje Huberta jako brata Jana, a w dodatku sugeruje, że to Hubert był najdoskonalszym z malarzy? Najprawdopodobniej mamy po prostu do czynienia z... propagandą kulturową. Napis mógł powstać po połowie XVI w., gdy Gandawa podupadła, a konkurując z innymi ośrodkami artystycznymi, usiłowała stworzyć sobie wizerunkową legendę o dawnym, otoczonym kultem mistrzu. Jak zauważył prof. Antoni Ziemba w swym opracowaniu sztuki Burgundii i Niderlandów (1380–1500), właśnie wtedy gandawscy pisarze nagle wydobyli Huberta z archiwów, pisząc o nim jako o niedoścignionym malarzu i chlubie miasta. To Hubert miałby być starszym bratem i mentorem wielkiego Jana – podziwianego przez wielu współczesnych i, nawiasem mówiąc, powszechnie znanego jako Jan z Brugii.

Co ciekawe, to właśnie wówczas miał również zostać „poprawiony" nasz kontrowersyjny Baranek, a także inne partie środkowej części ołtarza – konserwatorzy ocenili, że ok. 45 proc. powierzchni tablicy z Adoracją Baranka Mistycznego zostało pokryte przemalowaniami w połowie XVI w.

Mit 3: renesansowe, czyli jak żywe

Komentarze w mediach społecznościowych wokół efektów konserwacji Baranka świadczą, że dla współczesnego odbiorcy pogorszyła ona jakość artystyczną dzieła. Baranek w wersji przemalowanej w XVI w. jawi się jako „lepszy". Jest niewątpliwie bardziej realistyczny – po prostu wygląda jak baran.

Przywykliśmy zakładać, że miarą umiejętności artysty jest to, na ile wiernie potrafi on odtworzyć rzeczywistość. Stąd teraz pełne zaskoczenia komentarze w rodzaju: „chyba Jan van Eyck nigdy nie widział, jak wygląda owca!".

Niewykluczone, że również XVI-wieczni odbiorcy uznali, iż Baranek się mistrzowi nie udał. Przemalowanie tej – jak by nie patrzeć, kluczowej – części nastawy zbiega się z kreowaniem kultu wspaniałego gandawskiego malarza Huberta. Być może dla lepszego efektu propagandowego nie tylko dodano wówczas napis na ramie, ale także poprawiono elementy, które ówczesnym wydały się za mało mistrzowskie.

Tymczasem na sztukę niderlandzką wieku XV trzeba patrzeć pod nieco innym kątem. Tu z miejsca pojawia się problem współczesnych klasyfikacji: badacze z kręgów anglosaskich określają to malarstwo mianem *Northern Renaissance* (północny renesans), podczas gdy m.in. u nas jest ono raczej obiektem badań mediewistów. Skąd ta rozbieżność? Wiek XV trudno zaszufladkować: w Italii w jego pierwszych latach umownie rodzi się renesans, z kolei na północ od Alp jeszcze przez ponad sto lat będzie rozkwitać gotyk. A jednak, jeżeli za cechę „renesansową" uznamy iluzjonistyczne odtwarzanie elementów rzeczywistości, to mistrzowie niderlandzcy pierwszej połowy XV w. byli w tym lepsi niż ich włoscy koledzy.

Drobiazgowy realizm obrazów niderlandzkich, szeroko podziwiany już w owym stuleciu, łączył się z zastosowaniem techniki olejnej. W wieku XVI Giorgio Vasari spopularyzował legendę, jakoby malarstwo olejne wynalazł właśnie Jan van Eyck. Nie jest to prawdą, choć w latach 60. XV w. to faktycznie malarze z Północy słynęli w Italii jako specjaliści od tej techniki. W rzeczywistości przedstawiciele wczesnego malarstwa niderlandzkiego (van Eyck, Petrus Christus, Mistrz z Flémalle) stosowali technikę mieszaną, kładąc olejne warstwy na podkład z tempery, czyli średniowiecznej, gęstej farby, której spoiwem najczęściej były jajka.

Tak czy inaczej, pojawienie się farb o spoiwie olejnym, znacznie szybciej schnących i w odróżnieniu od tempery pozwalających nakładać wiele półprzezroczystych warstw, czyli laserunków, zrewolucjonizowało malarstwo europejskie. Malarze niderlandzcy wykorzystywali możliwości farb olejnych ↦

DETAL ze środkowej części Tryptyku Mérode, Mistrz z Flémalle, ok. 1430, Metropolitan Museum of Art w Nowym Jorku.

ZWIASTOWANIE: środkowa część Tryptyku Mérode. Stół, z nadmiernie wyeksponowanym blatem, pozornie zaburza kompozycję.

WIKIMEDIA COMMONS X2

↦ do niesłychanie precyzyjnego odtwarzania detali. Stąd w ich dziełach odnajdziemy niemal fotograficznie odwzorowane włosy, klejnoty, szklane i metalowe naczynia, tkaniny albo zmarszczki i żyłki na ciałach postaci.

To jednak wcale nie oznacza, że iluzjonistyczne odtwarzanie rzeczywistości było ich priorytetem.

Sztukę średniowieczną nazywa się w podręcznikach teocentryczną. To duże uproszczenie, ale rzeczywiście dla średniowiecznego artysty – czy może raczej dla finansującego go fundatora – kluczowy był symboliczny przekaz dzieła. I właśnie ta „średniowieczna" cecha jest bardzo czytelna w wielu dziełach niderlandzkich malarzy XV stulecia.

Znakomitym przykładem może być środkowa część Tryptyku Mérode Mistrza z Flémalle: wnętrze, w którym wydarza się Zwiastowanie, wydaje się ukazane nieporadnie i niepoprawnie. A zatem, wedle powszechnego mniemania, „średniowiecznie".

Ale spróbujmy sobie wyobrazić to wnętrze bez... stołu.

Sama architektura, jakkolwiek wykreślona intuicyjnie, zachowuje pewną logikę ujęcia głębi. To właśnie stół, z nadmiernie wyeksponowanym blatem, psuje kompozycję. Lecz wszystko wskazuje na to, że to nie błąd artysty, lecz jego świadoma decyzja: symbolika przedmiotów ukazanych na stole tworzy teologiczny komentarz do sceny Zwiastowania, a dzięki niepoprawnemu ujęciu stołu zawartość blatu najbardziej rzuca się w oczy. W ten sposób artysta pokazuje widzom, na co powinni zwracać uwagę, odczytując treść dzieła. Owszem, detale tego obrazu są bardzo realistyczne, ale całość realistyczna już nie jest. Przekaz teologiczny ma pierwszeństwo.

Podobnie w przypadku Ołtarza Gandawskiego: Baranek po konserwacji może nie przypominać prawdziwego zwierzęcia, ale to przecież nie jest zwykły baran. W środkowej części ołtarza znajduje się Baranek Boży, czyli Chrystus. Jego spojrzenie oddano więc jak ludzkie, przez zaburzenie proporcji zaś pysk przypomina twarz. A kiedy zwracamy się z modlitwą do postaci na ołtarzu, to chcemy z nią nawiązać kontakt wzrokowy.

To nie Jan van Eyck nie wiedział, jak wygląda owca. To my dzisiaj nie potrafimy odczytać symbolicznych treści w XV-wiecznym obrazie.

© MAGDALENA ŁANUSZKA

Autorka jest doktorem historii sztuki, mediewistką. Prowadziła badania m.in. dla University of Glasgow i Polskiej Akademii Umiejętności, obecnie w Międzynarodowym Centrum Kultury w Krakowie administruje serwisem Art and Heritage in Central Europe. Prowadzi blog o poszukiwaniu ciekawostek w sztuce www.posztukiwania.pl.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

„Książki w Tygodniku" pozbawione dotacji MKiDN

MAGAZYN POWRACA

Mimo braku dotacji z MKiDN „Książki w Tygodniku" wracają na łamy! Nowe otwarcie
– nowe oferty
– nowe możliwości.

Zapraszamy Wydawców do kontaktu:
reklama@tygodnik.com.pl
tel. 12 422 05 70

SYBERYJSKI ZŁOTY POCIĄG

Latem 1918 r. Czesi i Słowacy zajęli wielkie połacie Syberii, likwidując tam władzę bolszewików. Epopeja Korpusu Czechosłowackiego zapisała się też w polskiej historii.

TOMASZ TARGAŃSKI

Gdy I wojna światowa zmierzała ku końcowi, w Rosji zaczynała się nowa nawałnica. Naprzeciw słabej jeszcze władzy bolszewików stanęły rozproszone siły dawnych carskich generałów, zwanych „białymi". Rolę języczka u wagi mogli spełnić przebywający w Rosji jeńcy wojenni: setki tysięcy mężczyzn z armii austro-węgierskiej i niemieckiej reprezentowały wszystkie narodowości Europy Środkowej. Żadna z nich nie zdołała wyrwać się z panującego wokół chaosu w sposób tak spektakularny – i jednocześnie dać się we znaki obu walczącym stronom tak mocno – jak Czesi i Słowacy.

Do Rosji trafili z armii cesarsko-królewskiej jako jeńcy. Pod koniec I wojny światowej na terenie Rosji mogło przebywać niemal 2 mln poddanych Karola I Habsburga, który w listopadzie 1916 r. został cesarzem Austrii i królem Węgier jako następca Franciszka Józefa. Wśród nich było ok. 200 tys. Czechów i Słowaków (teren obecnych Czech należał wtedy do Austrii, a Słowacji do Królestwa Węgier). Część słowiańskich narodów składających się na c.k. monarchię nadal postrzegała Rosję jako rzeczniczkę swych interesów. Na tej płaszczyźnie doszło najpierw do sformowania czeskiej brygady, która latem 1917 r. wzięła nawet udział w rosyjskiej ofensywie na froncie.

„Czerwoni" kontra Korpus

Upadek caratu w wyniku rewolucji lutowej 1917 r., a kilka miesięcy potem bolszewicki przewrót zastały brygadę na Ukrainie. Sytuacja polityczna była niestabilna, a końcowy efekt zaczynającej się wojny (zwanej niezbyt precyzyjnie domową, bo toczyła się także na froncie bolszewicko-ukraińskim czy bolszewicko-fińskim) był niewiadomą. Głównym zmartwieniem jeńców było zaś jedno: nie zginąć i wrócić do domu.

Czesi i Słowacy musieli w jakiś sposób określić swój stosunek wobec „białych" i „czerwonych". Równocześnie władze alianckie, szczególnie Wielka Brytania i Francja, naciskały na czeskich polityków aktywnych na Zachodzie, by ich wojska w Rosji zaangażowały się po stronie sił antybolszewickich. W efekcie utworzenie w grudniu 1917 r. Korpusu Czechosłowackiego związane było z działaniami, jakie czeski mąż stanu Tomáš Masaryk podjął we Francji. Za jego sprawą państwa ententy uznały przebywające w Rosji wojska czesko-słowackie za integralną część Armii Czechosłowackiej we Francji. Uznawany przez aliantów za głowę przyszłego czeskiego państwa, Masaryk zdawał sobie sprawę, że szanse na niepodległość wzrosną, jeśli jego rodacy wspomogą państwa zachodnie w walce z bolszewikami.

Stosunek bolszewików do stacjonującego pod ich bokiem zgrupowania wojsk, którego celów nie byli pewni, cechowała nieufność. Do przesilenia doszło wiosną 1918 r., gdy bolszewicy – naruszając wcześniejszą umowę – próbowali rozbroić żołnierzy Korpusu i nie dopuścić do jego ewakuacji z Rosji. Starcia z Armią Czerwoną doprowadziły w końcu do wydania przez Lwa Trockiego, komisarza ds. wojskowych, rozkazu z 25 maja 1918 r., który nakazywał rozstrzelanie każdego uzbrojonego Czecha i Słowaka.

Ekspres transsyberyjski

Tymczasem Korpus Czechosłowacki rozrósł się i reprezentował sporą siłę: składał się z trzech dywizji piechoty, pułku kawalerii i liczył łącznie 40 tys. żołnierzy. Towarzyszyło mu kilka, może nawet kilkanaście tysięcy cywilów.

WIKIPEDIA.ORG

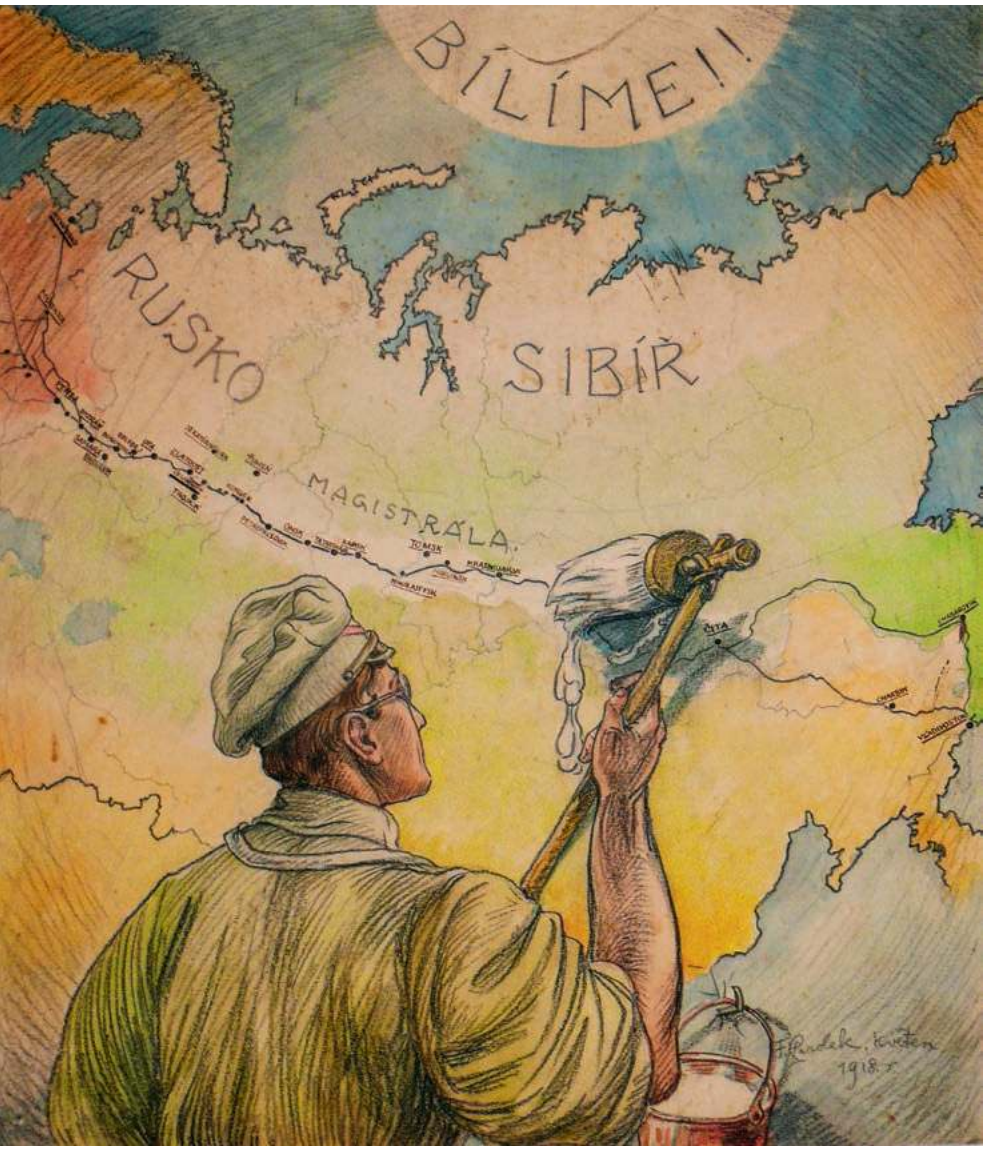

FRANTIŠEK PAROLEK / WIKIPEDIA.ORG

Plakat Františka Parolka z maja 1918 r. „Bílíme!!" („Wybielamy!"), wzywający czechosłowackie legiony do usunięcia „czerwonych" z trasy kolei transsyberyjskiej.

Po lewej stronie: czechosłowacki oddział we Władywostoku, 1918 r.

Po zerwaniu z bolszewikami Czesi zaczęli przemieszczać się na wschód – w nadziei, że nawiążą kontakt z zachodnimi aliantami, interweniującymi w kilku miejscach Rosji po stronie „białych". Żołnierze Korpusu nie zamierzali ginąć za sprawę „białych" – chcieli jak najszybciej dostać się do Władywostoku, by stąd odpłynąć do Europy. Powód, dla którego nie wybrali drogi na zachód, był prosty: musieliby przejść przez tereny kontrolowane przez armię niemiecką i austro-węgierską – podczas gdy z punktu widzenia obu tych państw byli teraz zdrajcami.

Przemożna chęć powrotu do domu tkwiła też u źródeł narastającego napięcia między żołnierzami i dowództwem. Decydenci polityczni chcieli zgromadzić pod swoimi rozkazami jak najwięcej ludzi, by umocnić własną pozycję w oczach aliantów. Z kolei szeregowi żołnierze, w Rosji *de iure* jeńcy – w myśl zawartego w lutym 1918 r. pokoju brzeskiego – mieli prawo wracać do domu nie niepokojeni przez rząd bolszewicki. Dlatego zarówno w przypadku Korpusu Czechosłowackiego, jak też formowanych w różnych rejonach Rosji wojsk polskich delegaci werbunkowi nieraz uciekali się do przymusu, a wobec oficerów stosowano moralną presję.

Główną areną działań Korpusu stała się więc Syberia, przez którą wiodła trasa kolejowa na wschód. W początkach 1918 r. był to obszar w miarę spokojny. W miastach powoli władzę przejmowali bolszewicy, którzy skupiali się na zwalczaniu wszelkiego oporu.

Warunkiem zapewniającym kontrolę nad Syberią było opanowanie liczącej tysiące kilometrów transsyberyjskiej magistrali kolejowej, wiodącej od Wołgi aż po Władywostok. Magistrala była też jedyną nadzieją dla szukających drogi ewakuacyjnej Czechów. Wczesnym latem 1918 r. opanowali oni większość głównych węzłów kolejowych na tej trasie, zdobywając dużą część taboru kolejowego, w tym kilka pociągów pancernych.

Bitwa na Bajkale

W kilka miesięcy za sprawą Korpusu władza bolszewicka dosłownie wyparowała z wielkich obszarów Syberii. Jej miejsce szybko zajmowali „biali" generałowie, którzy szukali sposobu na porozumienie z Czechami.

Szczyt militarnego powodzenia Korpusu nastąpił 7 sierpnia 1918 r. wraz z opanowaniem Kazania. Stąd jego wojska ruszyły dalej na wschód, zdobywając Symbirsk i Samarę. Ciężkie walki toczyły się w rejonie jeziora Bajkał. Ze względu na fakt, że linia kolejowa i znajdujące się tunele zostały przez bolszewików zajęte i przygotowane do wysadzenia, czescy i słowaccy żołnierze postanowili obejść ich pozycje, wykorzystując do tego Bajkał. Mając do dyspozycji kilka zdobycznych i naprędce uzbrojonych parowców i transportowców, wydali bolszewikom bitwę morską. „Czerwona" flota dysponowała m.in. uzbrojonymi lodołamaczami i kilkoma motorówkami. Zwycięskie dla Czechów starcie można uznać za pierwszy akord w dziejach formalnie nieistniejącej jeszcze czechosłowackiej marynarki wojennej.

Świadectwem sprawności Korpusu może być relacja Jana Starościaka, byłego żołnierza armii austro-węgierskiej, który był świadkiem zdobycia Czelabińska: „Czesi cichaczem opuścili wagony i ze swą przednią strażą stanowiących przeszło 800 dobrze uzbrojonych ludzi obeszli miasto i połączywszy się z białą gwardią, runęli całą lawiną na nic nieprzeczuwającą załogę bolszewicką". Inna sprawa, że Armia Czerwona dopiero się organizowała, a im dalej od Moskwy, ↦

↦ tym bardziej przypominała pospolite ruszenie.

Zdradzony Kołczak

W trakcie ataku na Kazań doszło do najbardziej kontrowersyjnego epizodu w epopei Korpusu. W zdobytym mieście przejęto ogromne rezerwy złota, zdeponowane w Banku Rosji. Wedle różnych szacunków było tego ok. 600 ton złota, plus 500 ton srebra.

Początkowo Czesi i Słowacy przekazali zdobycz pod opiekę rządu, jaki na Syberii organizował „biały" admirał Aleksander Kołczak. Dzięki niemu mógł on zapłacić zaopatrującym go aliantom za broń i wyposażenie. Jesienią 1919 r., gdy Armia Czerwona zaczęła wypierać „białe" wojska z kolejnych prowincji, i także Kołczaka spychała coraz bardziej za Ural, admirał zdecydował o wysłaniu skarbu do Władywostoku. Złoto trzeba było transportować koleją transsyberyjską kontrolowaną przez Czechów. Cenny depozyt załadowano w 29 wagonów i złoty pociąg ruszył z Omska na wschód.

Na nieszczęście dla Kołczaka żołnierze Korpusu stracili przekonanie do walki za jego sprawę. Sojusz z „białymi" zawsze widzieli jako środek do celu, którym był powrót do domu. Także współpraca z wojskami Kołczaka była coraz trudniejsza, narastały pretensje na tle zaopatrzenia. Jeden z oficerów sztabowych Korpusu we wspomnieniach tak opisał nastroje wśród swoich kolegów: „Widzieliśmy chłopów w polu i byłych oficerów carskich na tyłach chodzących w naszych mundurach i jedzących nasze konserwy, kiedy my walczyliśmy w podartych mundurach i z pustymi żołądkami za carską Rosję".

W styczniu 1920 r. pod Irkuckiem Korpus Czechosłowacki porozumiał się z miejscowym komitetem bolszewickim i zdradził Kołczaka: w zamian za wydanie „czerwonym" admirała i złota, uzyskał ich zgodę na wolny przejazd do Władywostoku (plus 30 wagonów węgla – paliwa dla lokomotyw). Kołczak został natychmiast rozstrzelany przez bolszewików, a kwestia, ile złota Czesi i Słowacy im wydali, a ile „zaginęło", do dziś budzi dyskusje. Pojawiały się relacje naocznych rzekomo świadków, którzy widzieli zakopywane w tajdze skrzynie. Los skarbu stał się pożywką dla różnych teorii; jedna mówi, że niedobitki „białych" próbowały pociągiem przewieźć złoto przez Bajkał. Aby to zrobić, mieli ułożyć na zamarzniętym jeziorze szyny, ale lód nie wytrzymał i wszystko poszło na dno. W każdym razie skarbu szukano długo po wojnie.

Współpraca z żołnierzami czeskimi i słowackimi nie była łatwa. Zarzucano im „ultra-moskalofilstwo", wypominano spór o Śląsk. **Ale Polacy spierali się też między sobą.**

Bez względu na losy złota Czesi i Słowacy musieli przede wszystkim zadbać o ewakuację. Dotarłszy do Władywostoku, Korpus rozrósł się już do 70 tys. ludzi. Nie wszyscy nosili mundury – część to były kobiety i dzieci, efekt kilkuletniej niewoli z dala od domu i nowych związków. Ostatecznie, w styczniu i lutym 1920 r., amerykańskie i japońskie statki przetransportowały ostatnich żołnierzy Korpusu i towarzyszących im cywilów do Europy.

Polska dywizja

Wojenne ścieżki Czechów i Słowaków w Rosji związane są również z losami Polaków. Równolegle z tworzeniem Korpusu Czechosłowackiego na wschodzie powstawały zręby formacji polskich. Ich bazę rekrutacyjną stanowili jeńcy, Polacy-ochotnicy mieszkający w Rosji (dotąd nieobjęci poborem), a także byli oficerowie armii carskiej pochodzenia polskiego. W sierpniu 1918 r. w Omsku powołano Polski Komitet Wojenny zajmujący się werbunkiem ochotników. Akcją kierował major Walerian Czuma, weteran II Brygady Legionów.

Takie były początki 5. Dywizji Strzelców Polskich na Syberii, która formalnie została podporządkowana Armii Polskiej we Francji (wedle podobnego mechanizmu co Korpus Czechosłowacki). Na początku 1919 r. liczyła ona już 11 tys. żołnierzy. Dywizja z miejsca przystąpiła do walki z bolszewikami, wspomagając wojska Kołczaka. Kluczowym zadaniem Polaków była współpraca z Korpusem Czechosłowackim w celu ochrony kolei transsyberyjskiej. Wykorzystując cztery pociągi pancerne – „Kraków", „Warszawa", „Poznań" i „Poznań II" – żołnierze Czumy prowadzili walki z Armią Czerwoną, jednocześnie pełnili rolę straży tylnej wojsk czesko-słowackich.

Ale stosunki między sojusznikami od początku były napięte. Roman Dyboski, uczestnik tamtych wypadków i potem autor wspomnień „Siedem lat w Rosji i na Syberii 1915–1921", pisał: „Głęboka różnica charakterów narodowych, głucha niechęć między Polakami a Czechami w niewoli, wynikająca z ultra-moskalofilstwa Czechów, wreszcie echa zatargów w Europie o Śląsk – wszystko to zatruwało atmosferę między formacjami wojskowymi".

Żołnierzom tworzącym polską dywizję daleko było też do wewnętrznej spójności. Kością niezgody była kwestia, czy przedzierać się do Polski. Dawni oficerowie z armii carskiej nad ewakuację przedkładali walkę z bolszewikami. Dyboski pisał: „Polski niektórzy z nich wcale nie widzieli i z ziemią rosyjską lub nawet z Syberią byli związani przez stosunki rodzinne, majątkowe i przyzwyczajenia całego życia". Z kolei część żołnierzy, dawnych c.k. jeńców, miała dość wojny i chciała tylko przeżyć – ich wartość bojowa była nikła.

Wrócili nieliczni

Dramatyczny koniec dywizji nastąpił w styczniu 1920 r. na stacji kolejowej Klukwiennaja koło Krasnojarska. Magistrala była zablokowana przez kilkanaście czeskich pociągów oraz transporty łotewskie. Czesi, którzy byli już po porozumieniu z „czerwonymi", nie spieszyli się, by umożliwić Polakom ewakuację. W odczuciu wielu żołnierzy dywizji zostali oni zdradzeni przez czeskich i słowackich sojuszników.

Wobec zbliżających się sił bolszewickich i braku możliwości kontynuowania walki dowództwo dywizji podjęło decyzję o kapitulacji przed Armią Czerwoną. Ale wtedy w szeregach nastąpił rozłam: część żołnierzy odmówiła złożenia broni i po utworzeniu kilku grup, razem z rozbitkami „białych", dotarli do Irkucka, a później do Harbinu. Los tych, którzy trafili do bolszewickiej niewoli, był tragiczny: obozy jenieckie były w istocie obozami pracy przymusowej, a śmiertelność w nich – ogromna.

Inaczej niż w przypadku Korpusu Czechosłowackiego, tylko nielicznym żołnierzom Dywizji Syberyjskiej dane było wrócić do Polski – czasem nawet długo po tym, jak Warszawa i Moskwa w 1921 r. podpisały pokój. © TOMASZ TARGAŃSKI

Linia brzegowa Morza Martwego w okolicach Ein Gedi, Izrael. Linie wskazują dawny poziom wody. Pośrodku zdjęcia widać leje krasowe.

GUNDI SHANCHAL

MARTWE MORZE

Poziom wód Morza Martwego waha się jeszcze dramatyczniej niż atmosfera polityczna w regionie. Co gorsza, te dwa układy są ze sobą silnie sprzężone.

JAKUB MEJER Z JORDANII

Jeszcze kilkanaście lat temu klienci jordańskiego Dead Sea Spa Hotel, położonego na brzegu Morza Martwego, mogli jednym krokiem przeskoczyć ze słodkowodnych basenów do jeziora, gdzie w każdym litrze wody są 342 gramy soli. Dzisiaj, aby tego dokonać, muszą przejść ponad sto metrów po ostrych jak żyletka kryształach soli (dlatego każdy przewodnik turystyczny zaleca odwiedzającym kupno butów do wody) mijając kolejne tabliczki z napisami „Tu morze znajdowało się w roku...".

– Morze Martwe obniża się o ponad metr na rok, głównie z powodu pobierania słodkiej wody z wszystkich zasilających rzek, szczególnie Jordanu, przez wszystkie kraje w jego zlewisku – mówi prof. Mordechai Stein z Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie.

Goście w Jordanii i tak są w lepszej sytuacji niż ci na drugim brzegu. Z restauracji i sklepów z pamiątkami powstałych pod koniec lat 80. XX w. w izraelskim parku narodowym Ein Gedi nad brzegiem morza do wody są teraz ponad dwa kilometry, które turyści pokonywali specjalną „kolejką" (w rzeczywistości traktorem ciągnącym wagoniki), również mijając znaki oznaczające dawną linię brzegową. W 2015 r., z powodu dużej liczby lejów krasowych, plaża została zamknięta.

Język, sól i chaos

Wiele danych dotyczących Morza Martwego zmienia się tak szybko, że artykuły naukowe są nieaktualne już w momencie publikacji.

↦ – Według najnowszych pomiarów jezioro znajduje się na poziomie 432,5 m p.p.m. Oznacza to, że według naszych danych ma 612 kilometrów kwadratowych powierzchni – mówi Ittai Gavrieli z Geological Survey of Israel. Obecnie dzieli się na północną nieckę głęboką na ok. 300 m (jej dno w najgłębszym miejscu ma ok. 730 m p.p.m.) i południową, o głębokości nie większej niż 10 m, która obecnie jest sztucznie podtrzymywana przy istnieniu (naturalnie wyschła w latach 70.) i wykorzystywana przez dwie ogromne firmy chemiczne – Dead Sea Works po stronie izraelskiej oraz Arab Potash po jordańskiej. Oddzielone są półwyspem Lisan (arab. „język"). Woda na północy jest bogata w chlorek wapnia i gips, a halit (czyli sól kuchenna) od 1983 r. wytrąca się z niej w mniej więcej stałym tempie 10 cm na rok. W zakładach na południu woda jest pozbawiana karnalitu, halitu i siarczków, a pozostałość pompuje się ponownie na północ.

Izraelskie Służby Hydrologiczne szacują, że poziom wody w Morzu Martwym spada średnio o 10-12 cm miesięcznie, a naukowcy w ostatnich latach podają liczby od kilkudziesięciu centymetrów do ponad dwóch metrów rocznie. Ponadto wzrasta zasolenie wody (według Banku Światowego o 0,3 gr na litr rocznie) i temperatura wody (o 0,3 st. Celsjusza rocznie).

– Przed interwencją ludzi Morze Martwe rosło i kurczyło się w zależności od warunków hydroklimatycznych w zlewisku – mówi prof. Stein.

Wody Morza Śródziemnego dostały się na tereny dolin Jordanu i Aravy ok. 2,6 mln lat temu, tworząc lagunę Sedom. Wytworzyło się z niej jezioro Lisan, w szczytowym okresie rozciągające się od współczesnego Jeziora Tyberiadzkiego aż do wsi Chacewa, 30 km na południe od obecnych brzegów Morza Martwego.

– Pomiędzy 27 a 24 tys. lat temu poziom jeziora osiągnął 170 m p.p.m., czyli 250 metrów wyżej niż obecnie, i rozlało się ono na całą dolinę rzeki Jordan – mówi Stein.

Bywało też, że poziom wody był jeszcze niższy niż obecnie. W 2010 r. zespół naukowców pod kierownictwem Yael Kiro z Uniwersytetu Columbia wwiercił się ponad 400 metrów pod dno jeziora. Analiza rdzeni pokazała, że 120 tys. lat temu tafla jeziora znajdowała się 475 m p.p.m., a 10 tys. lat temu 490 m p.p.m. Miało to miejsce w okresach interglacjalnych, gdy jezioro przez tysiąclecia otrzymywało o ponad połowę mniej wody niż na początku XX w. Morze Martwe nigdy jednak nie zniknęło.

70 lat temu Jordan dostarczał Morzu Martwemu 1,3 mld m^3 wody. **Dziś jej 96 proc. jest przekierowane.**

Z badań geologa Revitala Bookmana wynika, że przez ostatnie 4 tys. lat poziom wody wahał się głównie w granicach od 390 do 415 m p.p.m. (najczęściej powyżej 402 m, co ograniczało jezioro tylko do północnej niecki). Świadczą o tym znaleziska archeologiczne, ale też dowody pisemne – m.in. bitwy Króla Dawida w Dolinie Soli opisane w Drugiej Księdze Samuela i rozmiary Morza Martwego podane przez Józefa Flawiusza w „Wojnie żydowskiej". Największe wahania związane są z działalnością człowieka : wzrosty poziomu wody przypadają na rozwój kultur rzymskiej (II/I w. p.n.e.), bizantyjskiej (IV w. n.e.) i krucjaty (XI/XII w.), a jej spadek na okres podbojów muzułmańskich (V-IX w.).

Eldorado i dziury w drogach

Pod koniec XIX w. nastąpił ostatni do tej pory moment wzrostu poziomu wody (do 390 m p.p.m.), całkowicie zalane zostały tereny oddzielające obie niecki. I chociaż minerały z Morza Martwego były używane już od czasów starożytnych Egipcjan (wykorzystywali je do mumifikacji), to właśnie wtedy pojawił się pomysł ich wykorzystania na skalę przemysłową. „To nasze Eldorado" – miał wykrzyknąć gen. Edmund Allenby, gdy po podbiciu Palestyny w 1918 r. naukowcy stwierdzili, że jezioro zawiera minerały o wartości 1,2 biliona dolarów. W 1930 r. powstała, początkowo jako spółka prywatna, Palestine Potash Company, która wybudowała pierwsze zbiorniki ewaporacyjne w południowej niecce. Opisując pierwsze eksperymentalne wydobycia potażu (czyli zawierających potas minerałów stosowanych powszechnie w nawozach i kosmetykach), magazyn „Popular Mechanics" przewidywał, że region zamieni się w „mlekiem i miodem płynący".

Historia chciała inaczej. Po wojnie w 1948 r. wschodnie zbiorniki ewaporacyjne stały się częścią Jordanii. Firma została znacjonalizowana w 1951 r., a dwa lata później zmieniła nazwę na Dead Sea Works. Obecnie jest spółką zależną Israel Chemicals, należącego do państwa największego producenta bromków i szóstego producenta potażu na świecie. Po jordańskiej stronie prace wznowiono w 1983 r. – obecnie to ósmy producent potażu na świecie. 23 lipca Chiny kupiły za ponad pół miliarda dolarów 28 proc. spółki, stając się jej największym udziałowcem.

W latach 50. do Morza Martwego wpływało ok. 1,6-2 mld metrów sześciennych wody. Wiele hektarów pól uprawnych, kilka elektrowni, oraz wojen o wodę później liczba ta zmniejszyła się do ok. 300 mln. W 1920 r. w Mandacie Palestyny i Transjordanii mieszkało 900 tys. ludzi, zależnych od wody wpływającej do Morza Martwego. Obecnie w Izraelu, Jordanii i Zachodnim Brzegu Jordanu mieszka ponad 20 mln osób, a wody rzek Jordan i Jarmuk wykorzystuje też Syria. Mira Edelstein z organizacji EcoPeace szacowała na łamach „Times of Israel", że za spadek poziomu wody w Morzu Martwym w 60 proc. odpowiada mniej wody wpływającej z rzeki Jordan, a w 40 proc. działalność przemysłowa na południu.

– 70 lat temu rzeka Jordan dostarczała Morzu Martwemu 1,3 mld metrów sześciennych wody. Obecnie 96 proc. tej wody jest przekierowane, a to, co wpływa, jest słone i zanieczyszczone – mówi Eshak Al-Guza, koordynator projektu w EcoPeace.

Od 1979 r. północną nieckę od południowej ponownie oddziela pas lądu. Do lat 80. wody w północnej niecce były rozwarstwione. Na głębokości 70 metrów zaczynały się nasycone solami i gęstsze wody, prawdopodobnie reliktowe, od wieków niemające kontaktu z atmosferą. Wyżej znajdowały się mniej słone wody pochodzące m.in. z rzek i opadów. Obecnie wczesną zimą wody jeziora się mieszają. Sprawia to, że nienasycone solami wody zaczęły docierać głębiej, wypłukując bezpieczne do tej pory warstwy soli. Spadek poziomu wód gruntowych powoduje, że słodka woda wypłukuje sole, a to właśnie tworzy leje krasowe. Naprężenia, które rosną wraz ze spadkiem poziomu Morza, wywołują uskoki, którymi woda dociera do warstw soli, omijając warstwy półprzepuszczalne (skały osadowe, glina) i zapadnięcia osadów, które znajdują się nad ubytkami. Proces ten przypomina wypłukiwanie związków wapnia ze skał podziemnych, prowadzące do powstawania

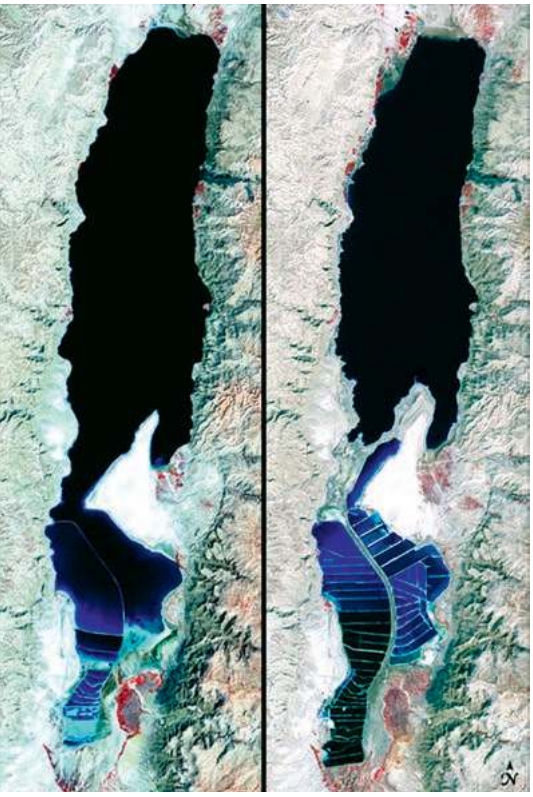

NASA.ORG

Morze Martwe widziane z satelity w odstępie 40 lat. W południowej niecce widać rozwój przemysłowych zbiorników ewaporacyjnych.

jaskiń, i takież są jego skutki dla najbliższych okolic Morza Martwego.

Pierwsze leje krasowe zaobserwowano w latach 80., a powszechnym widokiem stały się na początku XXI w. Obecnie jest ich ponad 6 tys. na samym zachodnim brzegu (na wschodnim jest ich dziesięć razy mniej, od lat nie widziano nowych).

– Zachodni brzeg jest mniej stromy, zgromadził więcej osadów, w tym warstw soli, które odpowiadają za rozwój lejów krasowych. Wschodni brzeg jest bardzo stromy, na podłożu skalnym jest mniej osadu – tłumaczy Ittai Gavrieli.

Kolejne leje powstają praktycznie codziennie. Zamykane są drogi, w 2014 r. opuszczono jedyną w okolicy Ein Gedi stację benzynową, a zbudowany niedawno za równowartość 50 mln zł most przestał być używany. Park narodowy, o ile w czasach świetności przyciągał 400 tys. spacerowiczów rocznie, to teraz tylko 6 tys., a mieszkające tam gazele mają coraz mniej przestrzeni. Kurczące się morze zagraża też żyjącym w nim unikatowym karpieńcom. „Czy musimy czekać na katastrofę, na przykład zamknięcie autostrady nr 90, które odetnie kibuc Ein Gedi od świata? Czy rząd zainteresuje się Morzem Martwym dopiero, gdy turyści nie będą mieli jak dojechać do Masady?" – pytał w styczniu na łamach „Times of Israel" Clive Lipchin, dyrektor Transgranicznego Centrum Zarządzania Wodą w Arava Institute.

Ratunek dyplomatyczny

Receptą na problemy ma być pomysł sięgający wieku XVII, czyli przekop do prawdziwego morza. W 1664 r. niemiecki jezuita Athanasius Kircher proponował sieć kanałów – w tym jeden prowadzący od Morza Martwego do Morza Czerwonego. „Popular Mechanics", opisując początki przemysłowego wykorzystania Morza Martwego w 1930 r., zwracał uwagę: „Człowiek zadecyduje o przyszłości Morza Martwego. Woda zostanie odciągnięta do zbiorników ewaporacyjnych, a tamy i systemy irygacyjne zmniejszą rzekę Jordan. Jedyną nadzieją na utrzymanie obecnego poziomu wody jest pomysł niemieckiego inżyniera łączący Morze Śródziemne z górną rzeką Jordan". W artykule opisano też marzenia o wielkiej elektrowni, która przy okazji zapewniłaby prąd elektryczny całej Palestynie i Turcji.

Pomysł przekopu powracał co jakiś czas, ale aby na poważnie ruszyły prace nad kanałem, poziom wody musiałby się obniżyć o ponad 40 m. W 2002 r. Jordania, Izrael i Autonomia Palestyńska podpisały porozumienie o przeprowadzeniu studium wykonalności. Bank Światowy uznał, że wstępny koszt budowy wyniesie 10 mld dolarów. W 2013 r. podpisano w tej sprawie memorandum, potem kolejne dokumenty. Prace nie ruszyły do dziś.

To projekt raczej polityczny niż ekologiczny. Dzięki porozumieniu handlowemu ma poprawić sytuację dyplomatyczną między Izraelem, Jordanią i Autonomią Palestyńską, jednocześnie zmniejszając problem dostępności wody. Izrael ma sprzedawać wodę dla północnej Jordanii z Jeziora Tyberiadzkiego, a Jordania – południowemu Izraelowi wodę z nowego zakładu odsalającego nad Morzem Czerwonym. Jednocześnie ma powstać długi na 227 km wodociąg (płynący po jordańskiej stronie), który ma pompować do Morza Martwego wodę z Morza Czerwonego oraz płyn pozostały po odsalaniu.

Małe, białe, czerwone

Politycy chwalą projekt, który ma być realizowany głównie za zachodnie pieniądze, wskazując, że wzmocnienie wymiany handlowej może uspokoić trudne relacje arabsko-żydowskie. Bardziej sceptyczni są jednak naukowcy, którzy zauważają, że woda w Morzu Martwym znacznie się różni od wody Morza Czerwonego. Jedna z teorii mówi, że po wlaniu bogatej w siarczki wody z południa mogą się wytrącić kryształy gipsu, pokrywając jezioro mleczną powłoką. Inna zakłada, że Morze Martwe zamieni się w kolejne Morze Czerwone (które kolor zawdzięcza algom). Nawet ekspertyza Banku Światowego zaznacza, że pompowanie dużej ilości wody może mieć „niespodziewane skutki".

– Nie ma jednoznacznych badań, które by wskazały, co się stanie. Są badania laboratoryjne, a to jest duży ekosystem, który może różnie zareagować – mówi Eshak Al-Guza.

W 2017 r. po kryzysie dyplomatycznym wywołanym zastrzeleniem dwóch Jordańczyków przez ochronę izraelskiej ambasady w Jordanii pojawiły się informacje, że Izrael wycofuje się z projektu. Wiosną tego roku rząd Jordanii zapewniał, że projekt ruszy nawet bez udziału Izraela. Od tego czasu przez kraj przetoczyła się fala protestów, do dymisji podał się premier, zmieniono też ministra ds. wody. Nie ma też nowych informacji o projekcie.

– Jestem przekonany, że to będzie oficjalna polityka ochrony Morza Martwego – uważa Al-Guza.

Jeśli nie, to – jak wynika z raportu Banku Światowego – do 2075 r. poziom wody spadnie do 490 m p.p.m.

– Morze Martwe będzie się kurczyć coraz wolniej. Nie zniknie, tylko ustabilizuje się na niższym poziomie – uważa prof. Yoseph Yechieli z Geological Survey of Israel. Do 2150 r. dojdzie do 550 m p.p.m. (czyli 120 m niżej niż obecnie).

– Jeśli przemysł zakończy swoją działalność, a warunki się nie zmienią, poziom wody się ustabilizuje między 500 a 550 m p.p.m. – uważa Ittai Gavrieli. Rząd Izraela właśnie rozpoczyna renegocjacje umowy z Dead Sea Works na wydobycie soli. Ma ona ograniczyć miejsce wydobycia i zużycie wody. Z nowszego badania zespołu pod kierownictwem Tami Zilberman z Geological Survey of Israel wynika natomiast, że poziom wody spadnie do 516-537 m p.p.m.

– Nie jest łatwo wysuszyć supersłone jezioro – mówi prof. Stein. © JAKUB MEJER

Autor jest dziennikarzem, byłym wolontariuszem w Jordanii.

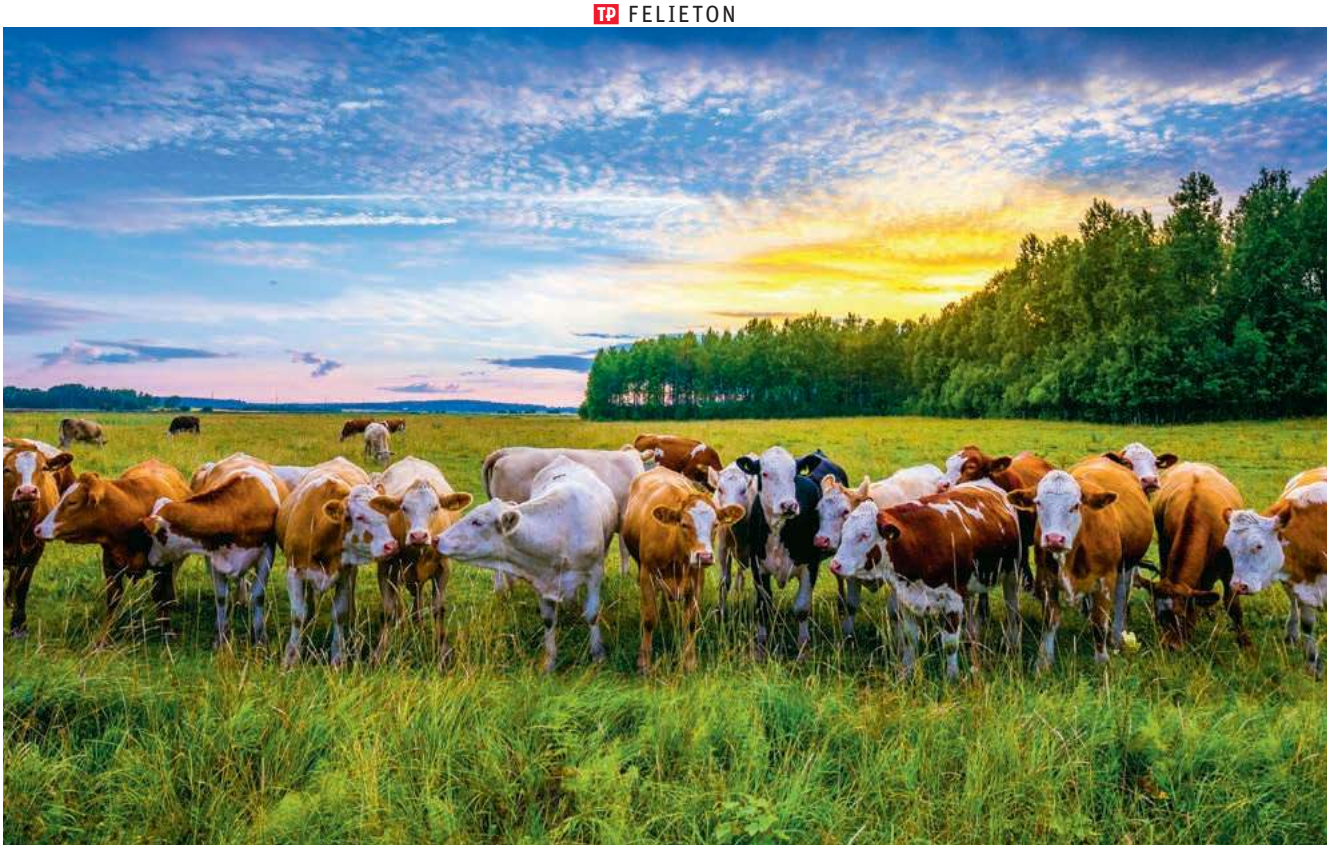

JONATAN RUNDBLAD / ADOBE STOCK

ANDRZEJ

Stasiuk:
Krowy

Któregoś lata pilnowałem krów w opustoszałej dolinie. Stado było poważne, bo czterdzieści sztuk rasy limousine. To bydło ma bardzo niezależny charakter. Pasie się niemal na dziko, nie przepada za oborą i nawet zimą, zamiast pod dachem, woli spędzać czas pod gołym niebem. Nie przejmuje się również ludzką władzą i właściciel opowiadał, że nieraz musiał po prostu uciekać przed niezadowolonym zwierzęciem. Nie przejmują się też wilkami. Zbijają się ciasno chroniąc w środku stada młode i drapieżniki nie mają żadnych szans przeciw tysiąckilowym rogatym cielskom.

NIESPECJALNIE IM SIĘ NARZUCAŁEM, WIEDZĄC O TYM WSZYSTKIM. Po prostu od czasu do czasu obchodziłem trzykilometrowego elektrycznego pastucha i sprawdzałem jego stan. W gruncie rzeczy ten pastuch też był symboliczny, bo cóż to jest dla limousine trochę prądu, króciutkie ukłucie, a potem zerwany drut i całkowita wolność w beskidzkich ostępach. Po prostu na razie miały dość trawy.

Na noc miałem namiot albo drewnianą pryczę pod prowizorycznym daszkiem, ale wolałem spać wśród nich. Czekałem, aż ułożą się o zmierzchu. Jedna, potem druga i w końcu wszystkie opadały ciężko po całym dniu i sadowiły swoje jasnorude ciała na ziemi. Bok w bok, łeb w łeb, ciasno. Zaczynały przeżuwać. Zawsze mnie zastanawiało, w jaki sposób godzą tę czynność ze snem. Czekałem, aż się całkiem uspokoją, potem brałem karimatę, śpiwór i kawałek starego tropiku. Powoli, ostrożnie układałem się pod zdziczałą jabłonią niedaleko nich. Może mnie nie stratują, pocieszałem się w duchu. Może się nie spłoszą. Przecież są odważne i nie boją się wilka. Spadała rosa i zasypiałem razem z nimi. Słyszałem, jak pracują ich wnętrzności. To było niskie, powolne, jakby podwodne i nieustępliwe. Wyobrażałem sobie, że zapadam w sen wśród stada wielorybów. Czułem ciepły zapach. Tak było od tysiącleci: układały się wieczorem i zamieniały trawę, rośliny i wodę w mięso, mleko i tłuszcz, którymi się żywimy. Zamieniały pokarm we własne dzieci, które potem zabijamy i zjadamy.

ZOBACZYŁEM NAD SOBĄ CZARNY WILGOTNY PYSK. Miałem wtedy trzy albo cztery lata. Na wsi gdzieś nad Bugiem. Pysk lśnił i był ogromny. Niewykluczone, że wiedziony dziecięcym odruchem wyciągnąłem rękę i go dotknąłem. Był masywny, mocarny i zarazem delikatny. Pokryty miękką, a jednocześnie napiętą skórą, która była ciepła i wilgotna. Jeżeli w dzieciństwie zbliżymy się do czegoś wielkiego i obcego i nie zaznamy krzywdy, to i potem strach nas oszczędzi. Wchodziłem bez lęku do ciemnej stajni pomiędzy ledwo widoczne ciała i przykładałem ucho do ciepłych brzuchów. Głaskałem masywne karki. Gdy podrosłem, dotykałem rogów – tej dziwnej materii trochę jeszcze żywej, ale zarazem już martwej i oddzielnej.

Rankami wypędzałem je na pastwisko, a ciężkie wlokące się za nimi łańcuchy srebrzyły się od rosy. Potem czekałem, aż któraś podniesie głowę. Ich oczy były ciemnogranatowe i bezdenne. Wydawało się, że pozbawione są źrenic i patrzą z niezmiernie daleka. Z miejsca i czasu, o których nie mamy poję-

cia. Zaglądając w nie, wydawało mi się, że niczym wsiowa Alicja przechodzę na drugą stronę lustra. Ale nie bałem się. Wystarczyło naśladować krowią powolność, niezmącony spokój, i traktowały mnie jak swego. Czasem któraś nawet liznęła szorstkim jęzorem, którym tak bezbłędnie jak dłonią na co dzień zagarniała garście trawy. Wokół stalowych pali, do których przyczepione były łańcuchy, wystrzygały bezbłędne półkola. Gdy w letni zmierzch wracałem z nimi do obejścia, sunący w trawie metal miał złotoczerwony połysk.

CZTERDZIEŚCI PARĘ LAT PÓŹNIEJ, W MONGOLII, KIRGISTANIE, krowy nie miały łańcuchów. Były mniejsze, wysmukłe i zupełnie wolne. Zjawiały się samopas na stepie z dala od ludzkich siedzib. Czasem spotykałem je na kamienistych i piaszczystych bezludziach, gdzie nie rosło prawie nic. Ale ich płowe i brązowe boki były lśniące i gładkie. Widać nie głodowały. Te z dzieciństwa nie przeżyłyby tutaj tygodnia. Na wyżynnych równinach, pod nieubłaganym słońcem, w bezdrzewnej krainie, ze studniami oddalonymi o całe dnie drogi. Na skraju pustyni Altan Els widziałem ich zimowe zagrody. To były niewysokie mury z kamieni ustawione w cieniu wydm, które miały osłaniać od północnych wiatrów wiejących znad Sajanu i Tuwy, niosących trzydziestostopniowy mróz. Były mniejsze, bardziej odporne i miały niespotykane u nas maści. Bułane, siwe, we wszystkich odcieniach brązu, czarne i w mieszaninach tych wszystkich barw. Zjawiały się zza widnokręgu i za widnokręgiem znikały. Może nieco bardziej nieufne niż nasze, ale równie spokojne. Leżały stadami na wyjeżdżonych szlakach i niechętnie podnosiły się na widok auta. Starałem się je omijać i nie przerywać im sjesty pod nieubłaganym niebem stepu. Chłodu mogły zaznać w nieliczne pochmurne dni albo w cieniu skał. No i w zimie, gdy od Tuwy wiał lodowaty wiatr. Dawały ludziom wszystko, co miały. Mięso, mleko, skóry i swoje cielęta. W bezdrzewnej i surowej krainie były też jedynym źródłem opału. Stojąc w swoich zimowych zagrodach produkowały nawóz. Udeptany, ubity, wiosną pocięty w sześcienne bloki i wysuszony na słońcu, zimą ogrzewał ludzkie schronienia.

To tu, to tam leżały szkielety. Niektóre stare, poszarzałe ze starości, inne świeże, białe z resztkami ścięgien. Piasek na przemian zasypywał je i odkrywał. Można było sobie wyobrazić, że pod ziemią zalegają tysiącletnie pokłady i tak samo jak kamienie i skały tworzą krajobraz krainy.

JEST ICH CORAZ MNIEJ. Byłem ostatnio we wsi, w której pierwszy raz widziałem krowę. I w której wchodziłem do ciemnej obory, by nasłuchiwać, jak dźwięczą o dno wiadra pierwsze strumyki wieczornego udoju. Tafla mleka w mroku bielała niepokojąco. Łańcuchy pobrzękiwały cicho o deski żłobu. Krowy były dwie, potem trzy. Każda miała swoje imię. Na łąkach, w zasięgu wzroku, pasło się kilka gospodarskich stad, czy też stadek. Czarno-białe i rude sylwetki były naturalnym składnikiem pejzażu. Jak drzewa, jak kopy siana latem, jak snopy poustawiane w mendle i kuczki.

Obszedłem całą wieś. Było pięć zwierząt pasących się przy jednym domu. Znalazłem też oborę, w której stało kilkanaście krów, ale nie sądzę, by w ogóle widziały pastwisko, by widziały niebo. Dostawały paszę do żłobów, wodę do poideł. Łąk też nie było. Wszystko pokrywały zbożowe i kukurydziane monokultury. Gdzie były krowy? Zapewne w fabrykach mięsa i mleka, z dala od ludzkich oczu. W żelaznych zagrodach, w elektrycznym świetle, w stałej temperaturze, z jedzeniem, które skomponowali chemicy.

WCIĄŻ POWRACA DO MNIE OBRAZ, który widziałem wiele lat temu w Rumunii. To było już za Karpatami, na Wołoszczyźnie. Był wieczór i stada schodziły z pastwisk. Wieś była nieskończenie długą ulicówką. Ciągnęła się i ciągnęła, a my jechaliśmy trzy kilometry na godzinę, bo przed nami dreptał nieprzebrany tabun. Krowy, owce, kozy. I każde z bydląt wiedziało, gdzie mieszka, i bezbłędnie skręcało w swoją otwartą bramę. Stado rzedło, wieś powoli się kończyła. W otwartej furtce niewielkiego, biednego gospodarstwa stała stara kobieta. Jedna z krów odłączyła się od reszty i do niej podeszła. Kobieta wyjęła zza pleców marchewkę, podała zwierzęciu i odsunęła się, by zrobić przejście. ©

REKLAMA

U–jazdowski
wystawy
performans
taniec
kino
park
warsztaty
spotkania
rezydencje artystyczne

Zobacz to, co w sztuce nowe

Centrum Sztuki Współczesnej
Zamek Ujazdowski
Jazdów 2, Warszawa
www.u–jazdowski.pl

PHOTOGRAPHEE.EU / ADOBE STOCK

KULTURA

BARYKADA Z WARZYW

Wegan jest coraz więcej. Uważają, że ich dieta może uczynić świat lepszym miejscem do życia. Dla zwierząt i dla ludzi.

MACIEJ JAKUBOWIAK

Na początku sierpnia sieć IKEA wprowadziła do oferty swojego bistro wegańskiego hot doga. Kosztuje tyle samo, co mięsny (2 zł), ale jest przygotowywany m.in. z soczewicy i jarmużu oraz podawany z czerwoną kapustą i prażoną cebulką. Podobno niezły, jak donoszą smakosze roślinnych potraw. A tych jest coraz więcej.

Według firmy analitycznej Mintel weganie i wegetarianie to około 7 proc. polskiego społeczeństwa. Największy odsetek, 10 proc., występuje w grupie wiekowej 16–34 lata. Popularność diety roślinnej rośnie na całym świecie. W Stanach Zjednoczonych liczba osób deklarujących weganizm powiększyła się w ciągu ostatnich trzech lat sześciokrotnie, w Wielkiej Brytanii – ponad trzykrotnie w ciągu dekady. W większych miastach coraz więcej jest przyzwoitych restauracji i barów wegańskich. Najlepiej te trendy widać w dyskontach spożywczych, w których daje się z łatwością kupić jogurty na bazie soi czy mleka kokosowego, hummus, roślinne sery, wędliny i parówki (jeden z najczęstszych żartów z wegan: „Czemu nie jecie zwykłych parówek? W nich też nie ma mięsa") czy tofu.

Brak cierpienia w pakiecie

Ale czym właściwie jest weganizm? Najprościej byłoby powiedzieć, że to dieta, w której tak jak w wegetarianizmie nie je się mięsa – ale także nabiału, jajek i (czasem) miodu. To poszerzenie listy unikanych produktów wynika z przekonania, że wszystkie składniki odzwierzęce są pozyskiwane w nieetyczny sposób. Zresztą pomysłodawca terminu, Brytyjczyk Donald Watson, w 1944 r. twierdził, że weganizm to po prostu konsekwentny wegetarianizm. Właśnie dlatego to nie tylko dieta, ale również światopogląd zakładający, że człowiek powinien unikać wyrządzania krzywdy innym stworzeniom.

Z dietą łączy się pakiet postaw występujących w najróżniejszych konfiguracjach: unikanie futer i produktów ze skóry, ale także oleju palmowego (pozyskiwanego kosztem lasów deszczowych), wybieranie kosmetyków nietestowanych na zwierzętach (oznaczanych jako *cruelty-free*), wspieranie praw zwierząt, kontestowanie polowań i ogrodów zoologicznych, adoptowanie psów i kotów z azyli (zamiast kupowania z hodowli), picie wody z kranu czy praktykowanie *zero waste*, czyli kuchni, w której nic się nie marnuje.

Weganizm kojarzy się ze zdrowym odżywianiem, choć można też być grubym weganinem, nieodmawiającym sobie smażonych i pieczonych potraw w dużych ilościach. Jeden z popularnych wegańskich blogów nazywa się „Fat Gay Vegan" (Gruby gejowski weganin). A zresztą co tu ukrywać, sam nie należę do najszczuplejszych, choć od pięciu lat jem wyłącznie rośliny.

Paleo, klimat i superbakterie

Powodzenie roślinnej diety wynika nie tylko z rosnącej troski o los zwierząt. Chodzi także o szersze trendy: z jednej strony wachlarz modnych diet eliminujących niektóre składniki: bezglutenowej, bezlaktozowej czy diety paleo; z drugiej – świadomy konsumpcjonizm, z takimi hasłami jak *fair trade* (sprawiedliwy handel) czy *ethical wear* (etyczna odzież). Na korzyść unikania mięsa przemawiają również mocniejsze argumenty. ↦

↦ Z badań prowadzonych m.in. przez ONZ wynika, że hodowla przemysłowa odpowiada za sporą część – od 18 do nawet 49 proc. – gazów cieplarnianych, przyczyniających się do globalnego ocieplenia.

Równie niepokojące są kwestie epidemiologiczne. Stosowane prewencyjnie w hodowli antybiotyki, mające chronić stłoczone zwierzęta, selekcjonowane genetycznie pod kątem szybszego wzrostu (z czym wiążą się liczne choroby i zwyrodnienia), przyczyniają się do zwiększania odporności niektórych bakterii. W książce „Zjadanie zwierząt" (2013) amerykański pisarz Jonathan Safran Foer przytacza opinie badaczy, według których bakteria mogąca wywołać pandemię o skali porównywalnej z hiszpanką z 1918 r. powstanie właśnie na fermach.

Kręgi bliskości

Dla większości wegan najważniejsza jest jednak troska o zwierzęta. Rosnąca popularność weganizmu nieprzypadkowo zbiega się ze wzrastającym zainteresowaniem ich życiem. W ostatnich latach na rynku książki pojawiło się kilkadziesiąt tytułów, opowiadających o życiu pszczół, delfinów, wilków, psów, szympansów i wielu gatunków ptaków – pisał o nich na łamach „Tygodnika" Adam Pluszka (nr 51-52/2017, czytaj na powszech.net/ /adampluszka).

Nie chodzi wyłącznie o zainteresowanie naturą. Od niedawna przyrodoznawcy usiłują skruszyć mur oddzielający ludzi od zwierząt. Książka amerykańskiego naukowca i aktywisty Carla Safiny „Poza słowami. Co myślą i czują zwierzęta" jest właśnie próbą uporania się z obowiązującą w nauce powściągliwością w doszukiwaniu się u zwierząt ludzkich cech. I nie jest to naiwne antropomorfizowanie. Przyglądając się życiu słoni w kenijskim rezerwacie, wilków w amerykańskim parku Yellowstone czy waleni w zatoce na granicy amerykańsko-kanadyjskiej, Safina stawia pytania o cechy, które przez wieki uznawano za charakterystyczne dla gatunku ludzkiego. Życie emocjonalne? Słonie potrafią miesiącami przeżywać żałobę po stracie bliskich. Struktury społeczne? Wilki mają niezwykle skomplikowaną dynamikę stad i hierarchii. Komunikacja? Delfinowate potrafią się przyzywać za pomocą zindywidualizowanych odgłosów, które można by uznać po prostu za imiona.

No właśnie, czy można? Safina nieustannie powraca do pytania: czy szukać w zwierzętach podobieństw z ludźmi, czy traktować je jako osobne stworzenia, zasługujące na szacunek i podziw. W końcu proponuje, aby cech wspólnych upatrywać tam, gdzie one rzeczywiście występują: w ewolucyjnej przeszłości. Podkreśla, że mechanizmy biologiczne odpowiedzialne m.in. za emocjonalność czy zdolności komunikacyjne sięgają głęboko w dzieje ssaków, a więc są podobne u różnych gatunków. Nie oznacza to, że się nie różnimy, ale sprawia, że mimo tych różnic dysponujemy podstawową platformą wzajemnego zrozumienia.

W „Poza słowami" granica absolutnej obcości, oddzielająca ludzi od zwierząt, okazuje się właściwie użyteczną hipotezą, służącą potwierdzaniu ludzkiej wyjątkowości. Zresztą, jak przytomnie zauważa Safina, kwestia odmienności dotyczy nie tylko gatunków: „Słonie i ptaki nie czują miłości do siebie w taki sposób jak ja, ale to samo dotyczy moich przyjaciół, matki, żony, przybranej córki i sąsiadów".

Safina (podobnie zresztą jak francuski historyk Éric Baratay w „Zwierzęcym punkcie widzenia" z 2014 r.) zwraca uwagę, jak kręgi obcości historycznie się zmniejszały, prowadząc do emancypacji coraz większych grup ludzi: mieszkańców obszarów pozaeuropejskich (jeszcze nieco ponad sto lat temu pokazywanych w obwoźnych widowiskach), niewolników, kobiet czy dzieci. Dlaczego więc nie mielibyśmy pójść o krok dalej i uznać, że także inne gatunki zasługują na szacunek? Tym bardziej że niektóre z nich, takie jak psy czy koty, już funkcjonują na granicy rodzinnej bliskości.

Niekoniecznie prowadzi to do weganizmu. Safina w artykule w „Huffington Post" przyznaje, że zdarza mu się jeść mięso i jaja, ale nigdy pochodzące z przemysłowych hodowli. Poza tym nawet weganie nie są zgodni, do czego właściwie powinni namawiać.

Niezbędne negocjacje

Weganizm sytuuje się blisko innych ruchów społecznych, które za cel stawiają sobie uczynienie świata lepszym. I nie chodzi tu o próżne samozadowolenie, lecz o to, że cały zestaw poważnych argumentów, nie odmawiając mu słuszności, albo zbywa się żarcikami („A co zrobicie z tymi wszystkimi kurczakami z ferm?"), albo unieważnia wymijającymi odpowiedziami („Jestem bardzo mięsożerny. Nie mógłbym być wegetarianinem" – to akurat Rafał Trzaskowski, kandydat PO na prezydenta Warszawy). Z podobnymi frustracjami zderzają się dziś feministki, badacze klimatu, aktywiści na rzecz uchodźców czy obrońcy praw dzieci.

Co więc mogą zrobić weganie, aby przekonać innych do przejęcia się tym, co im samym wydaje się oczywiste? Przez wiele lat kampanie prozwierzęce były kojarzone przede wszystkim z różnymi formami ujawniania prawdy o sposobach funkcjonowania hodowli przemysłowej. Organizacje takie jak PETA (People for the Ethical Treatment of Animals – Ludzie dla Etycznego Traktowania Zwierząt) publikowały (i wciąż to robią) nagrania, na których widać zwierzęta trzymane na fermach w okropnych warunkach, bite i rażone prądem, wierzgające podczas obdzierania ze skóry. Ale to nie za bardzo działa, podobnie zresztą jak zdjęcia bombardowanego Aleppo czy łodzi przepełnionych ludźmi nie wpływają na zmianę poglądów dotyczących przyjmowania uchodźców. A nawet jeśli odbiorcy się przejmują, to nie wiedzą, co właściwie mogliby zrobić.

W ostatnich latach zaczęło się to zmieniać, a obok doniesień o warunkach hodowli pojawiają się zachęcające wskazówki, jak łatwo można przyczynić się do poprawy sytuacji zwierząt. W Polsce największe sukcesy na tym polu odnosi Marta Dymek, autorka popularnego bloga Jadłonomia, na podstawie którego ukazały się już dwie książki kucharskie (wywiad z Martą Dymek ukazał się w „TP" nr 31/2017, czytaj na powszech.net/martadymek). Nie ma w nich mowy o cierpiących świniach czy kurczakach, jest za to mnóstwo pięknych zdjęć roślinnych potraw. Jasne, to poważny aktywizm zamieniony w lekki *lifestyle*, ale okazuje się skuteczny.

To też efekt niezbędnego kompromisu. Przekonanie o słuszności własnych racji może prowadzić do chęci natychmiastowego przerobienia ludzi w anioły, ale w praktyce lepiej sprawdza się przekonywanie ich krok po kroku. Pokazuje to wydana właśnie książka „Dziękuję za świńskie oczy" Dariusza Gzyry – wieloletniego aktywisty prozwierzęcego i założyciela Stowarzyszenia Empatia. Pisząc o zakazach występów zwierząt w cyrku czy projekcie prawa zakazującego hodowli zwierząt futerkowych – autor za każdym razem usiłuje pchnąć wrażliwość czytelników ciut dalej. Czy jeśli oburzają nas przypadki znęcania się nad psami, to nie po-

winniśmy żałować także zwierząt, które są zamknięte w halach? Czy sprzeciw wobec uboju rytualnego nie mógłby się przełożyć na sprzeciw wobec metod stosowanych w rzeźniach?

Ta strategia obejmuje też dyskusję wokół encykliki papieża Franciszka „Laudato si" – zresztą Kościołowi poświęcony jest cały rozdział książki Gzyry. Autor wynajduje punkty wspólne, zachęca do rozszerzenia obecnych w nauczaniu katolickim definicji. I nawet jeśli ostatecznie uznaje, że światopogląd religijny jest jedną z głównych przyczyn oddzielenia człowieka od reszty zwierząt, nie bagatelizuje jego znaczenia dla pożądanych przemian.

Tego rodzaju kompromisowa logika stoi za wyprodukowanym przez Netflix filmie „Okja" (2017), opowiadającym o stworzonej w wyniku eksperymentów genetycznych gigantycznej, ale niezwykle inteligentnej i czułej świni, którą przed smutnym końcem w rzeźni usiłuje uratować młodociana opiekunka. Jeśli taka tematyka trafia do mainstreamowego kina, to znak, że coś się dzieje. Ale to wciąż za mało i zbyt powoli. Szczególnie jeśli wziąć pod uwagę dane wskazujące, że w krajach takich jak Chiny czy Indie rozrastająca się klasa średnia będzie chciała spożywać więcej mięsa. Zadanie zreformowania ludzkich zwyczajów związanych z jedzeniem mięsa, głęboko osadzonych w kulturze, wierzeniach, tradycjach i codziennych obyczajach, wydaje się ponad ludzkie siły. Czy na pewno?

Mięso mimo wszystko

W ekranizacji książki Foera „Zjadanie zwierząt" (w reżyserii Christophera Quinna i z udziałem Natalie Portman) akcent zostaje położony na tradycyjne metody hodowli. Korporacje spożywcze, upychające zwierzęta w zamkniętych halach produkujących tony toksycznych odpadów, są przeciwstawiane niewielkim gospodarstwom, których zwierzęta mogą swobodnie się poruszać i socjalizować, zanim zostaną zabite i zjedzone. Tradycyjna hodowla nie mogłaby jednak zaspokoić rosnącego popytu na mięso i nawet gdyby Stany Zjednoczone czy Unia Europejska ograniczyły przemysł mięsny, to – jak to bywa ze szkodliwymi dla środowiska gałęziami przemysłu – ten prędko przeniósłby się do innej części świata.

Co zatem pozostaje? W książce „Czyste mięso. Jak hodowla mięsa bez zwierząt zrewolucjonizuje twój obiad i cały świat"

Co mogą zrobić weganie, aby przekonać innych? Ujawnianie prawdy o hodowli przemysłowej nie bardzo działa. Skuteczny okazuje się poważny aktywizm **zamieniony w lekki lifestyle.**

PIXABAY X2

Paul Shapiro podaje argument, który rzadko pojawia się w dyskusjach o prawach zwierząt. Twierdzi, że to nie troskliwi aktywiści doprowadzili do zakończenia masowych połowów wielorybniczych i przemysłowej eksploatacji koni w XIX w., lecz wynalezienie nafty przez Abrahama Gesnera i silnika o spalaniu wewnętrznym przez Henry'ego Forda. Tam, gdzie nieskuteczna okazuje się etyka, na ratunek ma przyjść technologia.

Książka Shapira jest reportażem z frontu rodzącego się rynku syntetycznego mięsa. Powstaje ono za sprawą tych samych technologii, które pozwalają na hodowanie *in vitro* ludzkich tkanek na potrzeby medyczne. Niewielka liczba komórek pobranych od żywego zwierzęcia zostaje umieszczona w szalce Petriego, a następnie jest odżywiana i pobudzana do wzrostu, mnoży się za sprawą podziału komórkowego. W efekcie powstaje właśnie czyste mięso: bez antybiotyków, bez zbędnych (dla przemysłu spożywczego) kości i tkanek, bez cierpienia zwierząt. W ten sposób można tworzyć nie tylko mięso, ale również skórę, białka (takie jak w mleku i jajach) czy żelatynę.

Shapiro wiele uwagi poświęca potencjalnym problemom z wprowadzeniem czystego mięsa na rynek. Paradoksalnie najwięcej nadziei daje nieświadomość klientów, kierujących się przede wszystkim ceną, smakiem i wygodą. Jednak na razie trudniejsze wydaje się doprowadzenie tej technologii do użyteczności. Branża istnieje zaledwie kilka lat, wciąż nie dysponuje kilkoma kluczowymi elementami produkcji oraz wymaga olbrzymich pieniędzy. Pierwszy syntetyczny burger, zaprezentowany w 2013 r. w Londynie i sfinansowany przez współzałożyciela Google, Sergeya Brina, kosztował równowartość miliona złotych. Choć jak w przypadku każdej nowej technologii, koszty stopniowo maleją.

To wszystko jednak melodia przyszłości. Książka Shapira opowiada przede wszystkim o naukowcach i przedsiębiorcach, którzy co prawda pozyskują spore dofinansowania od globalnych inwestorów, ale wciąż prowadzą badania. Znacznie bardziej obiecująca jest natomiast branża zajmująca się produkcją mięsa, czy właściwie „mięsa", z białek roślinnych. W tym wypadku nie chodzi o wytwarzanie zwierzęcych tkanek mięśniowych, ale o tworzenie substytutów, które wyglądałyby jak mięso, smakowały jak mięso, nawet krwawiły jak mięso, ale były zrobione np. z grochu. Takie produkty są również dostępne w Polsce.

Ale czemu właściwie udawać mięso? Przede wszystkim ze względu na ludzkie nawyki. Przejście na weganizm wiąże się ze zmianą przyzwyczajeń żywieniowych, a ten proces łatwiej przeprowadzić po stronie producenta i zaoferować klientom produkty nieznacznie odbiegające od tego, co jedli dotychczas. W efekcie sporo osób mogłoby mimochodem przejść przynajmniej na wegetarianizm. A niektórzy weganie – chyba mogę się do tego przyznać – po prostu miło wspominają smak grillowanej karkówki, choć za nic nie zjedliby już takiej z żywego zwierzęcia.

CZY JEŚLI CZYSTE ALBO ROŚLINNE MIĘSO odniesie sukces, weganizm stanie się zbędny? Początki tego ruchu nieprzypadkowo łączą się z początkami metod przemysłowej hodowli – oba zjawiska są stosunkowo młode i sięgają lat 30. i 40. XX w. W tym sensie weganizm wydaje się po prostu reakcją obronną części społeczeństwa na okropności, jakie zafundował zwierzętom nieokiełznany rynek. Przy okazji jednak weganizm wytworzył własny światopogląd, dotyczący nie tylko diety, ale samego sposobu bycia w świecie i układania relacji ze zwierzętami, środowiskiem oraz z innymi ludźmi w taki sposób, aby ograniczać przemoc i cierpienie. W tych sprawach pozostanie wiele do zrobienia.

© MACIEJ JAKUBOWIAK

Syndrom wojennego pokwitania

PIOTR KOSIEWSKI

Na wspólnej wystawie Andrzeja Wróblewskiego, Aliny Szapocznikow i Andrzeja Wajdy znalazły się ikoniczne już dzieła. A jednak kuratorce, Andzie Rottenberg, udało się powiedzieć coś istotnego i nowego.

Na wystawie „Perspektywa wieku dojrzewania" w Muzeum Śląskim znalazło się ok. 140 obrazów, rzeźb i rysunków Aliny Szapocznikow i Andrzeja Wróblewskiego. Są też fragmenty 14 filmów Andrzeja Wajdy, jego scenopisy, fotosy i plakaty.

Co łączy całą trójkę? Rok urodzenia: 1926 w przypadku Szapocznikow i Wajdy, 1927 – Wróblewskiego. Podobieństwo doświadczenia: wojna i jej okrucieństwo. Wreszcie strata ojców. Ojciec Szapocznikow – Jakub, lekarz – umarł przed wybuchem wojny. Ojciec Wajdy – też Jakub, oficer – trafił do niewoli sowieckiej i w 1940 r. został zamordowany w Charkowie. Ojciec Wróblewskiego – Bronisław, prawnik, profesor Uniwersytetu im. Stefana Batorego w Wilnie – umarł na zawał serca podczas rewizji domu przez Niemców w 1941 r.

I jeszcze jedno: szczególny okres, w jakim wojnę przeżywali. W 1939 r. Szapocznikow i Wajda mieli po 13 lat, Wróblewski 12. Byli nastolatkami. Na ten fakt do tej pory nie zwracano uwagi, a przecież – jak zauważa Anda Rottenberg – pokwitanie to okres „sam w sobie postrzegany jako traumatyczny, a w szczególnych okolicznościach, wynikających z życia rodzinnego, relacji z grupą rówieśniczą, systemu edukacji oraz okoliczności, w jakich przebiega inicjacja seksualna, może mieć decydujący wpływ na przebieg całego dalszego życia". Wróblewski w Wilnie chodzi na tajne komplety. Wajda w Radomiu uczy się w podziemnym gimnazjum, w 1942 r. wstępuje do Armii Krajowej, potem musi się ukrywać. Alina Szapocznikow z matką trafia do getta w Pabianicach, potem w Łodzi, wreszcie do obozów: Auschwitz, Bergen-Belsen, Terezina.

Anda Rottenberg spojrzała na ich dzieła poprzez „wojenny syndrom pokwitania". Była to ryzykowna decyzja – zwłaszcza że na wystawie znalazły się ikoniczne już dzieła, o których trudno coś nowego powiedzieć: „Rozstrzelania". „Szofer niebieski" i „Poczekalnia II" Wróblewskiego, „Ekshumowany", „Trudny wiek" i „Zielnik" Szapocznikow, „Kanał", „Popiół i diament", „Korczak" i „Katyń" Wajdy.

A jednak kuratorce udało się przebić przez stereotypowe wyobrażenia. Powstała najważniejsza chyba wystawa ostatnich lat. Szczególnie ważna dziś – bo przecież Wajda, Wróblewski, ale też Szapocznikow mówili o doświadczeniu Polaków w XX wieku, nadal kształtującym naszą tożsamość.

Rozstrzelania

„Mieliśmy u siebie dosyć wojennej makabry; ale nie znalazła ona jeszcze swojego wyrazu w naszej sztuce, wyrazu jednoznacznego, mówiącego o tym, kto jest sprawcą, a kto ofiarą" – pisał w 1949 r. Andrzej Wróblewski. I dodawał: „Cierpienie i śmierć nie istnieją w oderwaniu, »same przez się«". Na katowickiej wystawie przywołano jeszcze jedno ważne dzieło – spektakl „Akropolis" Jerzego Grotowskiego i Józefa Szajny z 1962 r. Bohaterowie spektaklu, postacie z Biblii i greckich mitów – Andromacha, Helena, Parys, Hektor, Jakub, Izaak czy Rebeka – nie trafiają na Wawel, jak u Wyspiańskiego, lecz do obozu koncentracyjnego. Ubrani w podarte stare worki, w drewniakach na nogach ciągną taczki...

Wróblewski i Szapocznikow, podobnie jak Szajna, próbowali znaleźć język pozwalający opowiedzieć o rzeczywistości i odnieść się do niedawnych tragicznych doświadczeń. Każdy na swój sposób. W 1948 r. Wróblewski maluje serię obrazów abstrakcyjnych, z kolei Szapocznikow pod koniec lat 50. tworzy rzeźby, w których kształty stają się coraz bardziej organiczne, o trudno rozpoznawalnej formie, aluzyjne, jednak ostatecznie oboje – wbrew artystycznym modom – pozostają przy figuracji.

W 1949 r. Wróblewski zaczyna malować „Rozstrzelania". Pierwsze tworzy w połowie stycznia, ostatnie na przełomie lipca i sierpnia. Powstaje najważniejsze w polskiej sztuce malarskie przedstawienie dramatu wojny. Malarz szuka adekwatnej formuły przedstawienia zbrodni – od eksperymentowania z formą („Rozstrzelanie surrealistyczne") po własną wersję socrealizmu. Zmieniają się też ofiary – najczęściej są nimi młodzi mężczyźni, ale także chłopiec, matka z dzieckiem, harcerz, stara Żydówka.

Alina Szapocznikow, Tumeurs personnifiées (Nowotwory uosobione), 1971 r.

BARTOSZ GÓRKA / MATERIAŁY PRASOWE

MATERIAŁY PRASOWE

Andrzej Wróblewski „Rozstrzelanie z gestapowcem", 1949 r.

„Rozstrzelania" są wciąż na nowo odczytywane i wciąż skrywają zagadki. Anda Rottenberg w publikacji towarzyszącej wystawie pisze o jednej z nich, że w „Rozstrzelaniu z gestapowcem" oprawca nosi uniform przypominający... regulaminowy mundur oficjalny jednostek NKWD Smiersz. Przypadek? Raczej nie, chociaż przedstawienie sowieckiego oprawcy może budzić zdziwienie, bo w tym czasie Wróblewski zaczyna mocno angażować się w komunizm.

„Rozstrzelania" – poza jednym – pozostawały ukryte w pracowni artysty aż do jego śmierci. Widzieli je nieliczni, wśród nich Andrzej Wajda. Po latach wspominał moment, w którym zobaczył obraz z tego cyklu: „Zadecydował on o mojej przyszłości. Kiedy go zobaczyłem, pomyślałem, że to, co ja chciałbym namalować, już jest namalowane, a ja nigdy nie namaluję tego lepiej". I dodawał: „Wiedziałem, że my jesteśmy głosem zmarłych. Nasi zmarli byli lepsi, odważniejsi, oni zginęli, dlatego my zostaliśmy i przeżyliśmy, a naszym obowiązkiem było być ich głosem i namalować ich w najstraszniejszych momentach. Wojna była naszym tematem". Do opowiedzenia o niej wybrał jednak film.

W Muzeum Śląskim znalazła się część cyklu Wróblewskiego, w tym tzw. „Rozstrzelanie poznańskie", jedyne publicznie zaprezentowane za życia artysty. Są też szkice dokumentujące szukanie odpowiedniej formuły – niektóre to małe arcydzieła. Obok Anda Rottenberg pokazała fragmenty filmów Wajdy, m.in. „Popiołu i diamentu" (1958) oraz „Piłata i innych" (1971). Przewijają się kolejne obrazy śmierci, jakby Wajda tworzył swoje własne „Rozstrzelania".

Pomimo śmierci

Wajda w swoich filmach oddawał także codzienność, ludzkie emocje w normalnych czasach, lęki dorastania, miłość, również fizyczną. Wróblewski potrafił uchwycić w swym malarstwie intymność rodzinnego życia, radość bycia ojcem. Tym niemniej w opowieści o wojnie i śmierci obecność obu jest oczywista; inaczej w przypadku Szapocznikow. To jej, jak nikomu innemu w polskiej sztuce, udało się pokazać kobietę, jej ciało i przemiany, jakim ono podlega wraz z upływem czasu, emocje okresu dorastania, pragnienia, seksualne napięcie, nastroje i pożądania wieku dojrzałości. Odważnie, bez pruderii, lęku, oglądania się na rozmaite tabu. Jej „Trudny wiek" (1956), „Bellissima II" (1959) czy „Pierś iluminowana" (1966) kontrastują z obrazami śmierci u Wróblewskiego i Wajdy.

W 1949 r. w liście do Ryszarda Stanisławskiego (pobiorą się trzy lata później) Szapocznikow pisała: „Różnica polega na tym, że w czasie twego kształtowania się, w czasie ostatnich 10 lat nie przeszedłeś tego chrztu rozpaczy, tego wszystkiego, że nie skończyło się bez reszty wszystko kilkakrotnie, jak to miało miejsce u mnie w gettach i obozach". Po czym natychmiast zastrzegła: „Brzydzę się tych ludzi, którzy (...) »chwalą« się latami męki, jaką przeżyli". Sama konsekwentnie milczała na temat swych przeżyć – do tej pory niewiele wiadomo o jej wojennych losach. Także jako artystki.

W 1955 r. wykonała jednak dwie szczególne prace: „Pomnik dla spalonego miasta" oraz obecnego na wystawie „Ekshumowanego" – wstrząsającą, kaleką figurę mężczyzny, pozbawioną kończyn, zniszczoną. Wygląda jak ludzkie szczątki wydobyte przed chwilą z ziemi. Rzeźbę dedykowała pamięci László Rajka, ofiary czystek stalinowskich, ale bywa też uznawana za wspomnienie wojennych przeżyć samej autorki.

Do tematu śmierci powróci w ostatnich lata życia, walcząc z rakiem. Powstają wtedy „Nowotwory" – organiczne formy, w których zatopione zostały rozmaite papiery, skrawki gazy, zdjęcia własne i przyjaciół. W „Pamiątce I" (1971), jednej z rzeźb z tego cyklu, można dostrzec fotografię roześmianej dziewczynki. Na wystawie obok tej pracy umieszczono zdjęcia wykorzystane po modyfikacji przez artystkę. Jedno przedstawia małą Alinę siedzącą na ramieniu swojego ojca, drugie – kobietę zmarłą w obozie koncentracyjnym. ↦

„Popiół i diament" Andrzeja Wajdy, 1958 r. Zbigniew Cybulski jako Maciej Chełmicki w scenie śmierci na symbolicznym śmietniku historii. Śmietnik zagrało wysypisko na Krzykach we Wrocławiu.

PAP / REPRODUKCJA / WIESŁAW ZDORT / MATERIAŁY PRASOWE

↦ Z obu powstał kolaż – postać ojca zniknęła. Jest wreszcie na wystawie jej „Zielnik" (1971-72). Pierwsza karta cyklu, „Autoportret", to odbicie twarzy rzeźbiarki. Później wykonywała odlewy ciała swojego syna – młodego mężczyzny. Jakby chciała zachować pamięć o ciele: własnym i najbliższej osoby.

Szapocznikow, tak wspaniale oddająca życiową witalność, w ostatnich pracach wstrząsająco opowiada o umieraniu. Andrzej Wajda napisał we wspomnieniu o niej: „Alina męskim umysłem, który kształtowała historia ostatnich 30 lat, odnalazła swoją kobiecą naturę – oddała siebie, odcisnęła swoje ciało tworząc rzeźby, które w męskim świecie nie mogłyby zaistnieć (...). Kiedy się przejdzie przez to, co ona widziała w dzieciństwie, życie nie jest ani dobre, ani złe. Ono się jawi w okrutnej jasności i nie zostawia miejsca na sentymentalizm".

Ten trzeci

Pozostaje trzeci bohater: Andrzej Wajda. Wybrane motywy z jego filmów, ułożone w odrębne opowieści – „Karuzela", „Ryby", „Krata", „Pociągi" czy „Śmierć" – wydają się zrazu jedynie dopełnieniem dzieł Szapocznikow i Wróblewskiego. Tak jednak nie jest. Wajda jest pełnoprawnym uczestnikiem tej rozmowy o śmierci, młodości i dojrzewaniu.

Wielokrotnie już powtarzano, że Wajda w swych filmach „mówi obrazem". Jednak jego malarskie spojrzenie nie ogranicza się do sposobu kadrowania ujęć, ukazania aktorów, prowadzenia narracji. To również dostrzeżenie znaczenia tła akcji, szczegółu. Na wystawie obok „Zatopionego miasta" (1948), „Obrazu na temat okropności wojennych" (1948) i rysunków Wróblewskiego przedstawiających atak lotniczy znalazły się notatki do filmów Wajdy oraz fragmenty trochę dziś zapomnianej „Lotnej" z 1959 r. (według Wojciecha Żukrowskiego). Sceny szarży kawalerii czy oprawiania ryb u obu artystów wydają się niemalże bliźniacze. I szokują – jak w obrazie pola po bitwie u Wajdy, z pomieszanymi szczątkami żołnierzy, koni, broni i drzewa. Później chyba dopiero Anselmowi Kieferowi udało się stworzyć przedstawienia równie przejmujące.

Wystawa przypomina o sile kreowanych przez Wajdę obrazów. Być może spojrzenie na Wajdę jest największą wartością katowickiej wystawy, bo pozwala zrozumieć jego szczególne znaczenie dla naszej kultury ostatniego półwiecza.

Niemartwe obrazy

Szukając elementów wspólnych u trójki bohaterów wystawy, Anda Rottenberg jednocześnie nieustannie podkreśla odrębność ich doświadczenia. Bo w umiejętności opowiedzenia o losie zbiorowym poprzez osobiste przeżycia tkwi siła i wiarygodność ich dzieł. Przypomina zatem oczywistości: w 1939 r. Szapocznikow znalazła się w Kraju Warty, Wajda w Generalnym Gubernatorstwie, Wróblewski na Litwie, wkrótce podporządkowanej ZSRR, a następnie zajętej przez Niemców. Na każdym z tych obszarów okupanci prowadzili inną politykę i inny był los miejscowej ludności. Jednak oni sami czuli wspólnotę. Wróblewski w 1956 r. planował nawet stworzenie interdyscyplinarnego Zespołu Wieloplastyków, do którego chciał zaprosić Wajdę i Szapocznikow. Chciał też stworzyć z Wajdą film, który oddawałby istotę poezji Tadeusza Różewicza, jego przekonanie, że pustka wywołana wojną „może być ożywiona tylko wspomnieniami zamordowanych i rozpamiętywaniem własnej zdrady, skoro się samemu przeżyło".

Andrzej Wajda, który żył z nich najdłużej, wracał we wspomnieniach i filmach do Szapocznikow, a przede wszystkim do Wróblewskiego. Na wystawie znalazły się fragmenty z „Wszystko na sprzedaż" (1968), jednego z najniezwyklejszych filmów Wajdy. To hołd złożony tragicznie zmarłemu Zbigniewowi Cybulskiemu, ale przede wszystkim opowieść reżysera o sobie, o własnych rozterkach, wahaniach, obawach.

Widzimy Andrzeja (gra go Andrzej Łapicki) – to *alter ego* samego Wajdy – na wystawie Wróblewskiego w Warszawie, przy Mazowieckiej. Ogląda kolejne obrazy: „Szofera", „Rozstrzelania"... Kamera nagle najeżdża na tablicę na ścianie budynku: „TU DN. 11 XII 1943 R. HITLEROWCY ROZSTRZELALI 40 POLAKÓW" – głosi napis. Sztuka miesza się z rzeczywistością, fakty z artystyczną wizją.

„Miałeś rację, to są okrutne obrazy, bezwzględne. To zupełnie straszne, jak po człowieku zostają takie strzępy, tylko okruchy" – mówi do Andrzeja towarzysząca mu Beata (Beata Tyszkiewicz). „Jesteś z nim, ze zmarłymi, to są wszystko... umarli ludzie, umarłe sprawy, martwe obrazy". Dzisiaj widać, że tamta przeszłość wcale nie odeszła. Tamci ludzie, tamte sprawy tkwią w naszej pamięci. I może to właśnie dzieła artystów pomagają nam poradzić sobie z przeszłością, nadać jej – o ile to w ogóle możliwe – sens.

© PIOTR KOSIEWSKI

PERSPEKTYWA WIEKU DOJRZEWANIA. SZAPOCZNIKOW – WRÓBLEWSKI – WAJDA, *Muzeum Śląskie, Katowice, wystawa czynna do 30 września 2018 r., kuratorka: Anda Rottenberg.*

TP

W NASTĘPNYM NUMERZE „TYGODNIKA" ZNAJDĄ PAŃSTWO SPECJALNY DODATEK

„Nagroda Literacka Gdynia"

w którym prezentujemy książki wszystkich nominowanych w tym roku autorów i autorek.
■ Nominowanych eseistów przedstawi Piotr Kieżun, poetów i poetki zaprezentuje Zofia Król. O prozie opowie Michał Sowiński, a o nominowanych za przekład Tomasz Swoboda. Zapraszamy do lektury oraz na Festiwal (Gdynia, 27.08–02.09).

MATERIAŁY PRASOWE

„Pali się, moja panno" w reżyserii Miloša Formana

Kino pod specjalnym nadzorem

ANITA PIOTROWSKA

Eksplozja talentów, wysyp międzynarodowych nagród, bliskie spotkanie z rodzimą publicznością trwały w przypadku czeskiej Nowej Fali zaledwie kilka lat – były to jednak wspaniałe lata.

Zazdrość – to uczucie ogarnia polskiego czytelnika, kiedy zagłębia się w prywatną historię czeskiego kina przez Josefa Škvoreckiego spisaną. Nasze kino nie doczekało się kronikarza tak wybornego i tak organicznie zżytego z rodzimą twórczością filmową w czasach jej największego rozkwitu. Podobną rolę mógł u nas spełnić chyba tylko Tadeusz Konwicki: naoczny świadek i aktywny uczestnik peerelowskiej kinematografii. Jego autobiograficzna proza dawała przedsmak tego, czym mogłaby być książka „Wszyscy ci wspaniali chłopcy i dziewczyny", gdyby powstała w Polsce.

Niechaj nie zwiedzie nas jej gawędziarski chwilami ton. Twórca „Fajnego sezonu" opowiada o „najfajniejszym sezonie" czeskiego filmu, jakim była Nowa Fala, stając się historykiem, antropologiem kultury i anegdociarzem w jednym. Książka złożona z wykładów prowadzonych przez pisarza na Uniwersytecie w Toronto niedługo po wyjeździe z kraju, a więc powstała głównie z myślą o czytelniku zachodnim, staje się minitraktatem o sprawach wagi ciężkiej. „Czeska tragedia", jaką było w sierpniu 1968 r. stłumienie Praskiej Wiosny przez „bratnią pomoc", oznaczała dla Škvoreckiego nie tylko zniszczenie wyjątkowo urodzajnej i promieniującej w różnych kierunkach kultury, znaczonej nazwiskami Miloša Formana, Jiřiego Menzla czy Věry Chytilovej. Przyniosła nie tylko zakneblowanie czy banicję twórców tudzież zamknięcie na lata kopii filmowych w sejfach wytwórni Barrandov, ale także fatalistyczne wypełnienie odwiecznego środkowoeuropejskiego losu. Pisarz tropi więc ów los w rozlicznych życiorysach, w odpryskach wielkiej historii i drobnych zdarzeń, w wypisach z książek i filmów.

Okazuje się, że u progu lat 60. XX w. nie byliśmy jedynym wesołym barakiem w obozie. Jeszcze nad Pragą górował niczym King Kong gigantyczny pomnik Stalina, a już w klubach bawiono się w rytmie jazzu i swingu, powstające niezależnie teatry małych form rozbrzmiewały absurdalnym humorem, czytano podziemnego Hrabala. „W dodatku ich rewolucyjność, chyba po raz pierwszy w historii, polegała na całkowitej apolityczności" – wspomina Škvorecký ówczesną liberalizację, odtwarzając klimat narodzin jednego z najważniejszych zjawisk europejskiego kina. Sam był jednym z jego ojców chrzestnych. Jako syn dyrektora kina w miasteczku Náchod dzieciństwo spędził na oglądaniu filmów. Nie ukończył jednak legendarnej szkoły ↦

„Miłość blondynki" w reżyserii Miloša Formana

„O uroczystości i gościach" w reżyserii Jana Němca

filmowej FAMU, a jego głównym żywiołem pozostawała literatura. Pozwoliło mu to zająć pozycję insidera i outsidera jednocześnie. Pisał scenariusze, grywał niewielkie rólki (według Formana był zbyt inteligentny na naturszczyka), biesiadował, podpowiadał i doradzał. Przede wszystkim jednak bacznie obserwował.

Twórcę „Miłości blondynki" poznał jeszcze jako małego chłopca, który przesiadywał wśród beczek z kapustą w sklepie swego wuja – po tym, jak ojciec Formana został omyłkowo aresztowany przez hitlerowców i zamordowany w Buchenwaldzie, a matka w Auschwitz. Škvorecký patrzy na jego kino właśnie przez pryzmat tamtych doświadczeń: podszyte groteską okrucieństwo życia w takich filmach jak „Czarny Piotruś" wyrasta, jego zdaniem, z dziecięcych traum. Najważniejsze dla reżysera stało się opowiadanie „zabawnych historii", jakby w nich, co wiedział już Charlie Chaplin, odbijał się najwierniej tragizm naszego życia. Stało się to znakiem rozpoznawczym nie tylko samego Formana, ale całej czeskiej Nowej Fali. Jedynie ówczesnemu prezydentowi Antonínowi Novotnemu nie było do śmiechu. Kiedy w „Pali się, moja panno" podczas sceny balu w remizie ktoś kradnie salceson, strażacki sąd nad złodziejem natychmiast skojarzy się decydentom ze stalinowskim procesem Rudolfa Slánskiego, a oburzeni fatalnym wizerunkiem czechosłowaccy strażacy odmówią gaszenia pożarów.

Podobnie zawadiacka nuta przebija z gawędy Škvoreckiego na każdym kroku. Wtedy, gdy wspomina o aferze zwanej „urologiczną nocą", kiedy to dwójka piosenkarzy, Eva Pilarová i Waldemar Matuška, została oskarżona o sikanie w Karlowych Warach z balkonu hotelu Pupp na delegację robotników (obecny na miejscu przestępstwa Karel Gott miał im śpiewać swój przebój „Gdzie szumi rzeki nurt"). I wówczas, gdy wspomina o niekończących się korowodach z cenzurą w przypadku własnych projektów: adaptacji powieści „Tchórze" czy ekranizacji scenariusza „Eine kleine Jazzmusik". W czeskim kinie zajął ostatecznie pozycję mistrza drugiego planu, choć jego zasługi, podobnie jak podczas emigracji w Kanadzie na niwie wydawniczej, pozostają nie do przecenienia.

Autor „Przypadków inżyniera ludzkich dusz" w kinie cenił nade wszystko pracę zespołową. Pisząc o sukcesach Formana, dostrzegał wpływ, jaki odcisnęli na nim bliscy współpracownicy: Ivan Passer czy Jaroslav Papoušek – i *vice versa*. Pierwszy z nich, twórca wybitnego filmu „Intymne oświetlenie" z 1965 r., nazywany przez autora filozofem kina, trochę mimochodem zdefiniował fenomen czeskiej Nowej Fali: „Lubię małe filmy, które jakby przypadkiem są ważne". Nic dodać, nic ująć. Z kolei u twórcy filmów o rodzinie Homolków doceniał Škvorecký przede wszystkim odwagę, by pokazać w zwierciadle bezwzględnej satyry „małego czeskiego człowieka", który wraz ze swoim piwem i kiełbaskami stanowi doskonały „obiekt dla manipulatorów i dyktatorów". Nie jest to jedyny moment, kiedy polski czytelnik uśmiechnie się pod nosem.

Dowiadujemy się też sporo o tworzących Nową Falę „wspaniałych dziewczynach", jakkolwiek z autorką „Stokrotek", Věrą Chytilovą, miał autor z początku pewien problem. Irytował go jej „bojowy feminizm" („bardziej mi się podobała Věra niż jej scenariusz"), lecz doceniał pionierską postawę. W czasach, kiedy w obowiązującym słowniku krytyczno-filmowym istniało jeszcze socrealistyczne określenie „zwyrodniały formalizm", Škvorecký dostrzegł w młodszej koleżance rewolucjonistkę formy i kibicował jej kolejnym przedsięwzięciom.

Jednak prawdziwą heroiną filmowych wspomnień pisarza jest mało u nas znana Ester Krumbachová, najbarwniejszy z ptaków ówczesnej praskiej bohemy: polityczna awanturnica, fanatyczna miłośniczka kotów, pisarka, scenarzystka i autorka kostiumów do sztandarowych filmów Nowej Fali. Bez takich kobiet historia kina byłaby jedynie płaską czytanką. To Krumbachová podczas sylwestrowej nocy 1967 r. przepowiedziała z Biblią w ręku sierpniową inwazję wojsk Układu Warszawskiego. Jej związek z Janem Němcem przyniósł jeden z najważniejszych tytułów filmowego nurtu – „O uroczystości i gościach" (1966), który do dziś stanowi przeszywające studium „aksamitnego terroru".

Prócz pikantnych dykteryjek czytelnik znajdzie także w książce nieliczne *polonica*. Jan Němec podczas studiów na FAMU nakręcił w ramach pracy rocznej adaptację opowiadania Marka Hłaski „Najświętsze słowa naszego życia", ale ponieważ cała akcja filmu rozgrywała się w łóżku, nie mogło się to skończyć dobrze: negatyw filmu został skradziony. A byłaby to pierwsza w pełni rozbierana scena w czechosłowackim kinie od czasu słynnej „Ekstazy" Gustava Machatego z 1933 r. Škvorecký przywołuje także nazwisko Andrzeja Wajdy, kiedy porównuje atmosferę w Czechosłowacji po 1968 r. do epoki maccartyzmu. Zastanawia się, na ile propozycja roli wysłana dekadę później przez polskiego reżysera Pavlowi Landovskiemu (nie podaje, niestety, o jaki film chodziło) spowodowana była jego dysydenckim życiorysem. Po zdławieniu Pra-

MATERIAŁY PRASOWE x2

skiej Wiosny wszystko nagle stało się podwójnie podejrzane.

Co chwila słychać w tej opowieści nostalgiczne *to se né vrati*. Eksplozja talentów, wysyp międzynarodowych nagród, bliskie spotkanie z rodzimą publicznością trwały w przypadku Nowej Fali zaledwie kilka lat, za to następujący potem kulturalny zastój przeciągnął się na dwie dekady. Niektórzy z dawnych „rewolucjonistów" złożyli samokrytykę, by móc dalej pracować, inni wyjechali, jeszcze inni, jak Evald Schorm, do czasu Aksamitnej Rewolucji będą mieć duży problem z kręceniem i pokazywaniem swoich filmów w ojczyźnie. Czy to przypadek, że ten właśnie reżyser, znany z niezłomnej postawy, w filmie „O uroczystości i gościach" zagrał jedynego na przyjęciu idealistę, który nie pozwala gospodarzowi uczynić się na siłę „szczęśliwym"?

W książce znajdziemy wiele podobnych przykładów nonkonformizmu, zadających kłam stereotypowym wyobrażeniom na temat ugodowych „Pepików". Taki na przykład Jiří Menzel zrezygnował z jurorowania na festiwalu filmowym w Locarno – „w proteście przeciwko temu, że przyjęto do konkursu filmy krajów, które nas okupowały i które powiedziały światu, że wiedzą, czego chcą narody Czechosłowacji, lepiej od nich samych". Za to Jaromil Jireš, reżyser m.in. „Żartu" (1969) według powieści Milana Kundery, jak mało który filmowiec z tej części Europy zdołał uchwycić prawdziwy dramat artysty walczącego z systemem. Jego słowa – „Okres, w którym główną wartością artystyczną jest odwaga, to wiek ciemności" – brzmią dzisiaj jak gorzki przyczynek do polskiego kina moralnego niepokoju i wszelkiej twórczości zaangażowanej.

Ale Škvorecký cytuje również takie głosy: „Istnieje przedziwna sprzeczność pomiędzy dojrzałością człowieka jako jednostki a infantylizmem człowieka jako stworzenia społecznego. (...) W każdym procesie, każdej uroczystości, każdym mundurze i – proszę o wybaczenie – w każdej konsekwentnej realizacji idei filozoficznych odczuwam większą czy mniejszą dozę infantylizmu". Czy to Gombrowicz? Nie, to wspomniany Ivan Passer. Równie znajomo brzmi zdanie innego nowofalowca, Antonína Mášy: „Pomiędzy godardowskim romantyzmem a tym z czeskich filmów jest taka różnica, że (...) oprócz pewnej słowiańskiej ociężałości mamy (...) jeszcze tę wadę (czy zaletę), że chcąc nie chcąc z większą miarą odpowiedzialności myślimy wciąż o losach swego narodu". Lektura Škvoreckiego dostarcza wielu passusów jakby wyjętych wprost z naszych głów. Okazuje się, że nawet polska „Seksmisja" mogła nie być dziełem w stu procentach polskim: w 1966 r. Jan Schmidt nakręcił film „Koniec sierpnia w hotelu Ozon", wymyślony ponoć już wiele lat wcześniej i z opisu fabuły jako żywo przypominający głośną komedię Juliusza Machulskiego z 1983 r.

Bo mieliśmy – i mamy – z Czechami wiele nieoczywistych połączeń, choć to właśnie w kinie zaznaczały się najdobitniej dzielące nas różnice. „Pociągi pod specjalnym nadzorem" (1966) Menzla czy nowelowe „Perełki na dnie" (1965) są najlepszym dowodem na to, że nie byłoby czeskiej Nowej Fali, tak jak nie byłoby Szkoły Polskiej, bez bliskiego spotkania kina i literatury. Z drugiej strony, o czym przypomina Andrzej Werner w posłowiu zatytułowanym „Czeskie pytania", jakże inny był ton naszych i ich antyheroicznych obrachunków, jakże inaczej opisywano i wartościowano w filmach zwykłe ludzkie życie. Warto też się zastanowić, na ile dziś w kinie naszych sąsiadów żywa jest owa mityczna ciągłość pokoleniowa z Nową Falą, przypisywana jeszcze niedawno kinu Sašy Gedeona, Jana Hřebejka czy Jana Svěráka. Czy najmłodsze pokolenie również potrafi „kochać ludzi" – co według Menzla było tajemnicą sukcesu jego wczesnych filmów?

Dziś w Polsce, równo 50 lat po wydarzeniach określanych przez pisarza mianem „*finis Bohemiae*, kraju o kulturze zachodniej", można czytać książkę Škvoreckiego miejscami jak proroctwo. Historia w tej części Europy lubi bowiem niebezpiecznie się powtarzać i posiada bardzo ironiczne poczucie humoru. Weźmy choćby przywołaną przez autora sztukę niejakiego Vratislava Blažka pod tytułem „Tragedia kornika", powstałą tuż po wojnie. Walka brygad socjalistycznych z leśnym szkodnikiem przynosi nieoczekiwane zakończenie: kornik „zjada nie tylko las, lecz również wszystkich członków brygady, łącznie z gajowym". To mogli wymyślić tylko Czesi – ale może znajdzie się dzisiaj u nas ktoś, kto by to sfilmował...?

© ANITA PIOTROWSKA

Josef Škvorecký, **WSZYSCY CI WSPANIALI CHŁOPCY I DZIEWCZYNY,** *przeł. Andrzej S. Jagodziński, Pogranicze, Sejny 2018*

WARTO ZOBACZYĆ W TV [25 – 31 VIII]

1. Darmowy lunch

Dokumentalny, reż. Christian Tod, Niemcy/Austria 2017, Planete+, 25 VIII, 22.45

Bezwarunkowy dochód podstawowy, czyli pieniądze zagwarantowane przez państwo każdemu obywatelowi, na razie pozostaje w sferze eksperymentu. Twórcy filmu na różnych przykładach rozważają możliwość upowszechnienia tego modelu, biorąc pod uwagę zarówno argumenty za, jak i przeciw.

2. Gala Seiferta

Koncert, Polska 2018, TVP Kultura, 26 VIII, 22.50

III edycja Międzynarodowego Jazzowego Konkursu Skrzypcowego im. Zbigniewa Seiferta odbyła się miesiąc temu w Lusławicach i Krakowie. Wzięło w nim udział dwunastu artystów z dziewięciu krajów. Przed nami retransmisja z finału tego wydarzenia.

3. Czerwony żółw

Animowany, reż. Michaël Dudok de Wit, Belgia/Francja/Japonia 2016, Canal+ Film, 26 VIII, 6.00, player+, player+ BOX

Holenderski mistrz animacji (m.in. Oscar za „Ojca i córkę") połączył siły z legendarnym japońskim studiem Ghibli i stworzył wieloznaczną przypowieść usytuowaną na bezludnej wyspie. Delikatną kreską i wysublimowanym kolorem zamienia historię rozbitka w poemat o miejscu człowieka we wszechświecie.

4. Śmietnisko

Dokumentalny, reż. Lucy Walker, Wielka Brytania/ /Brazylia 2010, Cineman VOD, VOD.pl

Brazylijskie Jardim Gramacho to największe na świecie wysypisko śmieci. Artysta wizualny Vik Muniz z udziałem tamtejszych catadores (zbieraczy odpadków możliwych do utylizacji) przygotowuje niezwykły projekt, który wpłynie nie tylko na rynek sztuki współczesnej, ale i na życie bohaterów filmu.

MATERIAŁY PRASOWE BEST FILM

Karine Teles jako Irene w filmie „Loveling”

Ze sobą i z innymi

ANITA PIOTROWSKA

Pizzi szuka dramatyzmu i filmowej autentyczności w tym, co uchodzi za błahe i zwyczajne. Szuka odtrutki na bolączki „człowieka prostego” nie w momentach kluczowych, ale w tym, co wydarza się pomiędzy nimi.

Tak zwane zwykłe życie zawsze jest na ekranie trochę podejrzane. Nie może przecież zaistnieć w stanie czystym – musi mieć, jak przypuszczamy, swoją nadbudowę: społeczną, polityczną, krytyczną. Albo ukryte ramy filozofującej przypowiastki. Tym większe wytchnienie przynoszą filmy, które „zwykłemu życiu” starają się przyjrzeć bez dowartościowujących naddatków, a tym samym unikają protekcjonalnego spojrzenia na codzienne problemy „normalsów”.

Gdyby nie palma w tle, plakat do filmu „Loveling” mógłby sugerować, że chodzi o przeciętną polską rodzinę nad Bałtykiem: ciała dalekie od doskonałości, wielobarwne akcesoria plażowe, usilna potrzeba bycia razem, choć bez konieczności zaznaczania jej parawanem. Reżyser Gustavo Pizzi ukazuje współczesnych „Kowalskich” z okolic Rio do Janeiro inaczej, niż zrobiłaby to większość naszych twórców. Mały, „kuchenny” realizm nie wykrzywia się u niego w karykaturę, a zawarta w samym tytule czułość ani przez chwilę nie zamienia się w czułostkowość. Również silnie akcentowane w kinie brazylijskim podłoże klasowe (patrz: „Sąsiedzkie dźwięki” i „Aquarius” Klebera Mendonçy Filha czy „Prawie jak matka” Anny Muylaert) tu nabiera charakteru bardziej opisowego niż konfrontacyjnego. Bohaterowie „Loveling” to bowiem najszerszy i najbardziej szary wycinek brazylijskiego społeczeństwa, odległy zarówno od slumsów, jak i strzeżonych osiedli.

Do podupadającego domu Irene wchodzi się przez okno, nic więc dziwnego, że kobieta marzy o nowym lokum. Poza tym chciałaby wreszcie mieć własny pokój – dosłownie i w przenośni. Jej mąż Klaus pragnie rozkręcić poważny interes, bo prowadzona przez niego mała księgarnia stoi na skraju bankructwa. Pizzi portretuje ludzi, którzy czegoś się już dorobili, choć ich byt pozostaje ciągle niepewny i nie do końca zależy od nich samych. Kiedy najstarszy z czwórki synów, uprawiający piłkę ręczną nastoletni Fernando, otrzymuje propozycję wyjazdu do Niemiec, rodzina staje nagle przed ogromną szansą, a zarazem przed trudną dla siebie próbą. Choć na pozór zmienia się niewiele. Pomysłowy Klaus dalej krząta się wokół nowego biznesu, Irene próbuje skończyć szkołę dla dorosłych, a jej siostra Sônia szuka u nich schronienia przed agresywnym mężem. Domowy rozgardiasz, dziecięcy żywioł, nieustająca bieganina i paplanina mają wypełnić bolesne pęknięcia w rodzinnym portrecie. Prawdziwy dramat toczy się gdzieś podskórnie, czasem tylko ujawniając się na twarzy nadaktywnej Irene – w tej roli obdarzona szczodrym uśmiechem wspaniała Karine Teles, współscenarzystka filmu i ówczesna żona reżysera.

Urzeka w „Loveling” przede wszystkim brak narracyjnych szablonów. Zanurzając się w jego nie do końca kontrolowanym chaosie, mimowolnie węszymy patologie czy zakłócenia. I słusznie: szwagier Irene nadużywa narkotyków, a jej dawna wyniosła chlebodawczyni ma z pewnością wiele na sumieniu. Na domiar złego rodzinne plany nie idą tak, jak powinny, a wyjazd młodego Fernanda na sportowy kontrakt stanowi dla matki emocjonalne wyzwanie. Jednakże spodziewany wybuch następuje w momencie najmniej dla nas spodziewanym. Bo Pizzi szuka dramatyzmu i filmowej autentyczności właśnie w tym, co uchodzi za błahe i pospolicie zwyczajne: w plażowaniu, grillowaniu, we wspólnych posiłkach. Celebruje przed kamerą te drobne chwile, jakby szukał odtrutki na bolączki „człowieka prostego” nie w momentach kluczowych, ale w tym, co wydarza się pomiędzy nimi.

Ktoś powie, że to naiwna i powierzchowna perspektywa, zwłaszcza w kraju tak brutalnie naznaczonym przez różnice społeczne. Teles i Pizzi stworzyli jednak tę historię trochę na przekór generalizującym diagnozom, z myślą o konkretnych mieszkańcach Petrópolis, swego rodzinnego miasteczka. W filmie zagrała zresztą także dwójka ich wspólnych dzieci oraz inni członkowie rodziny, co nadaje filmowi osobistego charakteru. Czy „Loveling” można zatem nazwać filmem prorodzinnym? W jakimś sensie przywraca on wartość temu określeniu. Pokazuje, jak dynamicznym tworem jest rodzina i że zapewniając przetrwanie swoim członkom, musi też pamiętać o ich indywidualnych potrzebach. Postać Irene, czyli kontrolującej wszystko matki kwoki, uosabia najpełniej tę wewnętrzną walkę: między powinnością i pragnieniem, między rozsądkiem i emocją. Tworzy skomplikowany obraz macierzyństwa, które nie jest przyrodzonym stanem, ale procesem wymagającym ciągłych negocjacji. Tak z innymi, jak i z samą sobą. ©

LOVELING *(Benzinho) – reż. Gustavo Pizzi. Prod. Brazylia/Urugwaj/Niemcy 2018. Dystryb. Best Film. W kinach od 24 sierpnia.*

JAN

Klata:
Awaria i pogotowie

Nie ma co owijać w bawełnę: pękła rura. Akuratnie w kalendarzu występowała niedziela, a w powietrzu od rana (kiedy nastąpił podziemny dramat) występował upał, i to nader parny. Troszkę w kranie zachrzęściło, astmatycznie bekło, i zdechło. Szukaj wiatru w polu, porannie niedomyty po treningu pechowcze! Postanowiłem zasięgnąć języka, ale zamiast tego napotkałem obwieszczenie w formie kartki-wlepki z wodociągów, że o tej, a o tej porannej godzinie nastąpiła awaria. I tyle. Członkowie rodziny zarejestrowali również domofonowe, lakoniczne obwieszczenie jakiegoś fachowca: „Jest awaria. Wody nie będzie". Po czym fachowiec się rozłączył. Cicha woda brzegi rwie – pomyślałem. Już tam na ulicy z pewnością kompetentni fachowcy czynią swoją powinność, z zapałem usuwając awarię...

Woda nie powróciła, a fachowców ani widu, ani słychu. Pozwoliłem sobie wykonać telefon na odpowiednie pogotowie, gdzie potwierdzono zaistnienie awarii, zarazem wyrażając zaskoczenie nieistnieniem ekipy awarię usuwającej. Może poszli uzupełnić elektrolity? Elektrolitów musiało być całkiem sporo, bo kilkaset minut później, a znacznie upalniej, fachowców od wodociągów wciąż nie było. Naonczas skonstatowałem, że przebój „Czas nas uczy pogody" w te akurat wakacje się nie sprawdza, i ponowiłem telefon. Podobno mieli być w drodze... najwidoczniej idą zgodnie z duchem czasu: wodociągowe postgotowie, a nie pogotowie.

Przesuńmy litościwie wskazówki zegara: późne godziny popołudniowej niedzielnej spieki rekordowego lata. Wreszcie jest ekipa. Robota wre, choć nieśpiesznie jakby, bo za gorąco. Wody nie ma, rzecz jasna. Godziny późnowieczorne: wody nie ma nadal, za to praca wokół krnąbrnej rury nieco stygnie. Czas ściągnąć posiłki. Około północy posiłki informują, że woda może będzie jutro, bo pękło w jeszcze innym miejscu, choć niedaleko. Panowie są nader pogodni, może w domach mają wodę, a może po prostu kochają swoją pracę i lubią awarie. My zaś, aby umknąć szaleństwu, przykładamy uszy do muszli z Pobierowa. Podstawiono beczkowóz. Można z niego zaczerpnąć, aby się umyć w szklance wody, ale czym potem umyć szklankę? Czym umyć zapoconą muszlę z Pobierowa? Co za thriller, kapitalny materiał na hollywoodzki *blockbuster* (jako wodny kanalizator wystąpi Bruce Willis, oczywiście). Chętnie sprzedam koncept Rolandowi Emmerichowi. Tak czy owak, noc ciężka, upłynęła na słuchaniu, czy coś drgnęło w rurach.

PS. Już jest jutro. Popołudnie. Wody nie ma. Ale za to ciągle jest prąd. ©

Lektor:
Gorączka meksykańska

▪ *Patrick Deville,* **VIVA**
Przełożył (jak poprzednie powieści tego autora) Jan Maria Kłoczowski.
Noir sur Blanc,
Warszawa 2018, ss. 192.

Na okładce dwie postacie. Kruczobrewą piękność wszyscy znamy – to malarka Frida Kahlo. Ale kim jest starszy pan z kozią bródką, w okrągłych okularkach? W czasach, w których toczy się akcja tej powieści, nikt nie miałby kłopotów z rozpoznaniem Lwa Trockiego, jednego z przywódców rewolucji rosyjskiej i współtwórcę jej sukcesu, a potem wroga numer jeden Josifa Wissarionowicza...

W kolejnej powieści – piątej, którą u nas przetłumaczono – Patrick Deville, francuski pisarz urodzony w 1957 r., idzie utartym już tropem: łączy rekonstrukcję wydarzeń z przeszłości z reportażem, śledzi linie losu przecinające się w czasie i przestrzeni. Tym razem linie te zbiegają się w Meksyku lat 30. XX w. Tu właśnie w 1937 r. przybył na zaproszenie prezydenta Cárdenasa banita Trocki. Do przyznania mu wizy namówił Cárdenasa malarz Diego Rivera, mąż Fridy. Jego kolega po fachu, David Alfaro Siqueiros, będzie współorganizatorem nieudanego zamachu na Trockiego; zlecenie Stalina wykona skutecznie dopiero Ramón Mercader. Mamy więc meksykańskich komunistów, a także fotografkę i wysłanniczkę Kominternu Tinę Modotti oraz jej licznych kochanków. Obok, równolegle, rozwija się historia Malcolma Lowry'ego. Syn angielskiego kupca, gorliwego chrześcijanina i działacza antyalkoholowego, przyjechał z żoną Jan do miasta Cuernavaca w Dniu Zmarłych roku 1936. Kryzys małżeństwa (które się w końcu rozpadło) i wielomiesięczna alkoholowa odyseja pisarza znajdą odbicie w jego arcydziele – powieści „Pod wulkanem" (1947).

Jeszcze jeden bohater Deville'a to pisarz B. (Bruno?) Traven. Popularny niegdyś autor powieści przygodowych ze społecznym przesłaniem, osadzonych w meksykańskich realiach, obficie tłumaczony i u nas, zdołał skutecznie ukryć swoją tożsamość i nie wiemy nawet, czy pisał po niemiecku, czy po angielsku. Niektórzy uważali, że Travenem jest Jack London, który upozorował swoją śmierć, inni – że to Ambrose Bierce, który w 1914 r. zaginął w ogarniętym wojną domową Meksyku. Deville przychyla się do zdania, że Travenem był niemiecki anarchista Ret Marut, uciekinier z Europy. Czy jednak było to jego prawdziwe nazwisko? Być może „Ret Marut" nazywał się naprawdę Otto Feige i urodził się w 1882 r. w mieście Schwiebus. A Schwiebus to dzisiaj Świebodzin, tak, ten od ogromnej figury Chrystusa. Jednak Polska środkiem świata? ©℗

METAFIZYKA PIASKU

Nawet w środku lata zieleń jest tu delikatna, wieje chłodnawy wiatr, przelewa się woda. Wszystko, co znamy z lektury Miłosza, staje się bliskie jak na wyciągnięcie ręki i nie pozwala o sobie zapomnieć.

TEKST MICHAŁ OLSZEWSKI

ZDJĘCIA GRAŻYNA MAKARA

Wydmy na Mierzei Kurońskiej.
Na następnej stronie: kemping w Nidzie

To nie jest miejsce dla każdego. Na mierzącym 50 kilometrów dystansie raptem jeden duży sklep spożywczy, jeden większy kemping, jedna droga; kilka wiosek i miasteczek, noclegów niewiele, hucznych dyskotek brak, dużych hoteli brak. Są za to czyste lasy sosnowe, im dalej w głąb, tym bardziej przestronne i wysokie; o poranku często niesie się po nich fletowy śpiew wilgi; jest jakiś rodzaj północnego wtajemniczenia, bo czuć w tym miejscu wyraźnie, że Skandynawia o krok; są potężne wydmy i jedne z najpiękniejszych plaż nadbałtyckich; są łosie (zdarza się, że w upalne dni klempy prowadzą łoszaki do morza i stoją nieruchomo w wodzie, niczym posągi); jest wreszcie pustka, bo blisko 50 kilometrów szerokich plaż to w sam raz, by każdy znalazł miejsce dla siebie.

Oto Kuršių Nerija, czyli litewska część Mierzei Kurońskiej. Miejsce, z którego nie chce się wracać. Enklawa wciśnięta pomiędzy zasieki rosyjskiej części obwodu kaliningradzkiego a rozrywkową Połągę. Przestrzeń, gdzie człowiek ograniczył swoją aktywność do minimum. Opis autorstwa pochodzącego z pobliskiej Kłajpedy malarza Karla Eulensteina, mimo że sporządzony w 1930 r., pozostaje w mocy: „Wędruję wzdłuż grzebienia wydm brzegiem Mierzei Kurońskiej. Po raz pierwszy ujrzałem wydmy wiele lat temu. Było to na przedwiośniu. Zwały piasku błyszczały w jaskrawych promieniach słońca. Woda z roztopionego śniegu formowała się w dolinkach między wydmami w małe błękitne jeziorka, otoczone brązowo-fioletowym, wilgotnym piaskiem. Był to krajobraz najpierwotniejszy, wspaniały i niesamowity, jakby w pierwszym dniu stworzenia".

Czysta cisza

Było tak: po żmudnej jeździe w gigantycznym korku, tuż przed Miechowem, auto odmówiło posłuszeństwa. Pompa przy chłodnicy stopiła się i płyn lunął na asfalt. Ruszyliśmy w pola, szukając mechanika. Mechanik był człowiekiem wymownym, ciekawskim, a do tego sprytnym – okazało się, że wystarczy odrobinę naciągnąć przewód i dalsza podróż będzie możliwa.

– To dokąd teraz? – zapytał, dokręcając obejmę.

– Na Litwę – odpowiedziałem.

– Na Litwę? Strasznie daleko – mechanik pokręcił głową. – Nie lepiej do Chorwacji?

– Na Litwę bliżej.

– Może i bliżej, ale i tak za daleko.

Na początku puściłem tę rozmowę mimo uszu, ale potem zaczęła do mnie wracać. Dlaczego bliżej nam do Chorwacji niż do litewskiego sąsiada? W czym lepszy jest Zadar od Juodkrantė, Preili czy Pervalki? Czy popularność kierunku południowego wynika wyłącznie z gwarancji dobrej pogody? A może gdzieś na wysokości Budziska czy Ogrodnik przebiega niewidoczna granica, której nie chcemy przekraczać?

Możemy się podśmiewać, że Litwini mają mapę punktów odniesienia ustawioną inaczej niż my i chętniej spoglądają na północ niż w stronę Warszawy. Gdzie im do Szwedów czy Norwegów? A jednak na Mierzei Kurońskiej wyraźnie czuć skandynawskiego ducha. Domy są schludne, pomalowane inaczej niż w pozostałych regionach Litwy (dominują barwy wiśni, kasztana i chabru), ulice wymiecione do ostatniego pyłku, plan przestrzenny utrzymywany jest rygorystycznie, w związku z czym wyraźnie widać granicę pomiędzy miasteczkiem a lasem. To świat, który z rejonem solecznickim czy okolicami Wilna nie ma zbyt wiele wspólnego.

Podobnie zresztą jak z polskim wybrzeżem – konsekwentna polityka architektoniczna sprawia, że w tutejszych miasteczkach nie ma reklamowego chaosu, natłoku banerów, reklam i billboardów. Polaka musi ten stan rzeczy dziwić, a nawet niepokoić – restaurator, który chce przyciągnąć turystów do swojego lokalu, wystawia przed drzwi jedynie niewielką tablicę. Tyle musi wystarczyć. Ale dzięki nieznanym w Polsce obostrzeniom nieodległa Neringa wygląda jak oddalona o lata świetlne od naszych przyzwyczajeń.

Również na kempingu panują obyczaje z polskiego punktu widzenia nieoczywiste – o godzinie 22 zapada cisza, biwakowicze rozmawiają półgłosem, siedząc przy miniaturowych ogniskach lub świecach. Trudno też powiedzieć, żeby na kempingu dochodziło do zawiązywania znajomości: jest sympatycznie, ale dominuje wyraźna oszczędność gestów bądź zgoła milczenie. To rzeczywiście świat bardzo odległy od chorwackiego ↦

↦ wybrzeża, z jego ciasnotą, nieuporządkowaniem i bezlikiem atrakcji. Może dlatego Polaków spotyka się tu rzadko.

Pochód wydm

Na początku XX w. świat obiegło zdjęcie, które później służyło jako koronny dowód na głęboką nędzę mieszkańców Mierzei Kurońskiej, choć było raczej dowodem szczególnych przyzwyczajeń kulinarnych. Widać na nim odzianego w łapcie i połatany kaftan chłopa (czy może rybaka), który przegryza szyję wronie. Podobno wrony na Mierzei były w cenie. Uwe Rada w książce „Niemen" pisze, że „w dawnej manierze miejscowych rybaków przywabiano wrony, by skręcić im kark. Za zapłatę dzieci dostawały w niedzielę zupę z wron, zaś w restauracjach kłajpedzkich (...) zamówić można było specjalność lokalnej kuchni – »gołąbki zalewowe«".

Dzisiaj wron na Nerindze się nie jada, ale warto pamiętać o ukrytych osobliwościach tej krainy. Przechodziła ona głębokie metamorfozy przyrodnicze, społeczne i krajobrazowe, a po dekadach dostatku przychodziły okresy, kiedy mieszkańcy, mimo bliskości morza, zalewu i bogactwa ryb, walczyli o przetrwanie.

Byłaby też świetnym przykładem dla Jareda Diamonda, wybitnego antropologa amerykańskiego, badającego szczególnie jaskrawe przypadki rabunkowej eksploatacji zasobów naturalnych i następujące później konsekwencje. Na Mierzei doszło bowiem do spektakularnej katastrofy ekologicznej. Niekontrolowany wypas bydła zachwiał delikatnym ekosystemem i zapoczątkował proces pustynnienia terenu. Naukowcy określają go mianem uruchomienia wydm.

Wylesianie, szczególnie intensywne w czasie wojny rosyjsko-szwedzkiej i późniejszej wojny siedmioletniej (1756-63), kiedy to oblegający Królewiec Rosjanie wyrąbali lasy, żeby z drewna zbudować okręty, sprawiło, że piaski ruszyły. W efekcie w XIX w. wąski pas lądu bardziej przypominał Saharę niż północnoeuropejski pejzaż. Sięgające wysokości prawie 70 metrów wydmy zagarniały ląd, zasypując kolejne wioski i zmuszając mieszkańców do wyprowadzki.

W niektórych miejscach proces miał błyskawiczny charakter – wydmy przesuwały się z prędkością 13 metrów na rok. Piach zasypywał wejście do portu w Kłajpedzie, pochłaniał na zawsze część wiosek rybackich (depczą teraz po nich, nawet o tym nie wiedząc, turyści), a inne zmuszał do przenosin.

Pojęcie o życiu wśród wydm daje żałobna pieśń „Kobiety z Nidden", autorstwa Agnes Miegel, królewieckiej poetki (która, swoją drogą, przeszła od nostalgicznych wierszy o lokalnej ojczyźnie do literatury nazistowskiej, co udowadnia po raz kolejny, że natura nie jest szczepionką przeciwko zarazom ideologicznym). Miegel opisała rozpacz żon rybaków w wiosce ogarniętej dżumą:

(...)
Wspięły się na diuny zboczem dzikim,
Wzuły pończochy i trzewiki,
I rzekły: „Diuno, z całej wsi
Ostałyśmy już tylko my.

Kto by nam trumnę wyciosać mógł?
Nie szlocha po nas ni syn, ni wnuk,
Nie masz już księdza, co poda hostię,
Knechta ni dziewki nie masz w domostwie –

Tak tedy, diuno biała, zważ:
Tam, w dole, wrota otwarte masz,
Wnijdź do izb naszych, zasyp progi,
Zduś w piecach ogień, przewróć stogi –

Bóg nas zapomniał, opuścił w biedzie,
Tedy dom Jego obejmij w schedzie,

Kpij z krzyża, Biblii, piekła i nieba –
Tylko, mateczko, przyjdź nas pogrzebać!

Otul nas kirem, otul nas cieniem,
Byłaś nam klątwą – dziś bądź zbawieniem.
Patrz, jak czekamy: przyjdź, diuno miła" –

I diuna przyszła, i je przykryła
(przeł. ANDRZEJ KOPACKI)

Próby rekultywacji Mierzei trwały ponad sto lat i były przerywane przez zawieruchy historyczne. Rosły piaszczyste wały od strony morza (żeby uchronić wioski i trakt pocztowy, łączący północ Europy z resztą kontynentu), przybywało drzew. Jednak dopiero po zakończeniu II wojny światowej masowe zalesianie piachów zaczęło przynosić wyraźne efekty. Proces pustynnienia zatrzymał się do tego stopnia, że dzisiaj w zagrożeniu znalazł się narodowy skarb – wydmy, stopniowo zarastające roślinami pionierskimi. Jak wyglądała Mierzeja sto lat wcześniej, można sobie wyobrazić, stając na szczycie wydmy Parnidis – łachy drobnego piachu ciągną się kilka kilometrów, aż do granicy z obwodem kaliningradzkim.

Szumiące lasy Neringi, mimo że sprawiają wrażenie naturalnych i odwiecznych, są więc stosunkowo świeżym zjawiskiem. Również po biedzie nie pozostał ślad – powołany w 1991 r. Park Narodowy Neringa wprowadził restrykcje budowlane i wysokie opłaty za wstęp. W efekcie Mierzeja Kurońska jest dla Litwinów zbyt droga i częściej można obserwować tu wycieczki zagraniczne, głównie niemieckie, które, jak podejrzewa cytowany już Uwe Rada, poszukują śladów „niemieckiego krajobrazu duchowego" i mitycznej Memelland – krainy, w której mieszały się wpływy niemieckie (sięgające jeszcze czasów krzyżackich), kurońskie (od plemiona Kurów, które przybyło na Mierzeję z położonej na północ Liwonii) i litewskie.

Ceny wynajmu są dosyć wysokie, ale z pomocą przychodzi pole namiotowe, oblegane głównie przez turystów z Pribaltiki, Niemców i Skandynawów. Dziesięć minut spaceru przez las i otwiera się przestrzeń wielkiej wolności. Jedynym dysonansem w tym pejzażu jest szrama granicy pomiędzy Litwą a obwodem kaliningradzkim, która przecina plażę, las i wydmy.

Ptasi raj

Nie bez przyczyny wspomniałem na początku o śpiewie wilgi, ptaka płochliwego i urzędującego w górnych partiach lasu. Poranny spacer przez nadmorski las w towarzystwie delikatnego, napływającego nie wiadomo skąd fletowego trelu może być doświadczeniem formacyjnym. Neringa to raj dla ornitologów, nie tylko za sprawą stu występujących tam gatunków ptaków. Mierzeja leży na szlaku ptasich migracji, co doprowadziło do powstania w 1901 r. pierwszej w Europie stacji obrączkowania ptaków (obecnie po rosyjskiej stronie). W jej pobliżu zaś, po drugiej stronie Zalewu Kurońskiego, znajduje się jeden z celów ornitologicznych pielgrzymek – delta Niemna ze słynną stacją ornitologiczną Ventė. Można tu obserwować większość gatunków Europy środkowej, od potężnego bielika po małą i coraz rzadziej występującą wodniczkę.

Pomiędzy Neringą a Ventė rozciągają się jednak nie tylko wody zalewu. O ile Mierzeja to teren z ducha skandynawski, to po stronie Niemna rozciąga się jeden z najbiedniejszych terenów Unii Europejskiej. Warto przeprawić się stateczkiem na drugą stronę (albo też zaplanować podróż tak, by w drodze powrotnej skręcić z autostrady i pojechać bocznymi drogami) i spojrzeć na świat zapomnienia, chylących się ku upadkowi chałup i starych ludzi. Nie po to, by napawać się cudzą biedą – jest coś głęboko melancholijnego w litewskich pejzażach, jak gdyby część tej krainy od czasów młodzieńczych Czesława Miłosza pozostawała w uśpieniu, zatopiona jak w bursztynie. Delikatna nawet w środku lata zieleń, chłodnawy wiatr, wypalony błękit i woda – wszystko, w czym wzrastał poeta, tu staje się bliskie jak na wyciągnięcie ręki i nie pozwala o sobie zapomnieć.

Kolonia artystyczna

Fenomen Mierzei polega na zamierzonym ubóstwie – użyjmy określenia z folderów – oferty. Turyści otrzymują przede wszystkim gwarancję metafizyki piachu, wiatru oraz chłodnego i mało przejrzystego morza, jakby Neringa stawiała na skupienie i koncentrację. Jeśli ktoś lubi puste plaże (najmniej tłoczno jest pod zasiekami oddzielającymi Litwę od obwodu kaliningradzkiego), wodę i lasy sosnowe, będzie tu szczęśliwy.

„Przede wszystkim" nie oznacza jednak, że pomiędzy Nidą i Kłajpedą próżno szukać tropów kulturalnych i kulturowych. Czasem ukryte wśród sosen, wymagają uwagi i przenoszą nieraz w czasy bardzo odległe. Po miasteczkach rozsiane są piękne, ręcznie rzeźbione wiatrowskazy; na cmentarzach widać pozostałości drewnianych nagrobków; znaki runiczne, sygnał przedchrześcijańskiej przeszłości Litwy, są naturalnym elementem pejzażu, podobnie jak krzyże; warto też pamiętać, że od końca XIX w. Mierzeja, a szczególnie Nida, przyciągały malarzy poszukujących plenerów i natchnienia, m.in. słynnego Lovisa Corintha, za sprawą którego na Mierzei powstała silna kolonia artystyczna. Ten trop widoczny jest zresztą do dziś – jednym z najpiękniejszych budynków na Nerindze jest nowoczesny dom dla artystów na obrzeżach Nidy. Na północnym skraju Mierzei czekają zaś dwie największe atrakcje: delfinarium, w którym można obejrzeć zapierający dech w piersiach pokaz umiejętności delfinów oraz ich opiekunów, a także Muzeum Morza, umieszczone w potężnym Forcie Nerija.

Dla poszukiwaczy tropów literackich gratką jest dom Tomasza Manna, który zakochał się w Mierzei Kurońskiej bez pamięci. Pisarz zwierzał się w 1931 r. ze swojego zachwytu członkom monachijskiego Klubu Rotariańskiego, mówiąc, że na wąskim spłachetku terenu człowiek doświadcza „elementarnego fenomenu, jakiego poza tym doznaje się tylko w wysokich górach i na pustyni". Niedługo potem Mann, przeciwnik nazizmu, musiał uciekać z Niemiec. Pozostawił w Nidzie dom i garść uwag, które nie straciły na aktualności. Granice wyglądają inaczej, wydmy nie wędrują już tak intensywnie jak kiedyś, a Mierzeja porosła lasem.

Mimo to Kuršių Nerija nadal wygląda jak „elementarny fenomen".

© MICHAŁ OLSZEWSKI

Korzystałem z: Uwe Rada „Niemen. Dzieje pewnej europejskiej rzeki", przeł. Magdalena Sacha, Olsztyn 2012; Kazimierz Brakoniecki, Winfried Lipscher „Borussia. Ziemia i ludzie", Olsztyn 1999.

Autor jest pisarzem i reporterem. Laureat Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego w 2015 r. za „Najlepsze buty na świecie" (Czarne 2014). Ostatnio wydał powieść „#Upał" (Znak 2017), redaktor naczelny krakowskiego oddziału „Gazety Wyborczej".

STANISŁAW

Mancewicz:
Słońce polskie

Przyglądanie się słońcu nie należy do czynności zdrowych, choć jest niewątpliwie zajęciem ciekawym i uprawianym z różnymi efektami od dość dawna. Rzec trzeba, że na temat kierowania wzroku ku słońcu powstało nieco porad, od amatorskich po profesjonalne, od optycznych wskazówek dla majsterkowiczów, poprzez wskazówki astronomów i kapłanów, na przestrogach medycyny konwencjonalnej kończąc. Każda z nich ostrzega przed zagrożeniami płynącymi z patrzenia – przed kalectwem bądź komplikacjami ocznymi, takoż przed skutkami o charakterze mózgowym bądź duchowym. Ponieważ w wielu dziedzinach podejmujemy się działań skrajnie pionierskich – czy to w obserwacjach z dziedziny nauk społecznych, politycznych, humanistycznych, medycznych czy przyrodniczych – dziś proponujemy spojrzeć na słońce po polsku, jako na zbrodniczy twór lewicy laickiej. Takie bowiem w czasie upałów notujemy opinie, kręcące się po brylantowych obręczach myśli prawicy polskiej. Owa osobliwa – nie bójmy się tego określenia – formacja intelektualna dostarcza nam bezustannie bezcennych wiadomości na tematy dowolne. Z wielką przyjemnością i za friko uzupełniamy te koncepty.

Zacznijmy od początku, czyli od wymiarów, do zanotowania w kapownikach. Zważmy, że słońce widziane z ziemi ma kształt średniego placka bez śliwek, bez trzeciego wymiaru. Jest niejako wyciętym z błyszczącej żółto folii krążkiem, jeżdżącym po nieboskłonie od lewa do prawa. Jest plackiem świecącym, grzejącym kraj i ludzi w sposób koniecznie umiarkowany. Czynności te w sposób nieumiarkowany placek uprawia w krajach dzikich, co nas nie dotyczy, a przynajmniej nie powinno. Wiara, że słońce zachowuje się w jakiś określony sposób pod wpływem ziemskich oczekiwań, a to na przykład pod wpływem programów ugrupowań politycznych, bądź też że można je namówić na wiecu bądź to do świecenia zanadto, bądź nieświecenia w ogóle, jest szalenie stara i słuszna, i nasza, ale i nie nasza. Każdy pamięta aktora Zelnika w starym filmie dokumentalnym o faraonie (wszystkie filmy kręcone w Polsce są dokumentalne), gdzie słońce gaśnie w ramach zmowy arabskich elit. Podobnych przykładów moglibyśmy podać więcej, gdy słońce świecące nieumiarkowanie bądź niedostatecznie powodowało wzrost bądź spadek zbiorów podgrzybka, co było zawsze widomym znakiem nadchodzącej wojny, morowego powietrza, nadaktywności środowisk LGBT, kary boskiej i tak dalej, i tak dalej. Są to, zważmy, fakty sztywne, niepodważalne, gowinowskie, żywcem gotowe do umieszczenia w najnowszej podstawie programowej nauczania publicznego w Polsce, idealne do wykładania na uniwersytetach z szóstej setki globalnego, haniebnie antypolskiego i niesprawiedliwego rankingu placówek oświatowych. Sumując: słońce grzejące umiarkowanie jest prawicowe, grzejące szkodliwie jest lewicowe. Ta konkluzja daje nam asumpt do płynnego przejścia do spraw konfesyjnych, czyli podstawowych, albo, jak kto woli, podstawowszych.

Nie ulega bowiem kwestii, że musimy tu takoż rzucić garść bezcennych informacji na temat kultów solarnych, też w Polsce. Proszę notować. Zasadniczo owe kulty dzielimy na dwa rodzaje: kult słońca bezpośredni, gdzie obiektem wyznania jest placek, czyli mówiąc fachowo tarcza słoneczna, o tym było co nieco powyżej, oraz pośredni, przez uosobienie i czczenie słońca pod postacią bóstwa, będącego przede wszystkim w kontrze do bogów ciemności. Dla przykładu weźmy takiego Apolla, Ormuzda bądź Baldura, są to jednak bogowie nie nasi. Jeśli idzie o tereny tutejsze, moglibyśmy sobie pozwolić na ujęcie zagadnienia w genialnym skrócie: „Od Swarożyca do Gospodarza", co brzmi – każdy przyzna – jak tytuł wybitnej dysertacji bądź to jednej z setek laudacji do tytułu Człowieka Roku (słonecznego). Nawiasem mówiąc, zauważyliśmy przy okazji, że na fali bzika lustracji nazewnictwa ulic miast polskich starannie ominięto motyw kultu solarnego. Ulic imienia Swarożyca jest wiele. W takich Chojnicach ulica Swarożyca łączy się z Piłsudskiego. Czemu? Temu. Kogoś dziwi to uzasadnienie? Niesłusznie, wszystko w Polsce uzasadnia się tak właśnie i dlatego tekst ten wygląda tak, jak wygląda. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

REKLAMA

CENTRUM NAUKI KOPERNIK

FESTIWAL PRZEMIANY

13–16 września 2018

cywi— lizacja algo— rytmów

przyjdź i zobacz jak sztuczna inteligencja zmienia świat

festiwalprzemiany.pl

Partnerzy medialni:

SZUM, PRZEKRÓJ, VICE, wyborcza.pl WARSZAWA, KULTURA LIBERALNA, TYGODNIK POWSZECHNY, onet, jestgrane24

Organizatorzy Centrum Nauki Kopernik:

Samorząd Województwa Mazowieckiego, MINISTERSTWO EDUKACJI NARODOWEJ, Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego

REKLAMA

Saeco

Xelsis

WYŚMIENITA KAWA, DOKŁADNIE TAKA, JAKĄ LUBISZ

15 NAPOJÓW IDEALNIE SKROJONYCH DO TWOICH POTRZEB, DZIĘKI SAECO COFFEE EQUALIZER™

SM7685/00

15 ŚWIATOWEJ KLASY NAPOJÓW ZA JEDNYM DOTKNIĘCIEM

Od mocnego ristretto do perfekcyjnego cappuccino – wystarczy dotknięcie, aby wybrać jeden z 15 dostępnych napojów. Dzięki Coffee Equalizer™ będziesz mógł dostosować moc, ilość, temperaturę parzenia i smak kawy, a także ilość oraz objętość mlecznej pianki. Z Saeco Xelsis dopasujesz kawę idealnie do swoich upodobań.

UTWÓRZ DO 8 PROFILI UŻYTKOWNIKA

Każdy z nas ma odmienny gust. Dlatego możesz łatwo utworzyć do 8 profili użytkownika i zapisać w nich swoje ulubione kawy.

OPATENTOWANE MŁYNKI CERAMICZNE

Nasze ceramiczne młynki, z 12-stopniową regulacją, zapewniają długotrwałe działanie oraz precyzyjne mielenie kawy.

HYGIESTEAM - AUTOMATYCZNE CZYSZCZENIE SYSTEMU SPIENIANIA MLEKA

Funkcja HygieSteam automatycznie usuwa z obwodu wszelkie pozostałości po mleku parą wodną pod wysokim ciśnieniem.

BEZPROBLEMOWA KONSERWACJA DZIĘKI WYJMOWANEMU BLOKOWI ZAPARZAJĄCEMU

W ciągu kilku sekund możesz z łatwością wyjąć blok zaparzający i opłukać go pod bieżącą wodą.

DO 5000* FILIŻANEK BEZ ODKAMIENIANIA

AquaClean to nasz opatentowany filtr, który oczyszcza wodę i zapobiega powstawaniu kamienia w obiegu. Dlatego nie musisz myśleć o odkamienianu – aż do 5000* filiżanek.

*W przypadku 8 wymian filtra, zgodnie ze wskazaniem urządzenia.
Rzeczywista liczba filiżanek zależy od wybranego rodzaju kawy, płukania i czyszczenia.

PHILIPS

Saeco, a Philips brand